

**PRZEMYSŁAW
BABIARZ**
WYWOŁAŁ BURZĘ,
BO TRAFIŁ W SEDNO?

OPÓR BĘDZIE SILNY
JAK BĘDĄ WALCZYLI
UKRAIŃCY

BENEDYKT XVI
PAPIEŻ, WILKI,
OSĄDZANIE

PROF. ANDRZEJ NOWAK
W HOŁDZIE JAROSŁAWOWI
MARKOWI RYMKIEWICZOWI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 7 (481) 2022
14–20 lutego 2022

CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

**MATEUSZ MORAWIECKI
MÓWI WPROST:**

**JEST CIĘŻKO.
ALE WYJDZIEMY
Z TEGO**

MOCNA ROZMOWA Z PREMIEREM

CZY BĘDZIE WOJNA NA WSCHODZIE?
CO DALEJ Z POLSKIM ŁADEM?
KIEDY KOLEJNA CZTERNASTKA DLA EMERYTÓW?
JAK RZĄD CHCE ODRÓBIĆ STRATY W SONDAŻACH?
CZY BYŁA NIELEGALNA INWIGILACJA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694





W książce znajdziesz:

- 30 scen z życia Maryi zaczerpniętych z Ewangelii
- 30 prawdziwych historii współczesnych kobiet
- Felietony o Maryi – kobiecie, matce, drogowskaze życia
- Najpiękniejsze modlitwy, litanie i nowenny do Matki Bożej
- Kilkadziesiąt reprodukcji malarskich z Maryją – wśród nich Madonny Papieskie

340 STRON | PIĘKNE REPRODUKCJE | IMPRIMATUR

100
książek
w prezencie

Książkę „30 scen z życia Maryi” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.



Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Panie prezydencie, tę ustawę warto podpisać. To dobra, zdroworozsądkowa korekta

Jaka jest polska edukacja? Panuje wiele mitów. Pogląd Polaków jest według mnie zbyt krytyczny, bo nie doceniamy faktu, iż każde dziecko w Polsce ma szansę, niezależnie od miejsca zamieszkania i zamożności rodziców, na solidne wykształcenie podstawowe i średnie. Szkoły są oczywiście różne – doskonałe i słabe, aktywne i bierne – ale wybór jest możliwy. Zdolne, chcące się uczyć dziecko ma szansę w systemie bezpłatnej nauki rozwijać swoje talenty, pójść dalej. Nawet w Europie nie jest to takie oczywiste.

Drugi mit – przekonanie o silnej pozycji nauczycieli wobec rodziców i rzekomej konieczności dalszego demokratyzowania szkoły, uwalniania energii uczniów, zrywania krępujących pęt. Jest odwrotnie – poszło to wszystko za daleko, nauczyciele wszystko już muszą negocjować, pełni obaw przed zarzutem, a to nadmiernej ostrości, a to szkodliwego zaniechania.

Trzecie złudzenie polega na postrzeganiu samorządności jako wyłącznie dobra w edukacji. Tak nie jest. Pochodzę z rodziny w dużej części nauczycielskiej, więc sporo się nasłuchałem o arbitralnych decyzjach wójtów i burmistrzów, którzy – bywa – traktują szkołę jako kolejne stanowisko do obsadzenia według klucza towarzyskiego. Kryterium fachowości często jest zupełnie w tle. Choć są i tacy, dla których edukacja jest oczkiem w głowie, którzy rozumieją, że mogą to być także ośrodki kreujące lokalną kulturę, środowisko społeczne, rozwój.

Piszę te słowa także jako ojciec dzieci w wieku szkolnym. Z racji pokoleniowej mam wielu znajomych, przyjaciół, którzy są w takiej sytuacji. Dużo o tym rozmawiamy i te relacje są zwykle podobne. Pojawia się w nich na przykład niepokój przed wchodzeniem na teren szkół organizacji, o których nikt nic nie wie, które niosą nieznaną lub nieakceptowaną przez rodziców przekaz. Rozbija to wspólnotę, skłóca ludzi, upolitycznia często już podstawówki, a szkoły średnie notorycznie. Zarzucanie tym, którzy chcą to powstrzymać, rzekomego upartyjniania szkoły jest kłamstwem.

Ale i oddanie wszystkiego w ręce szkolnej demokracji nie jest dobrym rozwiązaniem. Bo np. w ośrodkach wielkomiejских rodzice szanujący tradycję są często w mniejszości. Oni mają prawo oczekiwać ochrony ze strony kuratorium, zatrzymanie na progu szkoły radykałów i eksperymentatorów.

Nowelizacja prawa oświatowego zaproponowana przez ministra edukacji prof. Przemysława Czarńka dobrze wyważa te wszystkie sprawy. Wbrew historycznym zarzutom nie ma nic wspólnego z jakąś ideologiczną krucjatą, ale jest obroną podejścia zdroworozsądkowego, umiarkowaną próbą zakreślenia jasnych linii tego, co dopuszczalne, co może być inne, a co musi pozostać wspólne.

Oczywiście wpisuje się to w szerszy spór dotyczący tego, czy państwo polskie pozostaje podstawową płaszczyzną życia społecznego, czy też decydujemy się na jakąś landowość, jakieś współczesne rozbicie dzielnicowe. Ale tu prezydent Andrzej Duda zawsze miał jasne stanowisko.

Wedle nowego prawa to Rada Rodziców będzie decydowała, czy dopuścić jakąś organizację na teren szkoły, a wzmocniony kurator oświaty będzie miał możliwość poinformować o tym rodziców, a gdy trzeba, skutecznie wnieść sprzeciw.

Zmiana generalnie wzmacnia pozycję kuratorów oświaty – czyli przedstawicieli państwa polskiego. Jest to w pełni zgodne z programem Zjednoczonej Prawicy, ale i tym, co głosił w kampaniach wyborczych prezydent Duda. W myśl ustawy kuratorzy będą mieli wpływ na obsadę stanowiska dyrektora szkoły, ich opinia w wielu sprawach będzie wiążąca. Samorządom trudniej będzie też zlikwidować szkołę, a prywatne znajdą się pod mocniejszym nadzorem kuratorium. Przepraszam, ale to żadne cudo, to przywrócenie normalności.

Szkoła publiczna jest w Polsce dobrem wspólnym, musi być związana z państwem polskim, a uczniowie w całej Polsce powinni mieć podobne standardy. Nie ma w tym żadnej skrajności, jest umiarkowana korekta systemu, wynikająca z doświadczeń ostatnich lat i dobrego rozpoznania tego, co za rogiem.

Zyskają rodzice i nauczyciele, a mogą stracić tylko ci, którzy z zewnątrz chcieliby wejść do szkół w nie zawsze dobrych intencjach.

Jeżeli tę szansę zmarnujemy, kolejnej może długo nie być. Bardzo liczę, że prezydent Andrzej Duda nie da się w tej sprawie okłamać i zaszantażować lewicowym mediom próbującym i tu wywołać atak paniki moralnej, że spojrzysz obiektywnie na istotę zaproponowanych zmian.

Michał Karnowski




30

Partia pomyłek
Konrad Kołodziejewski


40

Nie wolno zmarnować tej reformy
Dorota Łosiewicz


57

Tanio już było
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

- 6** **SYGNALESTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8** **SZŁAPKA NA RYSIA**
Krzysztof Feusette
- 9** **WITAJ, NORMALNOŚCI!**
Dorota Łosiewicz
- 10** **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejewski
- 12** **JACHT ODPLYNĄŁ W NIEZNANE**
Jan Pietrzak
- 12** **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13** **NIEMCY, ŚWIAT I POLSKA**
Bronisław Wildstein
- 14** **WALIZKA ADAMA NURKIEWICZA**
Michał Korsun
- 16** **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17** **LEKCJE ZPT NOWEJ ERY**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18** **A CO, GDYBYŚMY PRZESTALI SIĘ NAWZAJEM NIENAWIDZIĆ?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20** **Z PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

- 28** **OFERTA GOWINA**
Stanisław Janecki
- 30** **PARTIA POMYŁEK**
Konrad Kołodziejewski
- 33** **PREZYDENCKI MANEWR FRONTOWY**
Jan Rokita
- 36** **Z JAKUBEM KUMOCHEM Z KANCELARII PREZYDENTA RP**
rozmawia Marcin Wikło
- 40** **NIE WOLNO ZMARNOWAĆ TEJ REFORMY**
Dorota Łosiewicz
- 44** **Z GEN. BOGUSŁAWEM SAMOLEM**
rozmawia Andrzej Rafał Potocki
- 48** **BABIARZ Z KLASĄ**
Marek Pyza
- 50** **POETA I KOŚCI**
Andrzej Nowak
- 53** **PISARZ O POGLĄDACH „OBIEKTYWNE SZKODLIWYCH”**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

- 57** **TANIO JUŻ BYŁO**
Marek Budzisz
- 60** **ŻYCIE NA LINII FRONTU**
Marcin Tulicki

HISTORIA

- 62** **Z PIOTREM BĄKIEM, STAROSTĄ TATRZAŃSKIM**
rozmawia Piotr Stabek

OPINIE

- 66** **POSTPONTYFIKAT BENEDYKTA XVI, CZYLI PAPIEŻ I WILKI**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

- 69** **DO PARY NIE TYLKO NA EKRANIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 72** **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 73** **ZBIGNIEW NAMYSŁOWSKI – MAG JAZZOWYCH KLIMATÓW**
Adam Ciesielski
- 74** **ULTIMA THULE**
Robert Tekieli
- 75** **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76** **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 78** **Z ANNA MOSKWA, MINISTER KLIMATU I ŚRODOWISKA**
rozmawia Maciej Wośko

KUCHNIA

- 82** **MOJE SZLAKI: MAGDALENA NAROŻNA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83** **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84** **FILM „GIEREK”? POLECAM...**
Hanna Karp
- 86** **MY, POLACY, TO WIEMY**
Alina Czerniakowska
- 87** **ZAMOŻNOŚĆ A DEMOGRAFIA**
Lech Makowiecki
- 88** **RYMKIEWICZ – JEST!**
Tomasz Łysiak
- 88** **GŁOSY SPOD STOŁU**
Piotr Cywiński
- 89** **DOKĄD ŻYJĄ POECI...**
Leszek Długosz
- 90** **ABORCJA I KOT**
Katarzyna Zybortowicz

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFFECTA



MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo
RACING



TITLE SPONSOR

Sygnalista nadaaje

Media obiegła scena z uroczystości upamiętnienia śp. Jana Olszewskiego na Powązkach Wojskowych. Antoni Macierewicz spotyka się z premierem Mateuszem Morawieckim. Coś mu mówi. Szefrządu robi zdziwioną minę. Internet kipi z ciekawości – o cóż chodziło? Konflikt? Znamy prawdę. Nie poszło o politykę i nie była to kłótnia, lecz puenta dyskusji o to, czy pomnik na Powązkach jest właściwie wybrany. Zdaniem Antoniego Macierewicza premier miał to kiedyś kwestionować, ale ten sobie tego nie przypomina. W sumie to dobrze, że rządzą dziś Polską ludzie, którzy umieją się pospieszać w ważnych sprawach.

Bo wokół żerowisko cyników. Tomasz Terlikowski zaprosił do Radia RMF Pawła Kowala i wspólnie pośmiali się z rzekomego zagrożenia ideologią LGBT. Nie zdzierzył tego Petros Tovmasyan, wydawca mediów lokalnych, restaurator, pamiętający dawnego Terlikowskiego. „Gościu, jak ci nie wstyd, pieniądze to nie wszystko” – skomentował. Cóż, tak bywa w życiu. Ale skoro o pieniądzach, to może Tomek oddałby te, które ludzie płacili za jego wydawane kiedyś seriami książkowe tyrady przestrzegające przed odurzeniem umysłów postępowymi ideologiami? Byłoby uczciwie.

Czy ideologia LGBT to rzeczywiście sprawa śmieszna? Kilka lat temu komentator jednej z amerykańskich gazet dziwił się, że ponad 20 proc. młodych ludzi deklaruje swoją orientację jako homoseksualną lub biseksualną. „Rozumiem 2 proc., 10 proc., ale ponad 20 proc.?” – nie mógł się nadziwić. Dziś

i to nieaktualne. Aż 30 proc. milenialsów w USA identyfikuje się jako LGBTQ – wynika z badań opartych na sondażach naukowych, które niebawem mają zostać opublikowane. To prawie trzy razy więcej niż reszta dorosłej populacji. Co ciekawe, w grupie 18–24 lat jako LGBTQ identyfikuje się aż 39 proc. mieszkańców Stanów Zjednoczonych! Na pewno matka natura to zrobiła?

Ale powiedz słowo, a do sądu cię podadzą. A w sądach wiadomo, jak jest. „Zaplanowana na środę kolejna rozprawa oskarżonej przed gdańskim sądem europosłanki Koalicji Europejskiej Magdaleny Adamowicz została odwołana” – podał portal Radia Gdańsk. Adamowicz jest oskarżona o błędne rozliczanie podatku za najem mieszkań i ukrywanie dochodów. Proces w tej sprawie stoi w miejscu od niemal dziewięciu miesięcy. Teraz zachorowała sędzia, która aktywnie brała udział w protestach przeciw reformie sądownictwa. Ostatnie posiedzenie w sprawie Adamowicz odbyło się... 17 maja ub.r. Kolejne terminy rozprawy były odwoływane głównie ze względu na usprawiedliwione nieobecności Adamowicz. „Teraz chora jest sędzia »protestantka«, a do przedawnienia coraz bliżej. Kolejna już rozprawa oskarżonej Magdaleny Adamowicz odwołana” – skomentował Krzysztof Wyszkowski. A co, nie wolno? W końcu to „miasto wolności”, słowne jak Sycylia!

Z tej rodziny jest też Donald Tusk, który straszy rozsądną, przywracającą normalność i trochę porządku w państwowych szkołach, zmianą ustawy oświatowej. „Na koniec rzucili

się na polską szkołę i przyszłość naszych dzieci” – stwierdził. Wyjątkowa bezczelność. Nie jest „rzucaniem się na szkołę i dzieci” włożenie do szkół i ładowanie maluchom chorych teorii np. o płciowości, niszczenie im dzieciństwa, a jest próba zatrzymania tego? Jak ktoś się uprze, by coś takiego wnukom fundować, to trudno, ale z jakiego powodu proponuje to innym?

„Biorę pod uwagę, że mogłem być podsłuchiwany. Miałem takie informacje w okresie, kiedy sprzeciwiałem się wyborom kopertowym” – mówił jeszcze w ubiegłym tygodniu w Polsat News **Jarosław Gowin**. W tym tygodniu jakieś tajemnicze sprawdzenie w Polsce wykazało podobno, że nie było podsłuchu, więc i tamte słowa chyba nieaktualne. A gdyby jednak to krajowe sprawdzenie wykazało inwigilację, to wtedy wysłano by telefon do Kanady i tam profesor finansowany przez Sorosa wydałby wyrok. I tak to się kręci, bez dowodu, że choć jedna osoba była nielegalnie inwigilowana. W sumie można zrozumieć. Nie ma dziś tańszego sposobu na ustawienie się w roli ofiary i kupienie uwagi mediów niż wciągnięcie się na listę rzekomych ofiar Pegasusa. Ale ta waluta szybko traci na wartości. Po cyrku zorganizowanym przez Michała Kołodziejczaka, któremu „podsłuchiowano” w maju telefon wyprodukowany we wrześniu, a potem kompromitacji w NIK, można już mówić o hiperinflacji.

Oczywiście nie w TVN. Tam obraz rzeczywistości jest uparcie alternatywny, a redaktorzy bawią się w przerywanie konferencji prasowych, na których mówią to, co stacji się nie podoba. Kiedyś spotkało to ministra **Zbigniewa Ziobrę**, dzisiaj posłów PiS, którzy chcieli wyjaśnić brukselskie źródła drakańskich podwyżek prądu. Proponujemy modyfikację hasła reklamowego na „Cała prawda całą dobę – o ile nasz cenzor się zgodzi”.

Jednak nie wszyscy ludzie prawicy mają złe relacje z TVN. Ale trzeba się postarać. Na przykład rzecznik MSZ w informacji o spotkaniu ministra z wszystkimi korespondentami w USA uprzejmie zamieścił zdjęcie jedynie redaktora Marcina Wróny z TVN z pięknie wyeksponowaną kostką stacji. Nie pierwsza to taka uprzejmość. Można? Można. Ale wniosek z tego płynie i głębszy: są gmachy, których chyba nigdy nie da się odzyskać.

Ludzie też zasadniczo mało się zmieniają. Próbowaliśmy rozwiązać zagadkę zmiętej kartki, która posłużyła Donaldowi Tuskowi za prompter i komputer na konwencji programowej i wysadziła cały efekt w powietrze. Ktoś mu podło-

żył świnie i nie przygotował materiałów? Zawiódł sprzęt? Nic z tych rzeczy. „On wszystko robi na ostatnią chwilę, leniwy jest, jak był” – słyszymy odpowiedź. Nic dziwnego, że w sondażu Social Changes dla wPolityce.pl tylko 32 proc. pytanym uznało, że Tusk byłby teraz lepszym premierem niż w latach 2007–2014. Aż 47 proc. sądzi, że byłby takim samym. To jednak mądry naród.

Naród nie poparł też cwaniaków, którzy tuż po przegranych wyborach ogłosili koniec demokracji. Niektórzy z nich postawili namioty przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, teraz przeniesione w pobliże Sejmu. Ich „budowniczym” jest Maciej Bajkowski, bohater gazety *Michnika*. Teraz przyznaje on, że doświadczony antypisowski opozycjonista o imieniu Andrzej „został skazany za posiadanie pornografii dziecięcej. Okazało się, że również szukał czternastolatek do seksu”. Oburzenie oburzeniem, ale pan Andrzej spokojnie sobie mieszka w opozycyjnym namiocie. „Czeka na wykonanie kary. I tyle” – podsumował Bajkowski. Tak, zgoda, to by było na tyle w temacie rzekomego zagrożenia praw, wolności, demokracji.

Protestanci z innej bajki próbowali zablokować drogi. Pompowała akcję Agrouunii także gazeta *Adama Michnika*, nagle zakochana w trudzie rolniczym. Ale wyszła kłapa. Jak twierdzą wtajemniczeni, rolnicy już się zorientowali, że to środowisko nie tyle rolników, ile superbogatych producentów rolnych mających po kilkaset i więcej hektarów. I nie chodzi im tylko o opłacalność biznesu, z czym nie jest tak źle, ale o polityczne kariery.

Naród polski pożegnał Jarosława Marka Rymkiewicza. Pogrzb w Milanówku miał charakter prywatny. W Sejmie Joanna Lichocka, teraz posłanka, ale też autorka esejów o poezji Rymkiewicza, pięknie powiedziała, iż był wieszczem, który „wydobył na nowo głębokie znaczenia tego, czym jest polskość”. Przypomnijmy z tej okazji jakże aktualne trzy myśli poety z jego wywiadu dla tygodnika „Sieci” z roku 2016: Po pierwsze: „Utrata niepodległości nie jest już tylko zagrożeniem. To się dokonuje na naszych oczach, bardzo podstępnie, bo niemal niewidocznie”. Po drugie: „Polska musi mieć potężną armię, bo ma potężnych, zaborczych i okrutnych sąsiadów”. Po trzecie: „Każdy, kto kocha wolność i kto chce być wolny, każdy polski szlachcic – a każdy z nas jest polskim szlachcicem – może stać się żołnierzem Rzeczypospolitej. Każdy – trzeba tylko być przy tym trochę szalonym. Odrobina szaleństwa jest w tej sprawie niezbędna”. Dokładnie tak.



Szłapka na Rysia



KRZYSZTOF FEUSETTE

Adaś Szłapka-Miauczyński (zwany Adasiem): Bardzo się cieszę, panie Ryszardzie, że zastosował się pan do prośby o kamuflaż. Nawet do twarzy panu w tym pióropuszu...

Ricardo Peru (zwany Ryskiem): Miał być kowboj, ale to by jednak za bardzo pasowało...

Adaś: ...a dyskrecja jest najważniejsza. Pan rozumie.

Rysiek: A co ja Lubnauerowa jestem? Jak ona mogła powiedzieć, że ja w czasie puczu z interesem na Mandelę polecałem!

Adaś: Może Maderę?

Rysiek: Kto? Lubnauerowa? Nie wiem, pewnie ma. A propos, jak wyglądają nasze finanse?

Adaś: Trochę zostało. Do spłacenia.

Rysiek: Aha. Czyli mieliście nadmuchać partii w żagle, a tymczasem tkwicie na mieliźnie marazmu...

Adaś: O, przepraszam. Kiedy pan odpoczywał od polityki na łonie biznesu, myśmy z parasolkami maszerowali w imię obrony demokracji przed wynikami wyborów! Panie Rysiu, ja bym ich wszystkich... O, proszę, moje wpisy na Twitterze: „Będziesz siedział!”, „Będą siedzieć!”, „Wsadzę ich...”, „Wsadzę go...”...

Rysiek: Wystarczy.

Adaś (ciągnie niezrażony): „Dorżniemy was”, „Zerżniemy”...

Rysiek: Dosyć. Czy wy nie odróżniamie polityki od obsesji?

Adaś: O, to jest najlepsze: „Wsadzimy was tam, gdzie was dorżniemy”.

Rysiek: Jeszcze jedno słowo.

Adaś: Ale to jest nośne! Mnie się oczy otworzyły, jak Lempartowa kazała mi zrobić wyrwę w kordonie. Ona zobaczyła we mnie męczyznę...

Rysiek: Robiliście to już?

Adaś: Nie. To znaczy trochę. Ale co konkretnie?

Rysiek: Wyrwę w kordonie.

Adaś: Tylko przez internet. Ale hasło znam na pamięć! „Wyp...alać!”.

Rysiek: Dobrze już, złuzujecie lydy. W internecie też tak bluzgacie?

Adaś: Tylko na anonimowych kontach. Nie mam dużo, tak z półtora tysiąca. Przekaz zmieniam raz na tydzień, jak skarpetki.

Rysiek: A mnie się wydaje, że wy jesteście zbyt napaleni. Też taki byłem. Ciągłe coś przekręcałem, żeby wzbudzić zainteresowanie mediów. Że np. nie wiem, ilu było górali...

Adaś: Króli.

Rysiek: O, widzicie? Też się nabraliście!

Adaś: Najlepsze było o ciąży...

Rysiek: Ale które?

Adaś: O przerywaniu w dwudziestym miesiącu. Jak u muła.

Rysiek: Sami jesteście muł. Chodziło o tygodnie.

Adaś: Albo to o chłopcu, co poszedł do ginekologa.

Rysiek: Tu się akurat przejęczyłem.

Adaś: A herbata nie robi się słodsza od kręcenia filiżanką...

Rysiek: Ojej, taka przenośnia. A co wy mnie tak przepytujecie?

Adaś: Jako przewodniczący naszego rychu, to znaczy ruchu...

Rysiek: Fredrowska pomyłka...

Adaś: Czemu?

Rysiek: Tak się mówi, jak się uruchamia podświadomość. Muszę się trochę rozluźnić, żeby znowu Camerona z Kamerunem nie pomylić. No, zadajcie mi jakieś pytanie...

Adaś: Kim był Chełmoński. Trudne mega, sam nie wiedziałem...

Rysiek: Bohater „Popiołu i diamentu” Andrzeja Jędrzejewskiego. Albo odwrotnie.

Adaś: „Diamentu i popiołu”? Tamten był Chełmiński. Miałem na maturze. Albo Chełmicki.

Rysiek: Ten Kozak? To się pisze „Chmielnicki”. A o kogo pytałicie?

Adaś: O malarza.

Rysiek: No, to Michał Anioł Matejko. Dla mnie pierwsza trójka. Chociaż ja jestem człowiekiem ścisłym...

Adaś: ...i właśnie dlatego, panie Rysiu, przez wzgląd na pana szerokie zainteresowania, a jednocześnie szeroką wiedzę ekonomiczną, partia zwraca się do pana, jako naszego ojca i tatusia w jednym, żeby pan jej pomógł wypłynąć znowu na szerokie horyzonty. Pan tak ciekawie mówi np. o 500+, że się go nie da utrzymać. Tyle że na razie lepiej tego nie podkreślać...

Rysiek: Czemu?

Adaś: Bo my jesteśmy teraz członkami Koalicji Obywatelskiej. Taką, że tak powiem, szalupą na wielkim okręcie pana przewodniczącego Donalda Tuska, niech mu słońce Peru nigdy nie zagaśnie...

Rysiek: Też kiedyś byłem „Peru”, jak mi literka w podpisie uciekła. Czyli mówicie, że jesteście teraz członkami partii, przeciwko której zakładaliśmy naszą partię?

Adaś: Ale zachowujemy odrębność programową. Zwłaszcza że partia pana przewodniczącego Donalda Tuska programu akurat nie ma. Więc my, w ramach odrębności, też nie mamy.

Rysiek: I ja mam go napisać?

Adaś: A po co takie wielkie słowa? Wystarczy kilka punktów: to tak, to nie, tamto być może. No, kto ma to zrobić jak nie pan, panie Rysiu? Przecież na listach wyborczych pana przewodniczącego Donalda Tuska, niech świeci nam przykład jego jak czerwona latarnia, dla wszystkich miejsca nie wystarczy...

Rysiek: Spokojnie. Gwarantuję wam, że nawet takie imperia upadają ze szczytu swojej potęgi. Albo znowu coś pomiejszałem. Dobra, wieście mnie do TVN, zanim zapomnę, co chciałem powiedzieć.

Witaj, normalności!

*Wychodzenie z obostrzeń
wymaga odwagi i właściwej
oceny momentu, ale trudno
sobie wyobrazić lepszy. Choć
zachorowań jest dużo, to jednak
liczba hospitalizacji spada*

Szybszy, niż zakładano, powrót do nauki stacjonarnej, skrócenie okresu kwarantanny, brak konieczności odbywania kwarantanny spowodowanej kontaktem z osobą zarażoną czy zwiększanie liczby łóżek w szpitalach dla pacjentów z innymi chorobami niż COVID-19 to tylko niektóre decyzje ogłoszone przez rząd w minionym tygodniu. Według ministra zdrowia optymistyczne wskaźniki dotyczące liczby zachorowań oraz liczba hospitalizacji stworzyły możliwości do podjęcia decyzji w zakresie łagodzenia obostrzeń w czasie pandemii.

Muszę przyznać, że nic mnie tak nie cieszy, jak to, że nasze życie zaczyna wracać do normalności, oraz to, że Ministerstwo Zdrowia reaguje na pochodzące z całego świata sygnały o zbliżającym się końcu pandemii, o których w ostatnim czasie dużo pisałam na łamach tygodnika „Sieci”. Wielu naukowców z całego świata widzi, że wirus łagodnieje i w tej łagodniejszej postaci zostanie z nami na kolejne lata, jak grypa.

Zdaniem gen. dyw. prof. dr. hab. n. med. Grzegorza Gielera, dyrektora WIM, z którym rozmowę publikowaliśmy w poprzednim numerze tygodnika, na taki obrót spraw wskazuje naturalny bieg każdej tego typu epidemii. „Najpierw patogen jest bardziej zjadliwy, zabija swoje ofiary, ale w ostatecznym rozrachunku nie jest zainteresowany tym, by pozabawić je życia, wówczas sam skazuje się bowiem na unicestwienie. Szczególny patogen, jakim jest wirus, wobec tego, że nie potrafi się rozmnażać poza organizmem żywiciela, dąży za wszelką cenę do zwiększenia swojej zakaźności, aby dotrzeć do jak największej liczby osób podatnych na zakażenie. Taką właśnie sytuację obserwujemy teraz” – nie miał wątpliwości prof. Gielera, zapowiadając, że teraz wirus dołączy do grona czterech ludzkich koronawirusów, które odpowiadały dotychczas za ok. 10–20 proc. infekcji układu oddechowego w okresie jesienno-zimowym. Stanowisko naukowca jest zbieżne z podobnymi przewidywaniami

światowych autorytetów, o których na tych łamach już wspominałam. Wychodzenie z obostrzeń wymaga oczywiście odwagi i właściwej oceny momentu, ale trudno sobie wyobrazić lepszy. Choć zachorowań jest dużo, to jednak liczba hospitalizacji spada. Prof. Gielera zapytany

o to, w którym momencie należałoby skończyć z testowaniem, izolowaniem, kwarantanną, powiedział, że należy się opierać na tzw. twardych punktach końcowych. „Decydująca powinna być ocena skali hospitalizacji w oddziałach intensywnej terapii, spowodowanych covid oraz zgony spowodowane bezpośrednio przez covid, a nie covid współlistniejący z przyczyną zgonu. W zestawieniach tydzień do tygodnia notujemy dziś w kraju zmniejszenie

liczby zakażonych o blisko 4 tys. Bardziej obrazowo: w jednym z dwóch prowadzonych przez WIM szpitali tymczasowych przebywa tylko jeden chory z zapaleniem płuc – sytuacja, której nie notowaliśmy od początku czwartej fali. Pozostali zakażeni wymagają hospitalizacji z innych zachowawczych przyczyn. Odpowiadając więc na pytanie wprost: nawet dziś”.

Odwagne decyzje resortu zdrowia o stopniowym wychodzeniu z pandemicznych restrykcji spotkały się z historyczną wręcz reakcją części środowiska naukowego w Polsce. Pojawiły się oskarżenia o brak odpowiedzialności, o ryzykowanie zdrowia i życia Polaków, zniechęcanie do szczepień, odpowiedzialność za wzrost zachorowań itd. To może po części tłumaczyć, dlaczego tak nagle zakończyła się współpraca rządu ze starą Radą Medyczną. Być może rząd był bardziej zdeterminowany, by z wolna zacząć wracać do normalności niż część środowiska naukowego.

Osoście nie znam nikogo, kto nie cieszyłby się z zapowiedzianego, powolnego powrotu do normalności i perspektywy odejścia od pandemicznego szaleństwa. Znam oczywiście takich, którzy uważają, że ten powrót powinien nastąpić zdecydowanie szybciej, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Wszyscy chcemy po prostu żyć jak kiedyś: bez strachu chodzić do sklepu i bez dystansu spotykać się z przyjaciółmi. Tylko tyle i aż tyle.

Dorota Łosiewicz



Władze Mołdawii zostały zmuszone do wprowadzenia stanu wyjątkowego w sektorze energetycznym, po tym jak Gazprom odmówił przesunięcia terminu zapłaty za dostawy rosyjskiego gazu. Co ważne, nie chodzi tutaj o żadne zaległości, bo Mołdawia, stojąc pod ścianą, musiała się zgodzić pod koniec ub.r. na to, że za gaz będzie płacić awansem. Jednak skokowy wzrost cen rosyjskiego paliwa okazał się zabójczy. O ile w grudniu Mołdawia płaciła 450 dol. za 1000 m sześć., o tyle w styczniu cena wzrosła do 645 dol., co dla tego uboższego kraju było szokiem. Moldovgaz, lokalny operator, wystąpił w ostatnich dniach z apelem do obywateli, aby ci terminowo płacili za gaz, bo zaległości mogą spowodować, że firma nie będzie w stanie uregulować rachunku wobec Gazpromu i Rosjanie wstrzymają dostawy.

W związku ze wzrostem cen gazu w Mołdawii wybuchły protesty. Deputowani Gagauzi, autonomii zamieszkanej przez prawosławną ludność pochodzenia tureckiego, wystąpili z listem do Władimira Putina. Powołują się w nim na swoje sympatie do Rosji i proszą, aby ich autonomia otrzymywała gaz bezpośrednio z Rosji, z ominięciem Kiszyniowa, i w takich samych cenach jak Naddniestrze, nieuznawana przez nikogo prorosyjska republika, która od lat nie płaci za gaz i jej zaległości wobec Gazpromu sięgają już 7,5 mld dol. W Kiszyniowie demonstracje organizują prorosyjscy socjaldemokraci byłego prezydenta Igora Dodona oraz populiści z partii Szor.



Mer stolicy Ion Ceban, wywodzący się z formacji Dodona, zaskarżył do sądu rządową decyzję o podniesieniu cen gazu i jest dziś najpopularniejszym mołdawskim politykiem. Z kolei rankingi prozachodniej prezydent Mai Sandu i wywodzącej się z tej samej formacji co ona premier Natalii Gavriliły pikują, lecz pole manewru obecnego rządu w związku z drożyzną jest niewielkie. Minister spraw zagranicznych Nicu Popescu pojechał w ostatnich dniach z pilną wizytą do Baku, zabiegając o zwiększenie dostaw gazu z Azerbejdżanu, jednak – jak się wydaje – zabiegi te nie przyniosły rezultatów.

Rosyjski Gazprom ciągle trzyma rękę na pulsie. W trakcie ubiegłorocznych negocjacji przyparte do muru władze mołdawskie zgodziły się, że są winne rosyjskiemu koncernowi 709 mln dol. Mołdawia nie jest w stanie jednorazowo zapłacić tej kwoty, a władze kraju mają wątpliwości co do prawidłowości rosyjskich rozliczeń i domagają się niezależnego audytu. Ten spór z rosyjskim koncernem także może się zakończyć wstrzymaniem dostaw.

W Mołdawii Rosjanie sprawdzają, jak działa ich broń gazowa, jak daleko mogą się posunąć i jak drożyzna na rynku energetycznym, a w jej następstwie wzrost cen żywności wpłyną na nastroje wyborców. Chcąc zobaczyć przyszłość Europy uzależnionej od rosyjskiego gazu, obserwujmy to, co dzieje się w Mołdawii.

Marek Budzisz

Wszystko wskazuje na to, że jesienią zostanie uruchomiony trzeci reaktor elektrowni atomowej w Mochovcach na Słowacji. Urząd Nadzoru Jądrowego odrzucił bowiem ostatecznie skargę austriackiej organizacji ekologicznej Global 2000, która twierdziła, iż nowy blok nie spełnia norm bezpieczeństwa. Po kontroli, jaką przeprowadzili w zeszłym roku eksperci z Międzynarodowej Organizacji Energii Atomowej, zastrzeżenia uznano za bezzasadne.

Słowacy cieszą się z tej decyzji, zwłaszcza w obliczu panującego w Europie kryzysu paliwowego. Dzięki nowemu reaktorowi ich kraj zwiększy swoje bezpieczeństwo energetyczne, osiągnie wyższy stopień samowystarczalności oraz poprawi stan ochrony

Trzeci reaktor

przyrody. Mochovce to ich wspólna inwestycja z Czechami, którzy również dążą do oparcia swojej energetyki na atomie. Wspomnianą elektrownię zaczęto budować jeszcze w 1981 r., gdy istniała Czechosłowacja, ale pierwszy blok oddano do użytku dopiero w 1998, a drugi w 2000 r.

W 2006 r. firma została sprywatyzowana i przejęta przez włoski Enel, który zobowiązał się do budowy trzeciego i czwartego reaktora, jednak nie poradził sobie z tym zadaniem. W związku z tym w 2015 r. Enel zawarł joint venture z czeskim konsorcjum EPH, które stopniowo odkupuje akcje holdingu, by stać się z czasem większościowym właścicielem elektrowni. Pod okiem Czechów ruszyła też budowa czwartego bloku,

który jest gotowy w 88 proc. Pierwotnie budżet dwóch ostatnich reaktorów wynosił 2,8 mld euro, teraz ma się skończyć na 6,2 mld.

Niezadowoleni z tej sytuacji są natomiast Austriacy, którzy – obok Niemców – najbardziej w Europie sprzeciwiają się wykorzystywaniu energii nuklearnej. Wspomniana organizacja Global 2000 od lat blokuje rozbudowę elektrowni jądrowej Krško w Słowenii. Warto dodać, że w Austrii istnieje jedna siłownia atomowa, oddana do użytku w 1977 r. w Zwentendorf an der Donau, jednak nie wyprodukowała ani wata energii, ponieważ rok później w referendum obywatele opowiedzieli się przeciw elektrowniom jądrowym.

Grzegorz Górny

 **Słowacja**

Z deszczu pod rynnę

Inauguracja zimowych igrzysk olimpijskich stała się okazją do przyspieszenia chińskiej ofensywy dyplomatycznej na świecie. Podczas licznie udzielanych audiencji prezydent Chin Xi Jinping starał się wzmocnić pozycję Pekinu w obliczu konfrontacji z Waszyngtonem i zachęcał przywódców goszczących na otwarciu igrzysk do podjęcia bliższej współpracy z Chinami. Do takiej współpracy Xi zdołał nakłonić m.in. prezydenta Argentyny Alberta Fernándeza.

Fernández, lewicowy peronista z Partii Justycjalistycznej, zмага się we własnym kraju z niekończącym się kryzysem gospodarczym, który doprowadził w zeszłym roku do porażki wyborczej jego stronnictwa. W rezultacie dwóch tur wyborów lewicowi peroniści utracili większość, a ich reprezentacja w parlamencie jest najmniejsza od 1983 r.

Niedawno rząd Argentyny ogłosił zawarcie wstępnego porozumienia z Międzynarodowym Funduszem Walutowym (MFW) w sprawie restrukturyzacji wynoszącego blisko 45 mld dol. zadłużenia zagranicznego. Jednocześnie jednak władze argentyńskie dają do zrozumienia, że skutkiem tego porozumienia może być zbyt silne uzależnienie Argentyny od amerykańskiego kapitału, co ekipa prezydenta uważa za zagrożenie dla swoich rządów. Dlatego Fernández próbuje szukać alternatywy i wsparcia wśród przeciwników Ameryki.

Na początku lutego podczas wizyty w Moskwie Fernández powiedział Putinowi, że jest zdeterminowany, aby uwolnić Argentynę od zależności od MFW i Stanów Zjednoczonych. „Uważam, że Rosja może tu odegrać ważną rolę” – zadeklarował na Kremlu. Następnie Fernández pojawił się w Pekinie, gdzie wraz z Xi Jinpingiem ogłosił przyłączenie się Argentyny do Inicjatywy Pasa i Szlaku – globalnego sojuszu handlowego pod auspicjami Chin. Przypominał też, że jego partia ma „historyczne powiązania” z Komunistyczną Partią Chin, a były prezydent Argentyny Juan Perón „przyjaźnił się i korespondował” z Mao. Na koniec dodał, że wspiera politykę jednych Chin zakładającą powrót Tajwanu pod skrzydła Pekinu, a Xi zrewanżował się poparciem argentyńskich pretensji do brytyjskich Falklandów, co wywołało pomruki niezadowolenia w Londynie.

Przede wszystkim jednak Chiny zobowiązały się do udzielenia Argentynie pomocy przy budowie elektrowni atomowej pod Buenos Aires. Pekin ma przekazać na ten cel 8 mld dol., czyli 2/3 szacowanych kosztów. Mówi się też o chińskich inwestycjach

w energetykę wodną i linie kolejowe. Krytycy zauważają, że może to być pierwszy krok do uzależnienia Argentyny od Chin, które często udzielają sutyh pożyczek na ważne inwestycje infrastrukturalne i energetyczne w zamian za oddanie im kontroli nad kredytowanymi branżami. Wygląda więc na to, że Argentyna, szukając w Chinach ratunku przed zarłoczością MFW, może wkrótce wpaść z deszczu pod rynnę.

**Konrad
Kołodziejski**

Prezydent Argentyny
Alberto Fernández

Meta **Facebook grozi**

Szefostwo Facebooka, który niedawno temu zmienił nazwę na Meta, rozważa wycofanie się z Europy. Przyczyną tak radykalnego kroku mają być europejskie przepisy dotyczące ochrony danych osobowych, które zostały zmienione w lipcu 2020 r. przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Po zmianach zakazują one przesyłania informacji o europejskich użytkownikach platformy na amerykańskie serwery. A to z kolei uniemożliwia precyzyjne kierowanie reklam do użytkowników i – co za tym idzie – pozbawia korporację wielkich zysków.

Oficjalnie Meta zaprzecza, że popularne serwisy Facebook i Instagram zostaną usunięte z Europy, jednak agencja Bloomberg podaje, że ta „atomowa opcja” ciągle leży na stole, ponieważ korporacja chce wymusić na Unii ustępstwa. Ale Unia nie stoi tu wcale na przegranej pozycji. W grę wchodzi bowiem ogromne pieniądze. Nie chodzi nawet o Facebooka ani Instagrama, które wkrótce mogą być przeżytkiem, lecz o metawers, czyli wirtualną rzeczywistość. Meta, która intensywnie pracuje nad tą technologią, ma nadzieję, że wirtualna rzeczywistość stanie się hitem internetu i przyniesie korporacji wielkie zyski.

Docelowo metawers ma pozwolić ludziom na pełne funkcjonowanie w pracy bez wychodzenia z domu. Spotkania w biurze czy interakcje z przyjaciółmi mają się odbywać za pomocą awatarów w wirtualnej rzeczywistości. Już teraz w takich grach jak „Fortnite” można nie tylko grać, ale np. wybrać się na koncert ulubionego artysty. Jednak metawers ma być czymś o wiele bardziej rozbudowanym. Co zabawne, zanim na dobre rozwinęła się wirtualna rzeczywistość, wśród jej pierwszych użytkowników pojawiły się już oskarżenia o... wirtualne molestowanie seksualne. Meta pracuje więc teraz nad stworzeniem bezpiecznej przestrzeni dla awatarów. Aby jednak podbić z nową technologią świat, firma musi się wcześniej uporać z prawnymi problemami w Europie, bo bez obecności na tutejszym rynku jej sukces finansowy będzie skromniejszy.

Wynik starcia korporacji z Unią nie jest więc przesądzony, ale na pewno będzie ciekawym precedensem. Pokaże on nam bowiem, jaki jest dziś realny układ sił pomiędzy międzynarodową instytucją publiczną, którą jest Unia, a wielkim prywatnym kapitałem.

Łukasz Adamski

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jacht odpłynął w nieznane



**Jan
Pietrzak**

W trakcie przygotowań do III wojny światowej uważano ucieczkę jachtu Putina z niemieckiej stoczni. Jak podają tamtejsze gazety, właściciel wystraszył się sankcji, czyli konfiskaty. Łódka wyceniona została na 87 mln dol. Jest o co walczyć. Zapewne któryś z jego niemieckich przyjaciół już upatrzył sobie ten bunkier na wodzie jako zdobywcze trofeum. Jak wiadomo, Niemcy w czasie wojny kradną wszystko, co im w łapska wpadnie. Rosjanie też nie gorsi w tym rzemiośle. Nasze nieszczęście polega na tym, że po drodze zawsze okradają Polskę. Tutejsze pałace, dwory, muzea, ale także stocznie, fabryki, kopalnie, to od stuleci rutynowy cel napaści przyjemnych sąsiadów.

W 1939 r. wspólnie rzucili się na nas, ale już po dwóch latach doszło do wojny gangów. W obecnej rzeczywistości umówili się, że okradać nas będą bardziej nowocześnie, za pomocą rur z ropą i gazem. Jednak buzująca chciwość spowodowała, że nie wytrzymują nerwowo. Ponieważ jakiś czas temu Ukraina zadecydowała, że nie chce być okradana, ma zostać ukarana odcięciem od rur. Rosja uważa, że w jej strefie wpływów to ona decyduje, co komu wpływa i wypływa.

Sytuacja się mocno zagmatwała, bo Niemcy poza ruskimi rurami wpłątani są w sieć zależności UE i NATO. Wszystko może się zdarzyć po igrzyskach w Pekinie. Podobno Putin obiecał przewodniczącemu Xi, że zgodnie z ateńską tradycją powstrzyma się chwilowo od ataku.

To z kolei drażni niecierpliwego Łukaszenkę, który przebiera nogami, by pod pretekstem manewrów przywitać Polskę. Zwracam uwagę, że popularne w obiegowej polszczyźnie słówka: zaiwanić, przywitać, doiwanić mają źródłosłów Iwan.

À propos awanturników podgryzających nam wschodnią granicę, dotarła do białoruskiej ludności informacja, że najmłodszy synek Bački, 18-latek, nie wybiera się na żadne studia, „bo jest za mądry”. Białoruska akademika nauk potwierdziła tę opinię. Też mądra!

Natomiast mówiąc bez podtekstów i sarkazmu, jakieś resztki rozsądku we wschodniej satrapii przetrwały. Otóż grupa oficerów rezerwy armii rosyjskiej odradza prezydentowi wojnę z Ukrainą, argumentując rozumnie, że Putin odpływa w nieznane...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Strzelczyni na strzelnicy



**Dominik
Zdort**

Zimowe igrzyska olimpijskie niespodziewanie stały się lekcją poprawności politycznej i feminizmu. I wcale nie myślę o tym, że w wielu dyscyplinach zaczęły występować kobiety. To dobrze, że panie się usportowały, choć nie zawsze

widzowie oglądają je równie chętnie jak panów.

Ot, choćby skoki narciarskie. Kobiety skaczą krótko (i pewnie zawsze tak będzie), ponadto nie znamy nazwisk najlepszych zawodniczek, nie wiemy, kto jest żeńskim Małym, a kto Ammanem, więc ich zawody nie budzą większego zainteresowania. Dlatego wymyślono dziwną dyscyplinę: zawody drużyn mieszanych. Dwie panie i dwóch panów z każdego kraju. Dzięki temu kibice nareszcie mogą się dowiedzieć, która z pań coś znaczy w skokach narciarskich i nauczyć się nazwisk.

Dobry propagandowy pomysł, godna pochwały społeczna inżynieria. Teraz czas na to, aby wprowadzić zawody mikstów futbolowych. W każdej reprezentacji piłkarskiej powinno być pięć lub sześć kobiet, a obok nich najlepsi w kraju panowie. Trenerem powinien zostać Paulo Sousa, to doda powagi temu pomysłowi.

Ale ciekawsza jest nomenklatura. Otóż nareszcie wiemy, jak brzmi żeńska forma od słowa skoczek. I okazało się, że to skoczka. Choć pewnie językowo sensowne byłoby, gdyby była to skoczka. – A może skoczka? – zaproponował mój syn. Co jest całkiem logiczne, bo mamy już precedens: kobieta reżyser to reżyserka (to słowo oznacza miejsce pracy telewizyjnego reżysera), więc pani rywalizująca na skoczni mogłaby być skocznią. Kolejny przykład: kobietę polityka feministki nazywają polityczką, co (moim zdaniem) jest wyjątkowo oburzające i obraźliwe dla pań, bo słowo to oznacza marną politykę uprawianą przez małych ludzi, a nie każda kobieta polityk uprawia polityczkę.

Podczas meczów kobiecych reprezentacji hokejowych komentatorzy mówią, że któraś z hokeistek (to słowo mnie nie razi, brzmi naturalnie, więc pewnie zaraz zaproponują, aby podmienić je na jakieś bardziej wydziwione) trafiła na listę strzelczyń. Nawiązując do powyżej opisanej analogii, powinna być to lista strzelnic. No bo... skoro reżyserka, to dlaczego nie strzelnica?

To oczywiście niemądre żarciki. Jeśli jednak pod wpływem nacisku poprawnościowego lobby zaśmiejemy polski język, to odbierzemy kobietom uprawiającym sport wszelką powagę. Choć pewnie nie o to feministkom chodzi.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Niemcy, świat i Polska



Rosyjska presja na Ukrainę wyraźnie odsłoniła nową geopolityczną rzeczywistość, którą mało kto ma odwagę nazwać. Nic nowego: politycy odwołują się do byłych realiów, dyplomaci stosują nieaktualne metody, a generałowie toczą minione wojny. W odniesieniu do polityki ciągle myślimy w kategoriach zimnowojennego podziału na komunistyczny totalitaryzm i sojusz wolnych demokracji. Tymczasem wprawdzie główne mocarstwa postkomunistyczne, zmieniając swoją relację (pozycję dominującą przejęły Chiny), zachowały swój agresywny potencjał, ale mimo pozorów funkcjonowania nie ma po drugiej stronie zjednoczonego, zachodniego bloku. NATO nie tylko nie pełni już swej podstawowej funkcji, ale można zadać pytanie: czy w ogóle realnie egzystuje, pomimo całego sztafażu i stanowiska sekretarza generalnego organizacji, które stanowi łakomy kąsek dla europejskich polityków.

Problemy z NATO są głównie efektem polityki europejskiego mocarstwa, czyli Niemiec, chociaż inne kraje UE, zwłaszcza Francja, przyczyniają się do tego również. To jednak Niemcy wykorzystują struktury Unii, aby podjąć grę na światową skalę i definitywnie uniezależnić się od Stanów Zjednoczonych. Naiwna była inicjatywa nowego prezydenta USA Joego Bidena, który zaakceptował Nord Stream 2, a więc pozostawił Niemcom wolną rękę w grze z Rosją i zgodził się na ich rolę hegemonu w Europie, licząc na poparcie w powstrzymaniu Chin. Berlin z satysfakcją przyjął amerykańskie ustępstwa i... nie dał nic. W tym samym czasie z Bidenem porozumiała się Japonia. Radykalnie zwiększyła swoje militarne wydatki i uczestniczy w amerykańskich inicjatywach. Państwo to nie należy do żadnego układu, ale czuje zagrożenie potęgą azjatyckiego smoka, które dla Niemiec jest czymś nieistotnym. Zestawienie to demonstrowa, jak iluzoryczne są pakt militarne niewspierane realnymi interesami. Rosnącą siłą Pekinu i imperialne aspiracje Moskwy Berlin uznaje wręcz za atut, który pozwala mu zdystansować się od Waszyngtonu i odgrywać nieproporcjonalną w stosunku do swojego potencjału rolę w polityce światowej.

Poważne traktowanie retoryki „europejskich wartości”, którymi zongluje kontynentalny, a więc głównie niemiecki establishment, powoduje brak zrozumienia dla realnych mechanizmów polityki. Rola, jaką odgrywa Berlin wobec zagrożonej agresją rosyjską Ukrainę, odsłania ten stan rzeczy. Europa, a więc głównie Niemcy mieli wielokrotnie możliwość zablokowania apetytów Putina. Rosyjski lider nie ma w sobie nic z desperata. Sprawdza, jakie są konsekwencje jego agre-

sywnych kroków i dopiero gdy okazuje się, że nie wiąże się dla niego z żadnym zagrożeniem, postępuje dalej. Tak było z agresją na Gruzję, którą Kreml wstrzymał, trafiając na zderzenie z sojusz państw Europy Środkowo-Wschodniej zorganizowany przez prezydenta Kaczyńskiego. Natomiast gdy okazało się, że zabójstwa jego przeciwników politycznych na terenie krajów zachodnich nie wiąże się z żadnym ryzykiem, Putin nadal ich dokonuje. Podobnie było z cyberatakami na państwa bałtyckie, które, nie spotykając się z poważniejszą reakcją Zachodu, na różną skalę kontynuowane są wobec innych krajów z USA włącznie. W odniesieniu do Ukrainy strategia ta ujawnia się jaskrawo.

Również po zajęciu Krymu Putin zastosował metodę „wait and see”. Kiedy okazało się, że protesty Zachodu sprowadzają się do retoryki, zaatakował Donbas. Podstawową rolę w akceptacji tej neoimperialnej polityki odegrała kanclerz Merkel. To z jej inicjatywy powołany został format normandzki (raz jeszcze pokazuje to, że Berlin nie liczy się zupełnie z instytucjami UE i w jej imieniu podejmuje działania uzgodnione wyłącznie z wybranymi krajami, szczególnie z Francją) grupujący Niemcy, Rosję, Ukrainę i Francję. Główny szczyt odbył się pod patronatem Łukaszenki w Mińsku i faktycznie prowadził do akceptacji status quo, czyli uznania zajęcia przez Rosję terenów Ukrainy. W czasie narastającej presji rosyjskiej Niemcy za wszelką cenę dążyli do uruchomienia Nord Streamu 2, który w połączeniu ze strategią klimatyczną uzależniałby energetycznie UE od Berlina. Za tę cenę Niemcy oddali Ukrainę Rosji i dążą do neutralizowania jej możliwości obronnych. Symbolicznym wymiarem tego było blokowanie dozbrojenia Ukrainy i poważniejszych sankcji wobec Moskwy. Naturalnie, Berlin nie może tego robić oficjalnie, gdyż funkcjonuje w określonej kulturze związanej normami etycznymi, które przejawiają się w retoryce. Dlatego można wymusić na nim określone ustępstwa, wyłącznie jednak, gdy wspierane będą przez znaczące ponadnarodowe ośrodki opiniotwórcze.

Politycy polscy, którzy deklarują pełniejszą integrację z UE, realnie nawołują do podporządkowania nas RFN z wszystkimi tego potencjalnymi konsekwencjami. UE dla Polski dzisiaj to nie bezpieczeństwo i stabilność, ale utrata niepodległości i rola niemieckiej kolonii.



Walizka Adama Nurkiewicza

fotografa

Tropem wydarzeń sportowych podróżuję po całym świecie. Igrzyska olimpijskie, igrzyska paraolimpijskie czy olimpiady specjalne, które darzą największym sentymentem, to zawsze logistyczne wyzwania. Aby zrobić dobre zdjęcie, należy być na to gotowym. Zatem im lepiej się przygotuję do pracy, tym bardziej jest ona efektywna.

Bagaż podręczny niejednokrotnie jest dwa razy cięższy od walizki. W oczy rzucają się duże i ciężkie aparaty, obiektywy, a zwłaszcza teleobiektyw, często nazywany „kotwicą”. Po 12 godzinach noszenia jej na karku ta nazwa sama się narzuca.

Mam szczęście spotykać w świecie niezwykle sympatycznych ludzi, dzięki którym zawsze przywożę ciekawe historie, takie jak przejażdżka ambulansem w Rio, wizyta w programie telewizyjnym w Abu Zabi czy wyprawa do gorących źródeł w okolicy Tokio. Pracuję dla światowych i lokalnych federacji sportowych, a swoje zdjęcia prezentuję podczas wystaw fotograficznych. Aktualnie zapraszam na Krupówki w Zakopanem, gdzie do końca lutego można obejrzeć „Sport olimpijski”.

POMARAŃCZOWA OSŁONA PRZECIWSŁONECZNA

Uszyta na miarę laptopa, idealnie sprawdza się podczas słonecznych dni. Słońce nie zaświeciła ekranu. Mogę komfortowo edytować zdjęcia. Na mistrzostwach świata sportów plażowych w Katarze nieoceniona pomoc.



HAMAK

Podczas pracy na dużych imprezach sportowych kluczowy jest odpoczynek. Na IO w Tokio były dwie godziny przerwy między meczami koszykówki 3x3. W pobliskim parku, w cichym zakamarku, rozwiesiłem hamak. Po kwadransie poczułem delikatne muśnięcie na łokciu, to policjant przepaszającym tonem dał mi do zrozumienia, że tu rozwieszać hamaka nie wolno.





MONOPOD I STATYW

Obowiązkowe elementy wyposażenia. Jak tylko można podeprzeć aparat, zamiast go trzymać w rękach, warto skorzystać.



KAPELUSZ

Słońce potrafi dać się we znaki podczas regat i zawodów lekkoatletycznych, organizowanych zazwyczaj w czerwcu lub lipcu. Podczas Wielkiego Szlema na kortach Rolanda Garrosa upał był tak mocny, że pewnego popołudnia postanowiłem przewietrzyć głowę i kapelusz zostawiłem w biurze prasowym. Poszedłem na obchód meczów. Na każdej bramce ochroniarze pytali: „Gdzie jest kapelusz?”, po czym dodawali: „W zasadzie nie powinienem cię wpuścić”.



KARTY PAMIĘCI, DYSK TWARDE

Systematyczna archiwizacja i zgrywanie zdjęć oraz robienie kopii zapasowych to obowiązek każdego, kto chce się później odnaleźć w swoim archiwum. Igrzyska olimpijskie to mniej więcej 1 terabajt fotografii.

BATERIE, POWERBANK

Energia jest kluczowa. Potrzebna nie tylko mnie, lecz i aparatom, komputerom, telefonom etc. Telefon jako narzędzie wielofunkcyjne w pracy fotoreportera trzeba ładować w zasadzie przy każdej okazji. Podczas igrzysk w Korei mróz dochodził do -30°C, w takich warunkach baterie potrzebują zastrzyku mocy.



ZENEK

Przyjacieli i oddany towarzysz wielu podróży. Z Zenkiem się żyje weselej. Kiedyś w Pekinie dostał swoją filiżankę na herbatę, w Rzymie – swoje nakrycie do stołu i deser. Na wioślarskich mistrzostwach świata w Nowej Zelandii po ceremonii medalowej nasze medalistki upominały się o sesję z Zenkiem.

SUPERTELE

To czterystka, od ogniskowej 400 mm. Pozwala fotografować postać człowieka z kilkudziesięciu metrów, ale także uchwycić motyla, np. między piłkarzami.



TERMOS

Jestem miłośnikiem herbaty. A zimą gorący assam z sokiem z pigwy po dwóch godzinach na 20-stopniowym mrozie smakuje szczególnie. Na igrzyskach w Pekinie przy każdej kontroli bezpieczeństwa należy upić łyk zawartości termosu, aby udowodnić, że to na pewno napój.



KAMIZELKA, AKREDYTACJA

Nieodzowne części wyposażenia fotoreporterów. Dzięki temu sportowcy, sędziowie, służby porządkowe wiedzą, jakie mamy uprawnienia na stadionie, co nam wolno, a czego nie wolno.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

OGNIEM NA WPROST

Co za masakra!

Trwa atak na Benedykta XVI. Celują w nim hierarchowie niemieccy. Po publikacji głośnego raportu monachijskiego, w którym Ratzingerowi zarzucono zaniedbania, gdy był metropolitą Monachium i Freising, odezwał się biskup Erfurtu Ulrich Neymeyr. Głowa diecezji krytykuje papieża seniora i wychwala dokonany przez niemieckich duchownych homoseksualnych coming out, który został odczytany w czasie weekendowych nabożeństw 29–30 stycznia. Neymeyr wyraził poparcie dla akcji „OutInChurch”. W jej ramach 125 osób zatrudnionych w Kościele katolickim w Niemczech, w tym świeccy i duchowni, ujawniło się jako osoby LGBT. Księża, diakoni, katecheci i pracownicy kościelnej administracji protestowali przeciwko nauce Kościoła na temat homoseksualizmu: „Widzieliśmy, że wiele osób, które nie czują się heteroseksualne, jest wykluczonych z Kościoła. To musi się zmienić”. Niestety duchowni zza Odry z uporem godnym lepszej sprawy usiłują w ramach „postępu” zmieniać to, co jest napisane w Piśmie Świętym i Ewangelii. Można się z tym nie zgadzać, ale wtedy droga wolna. Zawsze można wyjść z Kościoła lub zmienić wyznanie. Zresztą Niemcy mają w tej kwestii dużą wprawę. W końcu to u nich działał Marcin Luter – reformator religijny, teolog oraz inicjator reformacji. Tylko wtedy będziemy mieli do czynienia z protestantyzmem, a nie wyznaniem rzymskokatolickim.

Wnarracji propagandowej Kremla pojawił się ostatnio nowy wątek. To polscy najemnicy walczący rzekomo w Donbasie po stronie ukraińskiej. „Jeden z prorosyjskich rebeliantów przekonuje, że w Donbasie pojawili się »polscy najemnicy«, których obecność łamie

prawo międzynarodowe i prowadzić może do wybuchu wojny. Przy okazji insynuuje, że działania Polski są sprzeczne z mandatem RP jako przewodniczącej OBWE” – alarmuje na Twitterze rzecznik koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn. Kolejny ługańsko-donbaski rebeliant twierdzi, że z „polskimi najemnikami” działają również wyszkoleni przez Brytyjczyków „ukraińscy nacjonaliści”. Generalnie nie miałbym nic przeciwko temu. W końcu po stronie samozwańczych republik działa nie jeden „żołnierz fortuny” i draki z tego powodu na Kremlu nie było. Problem polega jednak na tym, że jest to kompletna bzdura. Ale rosyjskie społeczeństwo nie takie już brednie kupowało jak świeże bułki, w związku z tym można wymyśleć jeszcze i to.

215 lat temu, 7–8 lutego pod Pruską Hławą (niem. Preußisch Eylau, dzisiejszy Bagrationowsk w obwodzie kaliningradzkim w Rosji), w zawie śnieżnej i przy kilkustopniowym mrozie odbyła się jedna z najkrwawszych bitew pomiędzy Wielką Armią (ok. 65 tys. żołnierzy i 200 dział) pod dowództwem Napoleona Bonaparte’a a połączonymi armiami Rosji i Prus (ok. 82 tys. wojska plus 470 armat) pod dowództwem gen. Levina von Bennigsen. Podczas niej miała miejsce jedna z największych szarż kawalerii w historii wojen. W śnieżnej zamieci Francuzi stracili orientację i zmienili kierunek marszu, przedefilowując przed szykami przeciwnika. Baterie rosyjskie dosłownie dziesiątkowały Francuzów. Dzieła zniszczenia dokonała szarża rosyjskiej kawalerii, wdzierając się w centrum pozycji Wielkiej Armii. Bonaparte, widząc, że wszystko się wali, podjechał do dowódcy swojej



kawalerii marszałka Murata i powiedział z taką swobodą, jakiej wymagała rozpaczliwość sytuacji: „Joachimie, nie pozwoliś chyba, by ci Azjaci zjedli nas żywcem?”. „Wówczas pierwszy jeździec Francji – jak pisał Waldemar Łysiak w „Cesarskim pokerze” – syn karczmarza w wyszukany złotym kożusku [...] i z pękami strusich piór u kapelusza, siedząc w siodle podesłanym zamiast czapraka lamparcią skórą i dyrygując laską o złotej gałce, poprowadził po lodzie największą szarżę kawaleryjską w dziejach świata”. 90 szwadronów (ponad 10 tys. jazdy) runęło na wroga. Uderzenie było tak potworne, jak uderzenie obuchem w głowę. Szarża ta została odtworzona pod muzykę Franciszka Schuberta w filmie „Colonel Chabert” przez polskich jeźdźców i kaskaderów. Linie rosyjskie pękły i zostały stratowane. Straty francuskie wyniosły 3 tys. żołnierzy zabitych i 7 tys. rannych. Rosjanie i Prusacy stracili ok. 7 tys. ludzi, 20 tys. zostało rannych, 4 tys. wzięto jako jeńców. Bitwa ta, nierozegrana („Quel massacre! Et sans résultat!” – Co za masakra! I bez żadnego rezultatu! – miał powiedzieć marszałek Ney), choć Rosjanie z Prusakami się wycofali, była ostatnią w kampanii zimowej 1807 r. Na rozstrzygnięcie „pierwszej wojny polskiej” i powstanie Księstwa Warszawskiego przyszło poczekać do wiosny i bitwy pod Frydlandem. Dziś prezydent Francji Macron, który lubi się wzorować na Napoleonie, zazdroszcząc mu jego sławy, prowadzi z Rosją politykę ugody. Ale panie prezydencie, nie ma pan szans dorównać swojemu idolowi. Jak mawiają bowiem Amerykanie: „No guts, no glory”.

Andrzej Rafal Potocki

Lekcje ZPT nowej ery



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Laboratoria Przyszłości to rządowy program adresowany do szkół podstawowych oraz ogólnokształcących szkół artystycznych. W ramach programu szkoły otrzymują wsparcie finansowe od państwa na zakup drukarek 3D, robotów edukacyjnych, mikrokontrolerów, stacji lutowniczych oraz sprzętu do nagrań. Nowe wyposażenie ma służyć rozwojowi umiejętności praktycznych, kształtowaniu i rozwijaniu umiejętności manualnych i technicznych, umiejętności samodzielnego i krytycznego myślenia, zdolności myślenia matematycznego oraz umiejętności w zakresie nauk przyrodniczych, technologii i inżynierii, stosowania technologii informacyjno-komunikacyjnych, jak również pracy zespołowej, dobrej organizacji i dbania o porządek na stanowisku pracy oraz radzenia sobie w życiu codziennym. Nowy sprzęt ma się znaleźć na wyposażeniu każdej szkoły podstawowej w Polsce od 1 września 2022 r.

Laboratoria Przyszłości, które mogą budzić skojarzenia z powszechnie traktowanymi z lekceważeniem ZPT (znanymi tym, którzy uczęszczali do szkół w latach 90. i wcześniej), mają za zadanie uatrakcyjnić proces edukacji i wzmacnianie tzw. kompetencji przyszłości – współpracy, interdyscyplinarności, zdolności rozwiązywania problemów i kreatywności. Inspiracją pomysłu wyposażenia szkół w nowoczesne narzędzia są m.in. doświadczenia zaczerpnięte z fińskiego systemu edukacji, a w szczególności założenia tzw. słoju (słój). Wedle nich uczniowie od najmłodszych lat są zaznajamiani poprzez prace ręczne z umiejętnościami manualnymi przydatnymi szczególnie w dziedzinach inżynieryjnych oraz z technikami pracy projektowej. Słuszność wzmacniania u dzieci i młodzieży zdolności manualnych wydaje się za wszelkich miar uzasadniona zwłaszcza współcześnie, w epoce smartfonów i komputerów, które poza wieloma możliwościami otwierającymi się przed ich użytkownikami mają swój wyjątkowo negatywny wpływ w postaci wymuszonego bezruchu, postępujących wad postawy i ograniczenia zainteresowania u najmłodszych pracami ręcznymi. Poznawanie świata przez ekran monitora jest splotem i uboższe poprzez niemożność doświadczania poprzez dotyk.

Martin Grunwald w książce zatytułowanej „Homo hapticus. Dlaczego nie możemy żyć bez zmysłu dotyku” wskazuje, że historia rozwoju ludzkości dowodzi, iż to właśnie poprzez działania manualne rozwinęliśmy umysł i intelekt. Dzieci poznają świat przede wszystkim dotykiem, którego używają już w łonie matki. Dotykanie pomaga małemu dziecku rozpoznać otaczające go przedmioty. Wraz z wiekiem znaczna część receptorów haptycznych zanika, a po 40. roku życia maleje wydolność dotykowa.

Celem wychowawczym słoju jest wpojenie dobrego smaku i miłości do pracy w ogóle, wdrożenie szacunku do ciężkiej pracy fizycznej, lecz użytecznej, rozwój uczucia niezależności i zaufania we własne siły, przyzwyczajenie do porządku, dokładności, schludności, rozwój oka, zmysłu dotykowego, poczucia formy,

jak i zręczności ręki, przyzwyczajenie do uwagi, pomysłowości, do wytrwałości i cierpliwości, pobudzenie rozwoju sił fizycznych, zręczność w posługiwaniu się przyrządami oraz dokładność w wykonaniu robót. Wywodzący się ze Skandynawii system nauczania zręczności w XIX w. został rozpowszechniony nie tylko w Europie, lecz także w Stanach Zjednoczonych i w Japonii. Prace ręczne stanowiły przedmiot nauczania w szkołach galicyjskich, a w okresie międzywojennym polską odmianę słoju propagował Władysław Przanowski – założyciel i dyrektor Państwowego Instytutu Robót Ręcznych w Warszawie.

Zdaniem Przanowskiego prace ręczne uaktywniają zmysły dziecka, wysubtelniają i rozwijają je w sposób naturalny, poza jego świadomością przyczyniają się do rozwoju moralnego i społecznego poprzez wdrażanie do rzetelnej pracy, uczciwego współzawodnictwa, poczucia własnej wartości, poszanowania pracy ludzkiej, altruizmu i pracy w zespole.

Współczesne Laboratoria Przyszłości mają szansę spełnić wymienione wyżej cele, a z pewnością sprawią, że edukacja w polskich szkołach będzie bardziej interdyscyplinarna i innowacyjna, a co za tym idzie bardziej atrakcyjna dla uczniów. 



Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

ZYGFRYDA SCHOENHOFFA

*Członka Rady Nadzorczej Krajowej SKOK,
promotora idei spółdzielczości finansowej, patrioty,
człowieka wielkiego serca.*

Pogrążeni w żałę składamy

Rodzinie i przyjaciółom

*szczerze kondolencje
i przekazujemy słowa otuchy w tych trudnych chwilach*

Zarząd i pracownicy Apelli S.A.

19/02/22/F

A co, gdybyśmy przestali się nawzajem nienawidzić?

Nie mam złudzeń. Polityka nigdy nie była tylko grą interesów i metodą wykorzystania mechanizmów instytucji publicznych i prywatnych. Nie są to również tylko działania polityków, które mają wpływ na nasze życie osobiste i publiczne. To są też żywe emocje, które nie tak dawno były w stanie wywołać dwie wojny światowe.

Porównując współczesność do poprzednich wieków, można ze spokojem stwierdzić, że jest lepiej, niż było. W końcu jako Europejczycy nie wybijamy się nawzajem, podziały klasowe nadal istnieją, ale nie są tak radykalne jak kiedyś. Szerokim strumieniem korzystamy z możliwości przemieszczania się, komunikowania, co pozwala na lepsze poznanie siebie nawzajem. Skoro jest tak pięknie, to dlaczego jest tak źle? Oglądając media, zwłaszcza te społecznościowe, czytając hejterskie komentarze w internecie czy obserwując polityków drących się na innych „wyp...” i za pomocą gwiazdek w wulgarny sposób okazujących innym pogardę, można się załamać. Mam wrażenie, że jako społeczeństwo oficjalnie kochamy się nawzajem, bo przecież wyznajemy takie zasady, jak tolerancja, pokój i miłość, a jednak



Samuel Pereira

w rzeczywistości coraz bardziej się nienawidzimy. Te bańki informacyjne, z których nawzajem się okładamy, są coraz większe. Brakuje nam zrozumienia, że różniąc się między sobą, nie musimy nikogo wypędzać z kraju czy samemu grozić emigracją, ale możemy obok siebie żyć. To wszystko niby jest oczywiste, jednak coraz mniej.

Za nakręcaniem tej nienawiści stoją niestety konkretne cyniczne grupy interesów, politycy, którzy za cel obrali sobie obniżenie poziomu merytorycznej debaty, przy jednoczesnym podgrzaniu garnka z emocjami do poziomu wrzenia. Jeśli zapomnieliśmy, że polityka możemy cenić za słowność, sprawczość i program wyborczy, a nie za agresję, z jaką miesza z błotem tych, których nie lubimy – to znak, że im się udało. Kim są „oni”, niech już sobie każdy sam odpowie. A później usiądźmy z sąsiadem, kolegą, przyjacielem, mamą, tatą, mężem, żoną, siostrą i bratem i – niezależnie od naszych poglądów i opinii – po prostu uśmiechnijmy się do siebie, porozmawiajmy jak ludzie. Prawda, że przyjemnie?

Autor jest szefem portalu tvp.info

Gdy miłość jest obok

*Z aktorem **Wojciechem Solarzem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Celebrytuje pan dzień św. Walentego?

Wojciech Solarz: Niespecjalnie, ale jeśli ktoś jest otwarty na takie święto, nie mam nic przeciwko. Każdy moment jest dobry na okazywanie uczuć.

Chociaż „miłość to nie pluszowy miś...”, a „kochać, jak to łatwo powiedzieć...”, że posłużę się cytataми z piosenek? Tylko co dalej?

Każdy z nas wie, że uczucia bywają skomplikowane. Miłość czasami spada na nas nagle, niekiedy czekamy na nią przez całe życie... Za każdym razem wymaga starań i uwagi. Ta prawdziwa jest czymś więcej niż zakochanie, zauroczenie. Mniej w niej fajerwerków, więc można ją przeoczyć, nawet jeśli jest tuż obok. Jak w filmie „Miłość jest blisko”. Mamy tu do czynienia z bohaterami, którzy dużo już przeszli. Ekranowa Na-

talia (Weronika Książkiewicz) straciła męża, Adam, którego gram, jest po rozstaniu z żoną. Oboje samotnie wychowują dzieci. Lubią się i wspierają od lat...

...i nie bardzo wiemy, czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Otóż to. Mój bohater jest trochę nieogarniętym człowiekiem, marzycielem, który pracuje w biurze podróży, ciągle mówi o dalekich wyprawach, ale jedyna egzotyczna ekspedycja, w jaką się wybrał, to było all inclusive. Mimo to nie rezygnuje z marzeń o niezwykłych przygodach. A dla mnie radością i przygodą był udział w filmie Radka Dunaszewskiego, w którym razem z Olgą Bołądź, Weroniką Książkiewicz i Grzegorzem Maleckim spróbaliśmy opowiedzieć tę historię – zarazem romantyczną, jak i trochę zwariowaną.





117,5 mld

tyle dolarów ma kosztować nowy wielki gazociąg z Rosji – tym razem do Chin

3,5 mld

nawet tylu Polaków w czasie pandemii przynajmniej raz pracowało z domu (zdalnie)

230

tyle kilometrów na godzinę osiągał huragan Batsirai na Madagaskarze. Domy straciło 120 tys. osób

Wzrasta liczebność sił rosyjskich. Czas do możliwego ataku zdaje się coraz krótszy

Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO



Roszczenie główne, czyli zamknięcie kopalni Turów, upadło, bo mamy w tym zakresie ugodę ze stroną czeską. Tym samym nie ma roszczenia dodatkowego, które także padło prof. Genowefa Grabowska, prawniczka

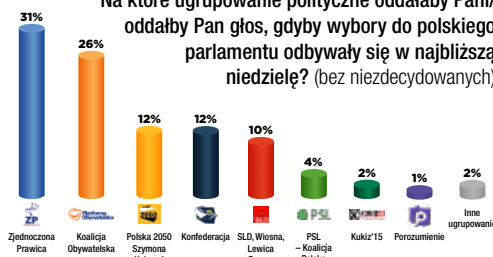
Zachowanie Rosji wobec Ukrainy przypomina nie Finlandię, lecz Polskę w XVIII w., kiedy to imperium carskie miało coraz większą kontrolę nad polską politykę wewnętrzną, ostatecznie współuczestnicząc w trzech rozbiorach „Financial Times”

Zebrał Jakub Maciejewski

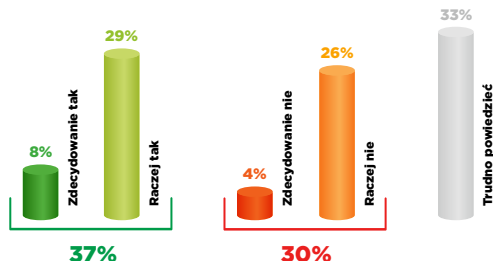


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

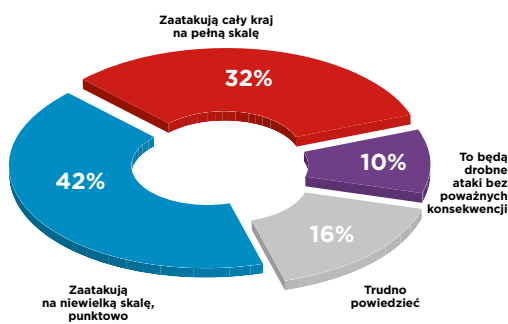
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



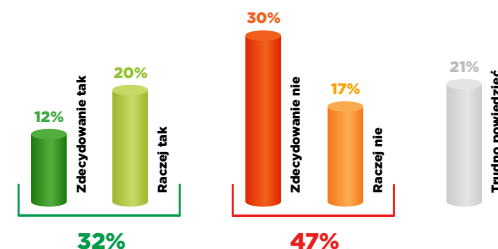
Czy według Pani/Pana Rosja zaatakuje Ukrainę?



Jaka według Pani/Pana będzie skala ataku Rosji na Ukrainę?



Czy jeśli Donald Tusk zdobędzie władzę w najbliższych wyborach, to według Pani/Pana będzie rządził lepiej niż w latach 2007–2015, gdy był premierem?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1078. Zakres czasowy badania 4–7 lutego 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANEK, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ

UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZES RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI,
MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI,
JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZAŁSKI, ANDRZEJ RAFAŁ
POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA
RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK,
BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JEZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZES WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR (K2), GACIMMO MORIN/
SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK (K2)

To prawda, że kryzysów, które przyszły głównie z zewnątrz, jest teraz wyjątkowo dużo. Tworzy to duże ciśnienie polityczne, a w ślad za tym pewną nadzieję po stronie opozycji, że za chwilę się przewrócimy. Ale mylą się. Nie przewrócimy się, wyjdziemy z tych trudności i znowu wygramy

Michał Karnowski
rozmawia z premierem
Mateuszem Morawieckim



Jest ciężko. Ale wyjdziemy z tego

Panie premierze, jak trudny to moment dla obozu Zjednoczonej Prawicy? Bywało gorzej?

Mateusz Morawiecki: Sytuacja jest rzeczywiście bardzo trudna, bo tak wielu kryzysów – przede wszystkim zewnętrznych wobec nas, ale występujących jednocześnie – nie było, jak dobrze pamiętam, od początku III RP. W całej Europie mamy duże problemy z infla-

cją. Gospodarczo Polska radzi sobie całkiem dobrze, nie mamy np. problemów z bezrobociem, ale ludzie patrzą przede wszystkim na wzrost cen, co zresztą doskonale rozumiem. Musimy w związku z tym reagować, pokazując naszą sprawczość w tych elementach, które Polaków najbardziej niepokoją. Stąd dwie tarcze antyinflacyjne, znacząca obniżka ceny paliwa oraz działania na rzecz redukcji

kosztów produkcji rolnej. Do tego pewne wątpliwości związane z wdrażaniem wielkich zmian w systemie podatkowym, napięcia w relacjach z Unią Europejską, pandemia. Wszystko to razem tworzy duże ciśnienie polityczne, a w ślad za tym pewną nadzieję po stronie opozycji, że za chwilę się przewrócimy. Ale mylą się. Nie przewrócimy się, wyjdziemy z tych trudności i znowu wygramy.



O ile się nie pokłócicie.

Zapewniam, że nie popełnimy tego błędu, bo wiemy, jak bardzo zawiedlibyśmy miliony naszych wyborców. Jesteśmy dużym obozem politycznym, jak wielka rzeka, która płynie czasami różnymi nurtami, ma swoje odnogi, ale ostatecznie płynie w jednym kierunku. Różnice są, dostrzegalne dla wszystkich, ale poczucie wspólnego celu – Polski godnej, zasobnej i bezpiecznej – jest oczywiste. Na pewno świadomość, jak narastają ryzyka zewnętrzne, też nas mocno spaja. Rozmawiamy codziennie w ścisłym kierownictwie partii o wiosennej ofensywie programowo-politycznej, bo chcemy pokazać Prawo i Sprawiedliwość jako formację aktywną i mającą pomysł na Polskę.

Nie oczekuję od przedsiębiorców spotykających się z Donaldem Tuskiem wdzięczności, ale uczciwości. Mogliby powiedzieć, że skorzystali z pomocy państwa, podać sumy

Donald Tusk pyta, czy ten rząd ma jeszcze większość. I sugeruje, że nie.

Gdyby pan Tusk miał większość, to złożyłby wniosek o konstruktywne wotum nieufności. Wie, że by je przegrał, bo to my mamy większość, co pokazujemy regularnie na posiedzeniach Sejmu.

Większość do trwania czy do zmieniania kraju? Często słyhać w tych dniach porównanie do buksującego w błocie i piasku pojazdu.

To błędne, niemające potwierdzenia w faktach porównanie. Wszystkie najważniejsze dla nas ustawy – budżetowa, tarcza antyinflacyjna, obniżki cen gazu – zostały skutecznie przegłosowane w Sejmie. Nie przeszła jedna ustawa covidowa, o której wiedzieliśmy, że budzi spory, także wewnętrzne. Przyjęto ją sceptycznie na obu skrzydłach: tych, którzy uważają, że szczepienia muszą być dobrowolne, i tych, którzy chcieliby wdrożyć obowiązkowe szczepienia. My idziemy drogą środka i sądzę, że to jedyne możliwe i racjonalne podejście w walce z pandemią.

Widzę narastające zmęczenie na tle pandemicznym, wręcz irytację. Oraz strategię opozycji, która gra na podwójną premię: zyskania głosów niezadowolonych z obu stron covidowego sporu. Ale przyzna pan premier, że ta ostatnia ustawa, mająca pośrednio przymusić do szczepień za pomocą skomplikowanych systemów kontroli, nie brzmiała specjalnie przekonująco.

Użył pan sformułowania „przymuszanie do szczepień”, a niczego takiego nie planowaliśmy. Przez szeroki program testowania chcieliśmy zwiększyć możliwość zapobiegania transmisji wirusa. Ale chcę powiedzieć jasno: wiem, jak ciężkie te covidowe lata były dla wielu z nas, z jak wieloma wyrzeczeniami i ograniczeniami były związane. Dla rządu to też zawsze były trudne wybory, każda decyzja lub jej zaniechanie wiązały się z jakąś ceną. Na szczęście widzimy, że wariant omikron okazuje się mniej groźny, okres hospitalizacji po zachorowaniu jest znacząco krótszy, obłożenie łóżek szpitalnych mniejsze niż przy poprzednich falach.

Może czas powiedzieć, że to już koniec restrykcji, wirus złagodniał, pewne ryzyko istnieje nadal, ale trzeba wrócić do normalnego życia?

Niestety, ciągle notujemy podwyższoną śmiertelność z powodu Covid-19. Obserwujemy wszystkie dane i wskaźniki bardzo skrupulatnie. Wykonujemy pierwszy krok i zmieniamy zasady kwarantanny i izolacji. Myślimy o znoszeniu kolejnych ograniczeń, ale na razie jeszcze takie decyzje nie zapadły.

Można powiedzieć, że epidemia się kończy?

Muszę być szczególnie ostrożny ze względu na to, co już kiedyś powiedziałem, gdy liczba zakażeń rzeczywiście spadała. Od tamtej pory z jeszcze większą pokorą przyjmuję nieprzewidywalność tej pandemii, ale też uważnie ją obserwuję, by konieczne ograniczenia nie trwały ani dnia dłużej niż to niezbędne.

Rząd dotrzymał słowa, szczepienia były dostępne na każdym kroku, ale skorzystało z nich mniej Polaków, niż wszyscy sądziliśmy. Dlaczego?

Szczepionki były dostępne dla każdego i to warto docenić. Stworzyliśmy bardzo wydajny i dostępny system szczepień. Przyjeliśmy jednak wolnościowe założenie, podobnie jak większość krajów w Europie, że stwarzamy warunki do szczepień, ale jeśli ktoś nie chce, to na siłę do tego nie doprowadzamy. Mam jednak w sobie żal, że tak wielu moich rodaków z tej najlepszej możliwości zmniejszenia ryzyka nie skorzystało. Wiemy, że 80–90 proc. z tych, którzy umarli na COVID-19 w ostatnich miesiącach, to osoby niezaszczepione, a spośród zaszczepionych wielu miało dodatkowe ciężkie choroby. To mnie niesamowicie boli.

Patrząc wstecz – można było zrobić więcej?

Zawsze po fakcie jesteśmy mądrzejsi, ale całociowo patrząc – nie sędzę. Można sobie wyobrazić kolejny lockdown przed piątą falą. Ale też mogłoby wtedy dojść do 100–200-tysięcznych demonstracji, nowych zakażeń i efekt byłby żaden. A pamiętamy, że każde zamrożenie społeczne ma swoje poważne konsekwencje. Polsce udało się uniknąć dużych napięć społecznych na tle walki z pandemią i to jest duży plus. Widzieliśmy te sceny z Holandii, gdzie demonstranci byli szczuci psami, w Niemczech zimą polewano protestujących zimną

wodą, a we Francji policja brutalnie rozpędzała tłumy ludzi. Widzimy, co kilka dni temu wydarzyło się w Kanadzie. Rozumiem, że nikt nie postrzega tego jako problemu z praworządnością, ale też wiemy, że na podobne wypadki w Polsce zareagowano by krzykiem na pół Europy, a może i świata, o łamaniu praw człowieka. Mogę sobie jedynie wyobrazić okładki zagranicznych gazet.

Poprzez zgodę na Nord Stream 2 Niemcy dają Putinowi nabyty pistolet, którym on potem szantażuje całą Europę. Jeśli to nie jest sprzeniewierzenie się podstawowym wartościom Unii, to nie wiem, co nim miałyby być

Nie warto by pomyśleć o jakimś planie zniwelowania negatywnych skutków społecznych pandemii? Utyliśmy, wiele dzieci ma problemy psychiczne, dorośli zresztą też. Wiele chorób nie zostało zdiagnozowanych.

To sprawa dla mnie pierwszoplanowa. Zwiększamy istotnie nakłady na psychiatrię dziecięcą, by tego typu wsparcie było dostępne jak najbliżej. Dostrzegamy złe skutki zawsze dla dzieci i młodzieży, dlatego skrócimy ten okres nauki zdalnej, dzieci wrócą do szkół już 21 lutego. Skracamy domową izolację, znosimy kwarantannę po kontakcie z osobą zakażoną. To ogromna zmiana w przypadku szkół i zakładów pracy. Ministerstwo Zdrowia kładzie i będzie kładło nacisk na profilaktykę, na jak najwcześniejsze wykrywanie chorób i ich szybkie leczenie. Jednym z najważniejszych założeń Polskiego Ładu jest też mocne zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia, by była jak najbardziej dostępna, najlepiej wyposażona, z wystarczającą liczbą pielęgniarek, lekarzy, innego koniecznego personelu.

Jak wygląda stan polskiej gospodarki po pandemii?

Gdyby nie wysoka inflacja, zaimportowana do Polski z zewnątrz, to mógłbym powiedzieć tu kilka dobrych i pozytywnych zdań. Bezrobocie wynosi zaledwie 2,9 proc., co przy takich światowych turbulencjach jest dla mojego rządu ogromnym powodem do dumy. To samo się nie zrobiło – na obronę miejsc pracy wydaliśmy ponad 200 mld zł. Ale to były dobrze wydane pieniądze. Co może być ważniejszego niż praca? Polacy pamiętają, jak wielkim nieszczęściem, tragedią dla rodzin, dla całych regionów jest bezrobocie.

No właśnie, czy pamiętają? Firmy dostały pieniądze, utrzymały płynność i zatrudnienie, ale nie widać wdzięczności. Nie chodzi o padanie na kolana, ale przyjmowanie pana Tuska przez przedsiębiorców, którzy wzięli ogromne dotacje z tarcz antykryzysowych i teraz wspólnie z nim narzekają, że rząd nic nie

pomaga, to jednak pewna obiektywna bezczelność.

Nie oczekuję wdzięczności, ale uczciwości. Mogliby powiedzieć, że skorzystali z pomocy państwa, podać sumy, czas reakcji rządu, warunki udzielonej pomocy. Mogliby też zapytać pana Tuska: „Panie Donaldzie, czy za pana rządów, gdy zdarzył się wielokrotnie mniejszy, ale też bolesny kryzys, była jakaś pomoc? Jakaś tarcza antykryzysowa?”. To oczywiście retoryczne pytania, bo wszyscy pamiętamy, że nic takiego nie było. Główny ideolog tamtej ekipy pan Janusz Lewandowski szczycił się tym, że byli odporni na wezwania przedsiębiorców do ratowania polskich firm w obliczu kryzysu finansowego. A Donald Tusk jako premier nie skonstruował żadnej realnie działającej tarczy. My to zrobiliśmy.

Nie miał pan oporów przed uruchamianiem tarczy antyinflacyjnej? To jednak dość mocna interwencja w proces gospodarczy, utrata podatków, walka z czynnikami zewnętrznymi.

Nie. Nigdy. Dlatego że nam zaufali Polacy, dlatego że pokładają w nas wiarę, że zawsze będziemy po stronie oby-

watela i polskich rodzin. Zasadnicza różnica między nami a ekipami liberałów spod znaku Tuska, Balcerowicza i Rostowskiego polega na tym, że my nie chowamy głowy w piasek, tylko działamy konkretnymi rozwiązaniami, a jak trzeba, to bronimy interesu Polski za granicą. Inflacja przyszła do Polski praktycznie prawie w całości z zewnątrz. To spekulacyjnie podniesione ceny gazu z Gazpromu, to horrendalne koszty unijnego systemu ETS dla finalnej ceny prądu, to walka z pandemią. Jednak polityk nie może siedzieć z założonymi rękami, chować głowy w piasek, tylko musi szukać rozwiązań. Inflacja jest prawdziwym, realnym problemem dla milionów polskich rodzin. Dlatego szukaliśmy sposobów na obniżki cen tam, gdzie mamy na to wpływ. Także dlatego, że inflacja ma często charakter samospełniającej się przepowiedni. Im bardziej wierzymy w to, że będzie istniała, tym dłużej będzie trwała. Im bardziej wierzymy, że będzie wyższa, tym bardziej taka będzie. Dlatego trzeba było mocno i zdecydowanie przeciąć ten sposób myślenia przez wpłynięcie na ceny paliw i żywności. Dlatego obniżyliśmy zdecydowanie ceny paliw i żywności poprzez redukcję VAT i innych podatków. Ekonomisci mówią, że to się już przekłada na ścięcie szczytu inflacyjnego o 2–2,5 pkt proc. To bardzo poważny sukces w walce z inflacją.

To obniżka na pół roku. Potem będzie powrót do starych stawek i bolesny, skokowy wzrost cen?

Liczę, że tak nie będzie i inflacja zacznie spadać. Jeśli nie, to obniżone stawki zostaną utrzymane, dopóki inflacja będzie zagrażać polskim rodzinom. Ja tu nie ulegnę – będziemy utrzymywać obniżone stawki VAT, akcyzy, dodatki osłonowe i tworzyć w razie czego nowe „poduszki bezpieczeństwa” dla społeczeństwa tak długo, jak to będzie konieczne.

Emeryci to jedna z grup, które jednoznacznie zyskały na Polskim Ładzie. Pojawiają się jednak zarzuty, że duża część wzrostu świadczeń zje inflacja. Czy rząd ma na to odpowiedź?

Polski Ład to zmiana systemowa – na lata. Wyrównaniu wartości emerytur,

które tracą przez inflację, służy mechanizm waloryzacyjny. Podjęliśmy decyzję, że w tym roku waloryzacja będzie wyższa niż wynikałoby to z ustawy. Ci mniej uposażeni mogą także skorzystać z dodatków osłonowych, wynoszących nawet 1400 zł, które zmniejszają dotkliwość rosnących cen. Aby pokazać to na twardych liczbach, najniższa emerytura i renta wzrosła od 1 marca o 87,56 zł, do 1338,44 zł. Jeśli chodzi o seniorów pobierających świadczenie blisko średniego, to będzie to wzrost o ok. 190 zł brutto. To jednak nie wszystko. W zeszłym roku wypłaciliśmy jednorazowo 14. emeryturę – od początku mówiliśmy, że będzie to świadczenie

Każda wielka zmiana zazwyczaj łączy się z wieloma niedoskonałościami, problemami proceduralnymi, komunikacyjnymi, technicznymi, informatycznymi. Tak stało się i tutaj.

nadzwyczajne – nie na stałe. Dzisiaj widzimy, że gospodarczo-pandemiczne wstrząsy wtórne połączone z presją energetyczną ze Wschodu są nie mniejszym zagrożeniem dla bezpieczeństwa socjalnego emerytów. Dlatego podjęliśmy decyzję o ponownej wypłacie dodatkowego, 14. świadczenia w tym roku. Zatem jeżeli porównamy, ile dostawali miesięcznie emeryci z minimalnym świadczeniem w 2015 r., do kwot, które będą dostawać w 2022 r., to mamy wzrost blisko dwukrotny – z ok. 760 do ponad 1420 zł.

Czy to wszystko wystarczy do walki o kolejną kadencję? Czy tych ciśnień, kłopotów zwalających się seriami nie jest za dużo?

Moment jest rzeczywiście trudny. Ale stoimy w prawdzie, niczego nie ukrywamy, pracujemy z całych sił, z błędów wyciągamy wnioski. COVID-19 wreszcie przeminie. Już są pozytywne sygnały. Pan prezydent Andrzej Duda dokonał dużego otwarcia w sferze międzynarodowej, w tym nowego otwarcia ze Stanami Zjednoczonymi, prowadzi bardzo aktywną politykę międzynarodową. Zamknęliśmy problem kopalni Turów, podpisując porozumienie z Czechami. Inflacja też spadnie, wdrazamy tarczę antyinflacyjną i za kilka kwartałów będą tego efekty. Mocno pracujemy nad programem mającym obniżyć koszty nawozów sztucznych dla rolników.

Komisja Europejska nadal nie zatwierdziła polskiego Krajowego Planu Odbudowy, w związku z tym nie wypłacono nam zaliczek. A tam zapisane były ważne programy dla polskiej wsi. Mimo braku zatwierdzenia KPO wszystkie programy uzgodnione z polską wsią, z polskimi rolnikami, będą realizowane. A więc emerytura bez konieczności oddawania ziemi, budowa zbiorników retencyjnych, nowy system ubezpieczeń, zwiększenie dopłat powyżej średniej unijnej dla małych i średnich gospodarstw. KE nie powinna tej sprawy blokować, a my walczymy, żeby decyzja zapadła jak najszybciej.

Czy w sprawie KPO jesteście pod jakąś presją? Musimy podjąć decyzję, czy trwamy w tym, mimo braku wypłacenia nam zaliczek, czy wychodzimy i nie żyrujemy dalej wspólnego zadłużenia Unii? Czy w ogóle jest jakieś pole manewru?

Komisja Europejska ze swoim wysokim ratingiem wiarygodności kredytowej na poziomie AAA ma wręcz nieograniczone możliwości finansowania długu, zatem nasze decyzje mają mniejszy związek z naszymi gwarancjami na rzecz UE, a większy z naszą polityką i skłonnością do wypracowania kompromisu. Przy czym musi być ona ograniczona traktatami unijnymi,

możliwością normalnego funkcjonowania sądów, których powołał pan prezydent.

Wierzy pan w to porozumienie?

Jesteśmy z Komisją Europejską w trudnym dialogu, bo niestety czasami posuwa się ona do żądań, które oznaczałyby bezprawny transfer suwerenności na rzecz instytucji centralnych. Żaden z polityków Zjednoczonej Prawicy niczego takiego nie zaakceptuje, dlatego pojawiają się z naszej strony próby wypracowania rozwiązań kompromisowych. Nie będziemy jednak czekać na ich zatwierdzenie, tylko w wielu obszarach, w których KPO powinien w tej chwili ruszać, akumulujemy środki, by działania zapisane w tym programie mogły jak najszybciej wystartować, niezależnie od przekazania środków unijnych.

Czyli one ruszą niezależnie od braku zaliczek, a nawet zatwierdzenia polskiego KPO?

Tak, to sto kilkadziesiąt ważnych społecznie i gospodarczo programów, które uruchomimy sami, nie oglądając się na razie na decyzje Komisji Europejskiej.

Szantażowi zatem nie ulegniemy?

Ujmę to tak: nikt nas pistoletem przedstawionym do głowy nie będzie przymuszał do zmian, ale jesteśmy stale gotowi do kompromisu. Jeśli się uda go osiągnąć, będziemy szczęśliwi. Ale nie czekając na finał, już ruszamy sami z projektami zapisanymi w KPO, będziemy je na razie finansowali ze środków krajowych.

Propozycja prezydenta w sprawie Izby Dyscyplinarnej jest dobrym rozwiązaniem? Akceptowalnym kompromisem?

Będziemy starali się pracować w parlamencie nad propozycją prezydenta i uspołnić ją z koncepcjami, które pojawiały się wcześniej w ramach naszego obozu. Jesteśmy tu w dialogu z prezydentem.

Pojawiły się głosy, że w skrajnej wersji to może być poddanie reformy wymiaru sprawiedliwości. Zakwestionowanie gwarantowanego konstytucyjnie uprawnienia głowy państwa do powoływania sędziów.

Nie wyobrażam sobie, by sędziowie powołani przez prezydenta mieli mieć zakwestionowany status. Są oni absolutnie pełnoprawnymi sędziami i warto zaznaczyć, że nawet gdyby były jakieś wątpliwości proceduralne, choć moim zdaniem ich nie było, to podpis prezydenta i tak sanuje, znosi te potencjalne

Chciałbym uniknąć sytuacji, w której zarabiający poniżej 12 800 zł brutto miesięcznie na umowę o pracę traciliby na Polskim Ładzie. Jeżeli ktoś spełniający te warunki wyliczy, że zapłaci więcej podatku, to ta różnica będzie mu zwrócona

nieścisłości. Blisko dwa tysiące sędziów powołanych przez prezydenta Andrzeja Dudę to wspaniali prawnicy, przyszłość polskiego sądownictwa.

Słyszysz pan zapewne te pytania na polskiej prawicy, czasami padające w kręgach intelektualnych, przez wiele lat życzliwych integracji europejskiej: czy w tej Unii, która się teraz tworzy, jest miejsce dla niepodległej Polski? Są obawy, że to zmierza do przerobienia nas na jakiś land.

Bez wątpienia są siły w Unii Europejskiej, które mocno prą w kierunku centralizacji procesów politycznych, wcześniej demokratycznych. Niektórzy określają to tajemniczym słowem „federalizacja”, ja wolę określać to własnie słowem „centralizacja”. To wiąże się z transferem kolejnych kompetencji, które nie zostały ujęte w traktatach. Jest to zatem proces przekazywania suwerenności do Brukseli. Dlatego właśnie

w Parlamencie Europejskim protestowałem ostro przeciwko takiemu rozpychaniu się trybunałów unijnych i Komisji w obszarach, które nie zostały im przyznane w traktatach. Te instytucje nie mogą same decydować o tym, które kompetencje chcą państwu członkowskiemu zabrać. To są bardzo poważne, prawne kwestie, tu była pewna umowa, której należy dotrzymywać. UE, która byłaby superpaństwem, nie byłaby już Unią suwerennych państw, ale jakąś zdeformowaną, scentralizowaną organizacją.

Ze strony liberalnych ekonomistów i takiej prasy słychać przekonywania, że problem z inflacją to dowód na korzyści z obecności w strefie euro.

Jest dokładnie odwrotnie. Zajmowałem się kiedyś teorią optymalnych obszarów walutowych i dziś widzę, że te państwa, które znajdują się na podobnym etapie rozwoju co Polska, np. Litwa, Łotwa i Estonia, doświadczają bardzo wysokiej inflacji właśnie dlatego, że mając euro, nie mają wpływu na walutę ani poziom stóp procentowych. A kanał walutowy jest dziś jednym z ważniejszych, jeśli chodzi o transmisję inflacji do gospodarki. Dlatego ja zasadniczo opowiadam się za mocniejszym złotym, za wzmocnieniem naszej waluty. Powód jest jasny: dzisiejszy eksport jest zasadniczo bardzo opłacalny, ale skutek koniecznego wsadu walutowego w wielu branżach ta opłacalność słabnie. Trzeba zatem szukać optymalnego poziomu siły naszego złotego, by wszyscy producenci mieli równie dobre warunki do rozwoju.

W jakiej perspektywie powinniśmy pozostać przy złotym?

Przede wszystkim nie traktuję wejścia do strefy euro jako celu. Dla mnie liczy się przede wszystkim rozwój Polski. Powinniśmy zostać przy złotym tak długo, aż poziom dochodu Polaków i struktura polskiej gospodarki nie będą bardzo podobne do wysoko rozwiniętych gospodarek Zachodu. Wtedy można teoretycznie myśleć o uspołnieniu waluty, ale nie jestem pewien, czy do tego czasu wspólna waluta będzie jeszcze istniała. Jest to swego rodzaju eksperyment, który dla krajów o podobnym poziomie rozwoju



ma swoje zalety, takie jak niskie koszty transakcyjne, brak ryzyka kursowego, ale dla państw o innym poziomie rozwoju niesie ze sobą sporo zagrożeń i ryzyk.

Rozmawiamy o programach, które rząd wdrażał i zamierza wdrażać. Zwykle udawało się unikać większych problemów, szło to sprawnie. Co poszło nie tak, że elementy podatkowe Polskiego Ładu dały wrażenie chaosu?

Po pierwsze, jest to największa zmiana podatkowa od 30 lat. I to zmiana taka, która w realny sposób wprowadza solidarny system podatkowy, w którym bogatsi ponoszą sprawiedliwie i proporcjonalnie podobne koszty jak niżej zarabiający. Po drugie, każda wielka zmiana, a wdrażałem takich w swoim życiu kilka, zazwyczaj łączy się z wieloma niedoskonałościami, problemami proceduralnymi, komunikacyjnymi, technicznymi, informatycznymi. Tak stało się i tutaj. I teraz na to drzewo wskazują różne środowiska, a głównie ci, którzy do tej wspólnej kasy, zwłaszcza na służbę zdrowia, będą musieli

Podjęliśmy decyzję o ponownej wypłacie dodatkowego, 14. świadczenia dla emerytów także w tym roku

trochę więcej dolożyć. To grupa około 1,5 mln podatników. Tych, którzy zyskają, jest blisko 18 mln. A na koniec zyskamy wszyscy, bo dzięki urealnieniu składki zdrowotnej będziemy mogli przeznaczyć na ochronę zdrowia 7 proc. naszego PKB.

Jeśli tak, to dlaczego słychać głównie tych pierwszych?

Bo ta milcząca większość ma mniejsze przebicie w mediach, nie jest tak wpływowa. Celebrytów, dziennikarzy, biznesmenów, dobrze opłacanych prawników, dyrektorów korporacji generalnie bardziej słychać niż emerytów, z których

niemal wszyscy zyskali ok. 10 proc. Seniorzy najszybciej, bo już teraz natychmiast otrzymali wyższe świadczenia.

Przyjmuję ten argument, on jest prawdziwy. Ale mimo wszystko tym razem wpadek, niejasności było więcej. Dlaczego?

Mogę tylko za każdy błąd przeprosić, ale też muszę podtrzymać moje stanowisko: poziom komplikacji tego projektu, skala tej zmiany podatkowej, naruszenie interesów bardzo wpływowych grup w interesie całej wspólnoty, nie dadzą się porównać z jakąkolwiek inną reformą. Solidarnościowy system podatkowy to nasze zobowiązanie wobec Polaków.

Mimo to nie bronił pan ministra finansów Tadeusza Kościńskiego.

Pan minister Tadeusz Kościński podjął męską decyzję i sam złożył na moje ręce rezygnację, przyjmując odpowiedzialność polityczną za niedoskonałości we



wdrażaniu zmian podatkowych. Ale proszę też zauważyć, że zanim złożył dymisję, Ministerstwo Finansów naprawiło większość wad technicznych reformy.

Polski Ład jednak chyba nie pociągnie politycznie Zjednoczonej Prawicy.

Opozycja zaatakowała ten szyld, sam program od początku nie miał politycznego szczęścia, o czym mówił w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci” premier Jarosław Kaczyński, i to jedna sprawa. Druga to fakt, że zmiany podatkowe są korzystne dla ogromnej większości, dla wielu neutralne, a negatywnie dotyczą część najlepiej sytuowanych, ale najbardziej wpływowych Polaków. Trzecia rzecz to skala pozytywnych zmian w wielu obszarach, które są w Polskim Ładzie zawarte. Inwestycje w każdej gminie, każdym powiecie i mieście, bardzo wiele inwestycji w polską wieś, dla rolnictwa, zdecydowanie wyższe wydatki na ochronę zdrowia, w tym fundusz modernizacji szpitali, inwestycje w edukację, internet szerokopasmowy dla szkół, laboratoria przyszłości w szkołach. Czy wcześniej, przed wprowadzeniem Polskiego Ładu, można było wybudować na własne potrzeby dom o powierzchni 70 mkw. bez tysiąca zgód i pozwoleń? Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać.

Miejmy nadzieję, że do ataku Rosji na Ukrainę nie dojdzie. Jednak jeżeli nastąpiłaby agresja, to przygotowujemy się na przyjmowanie uchodźców z Ukrainy

Polacy zobaczą te konkretne zmiany wokół siebie i jestem pewien, że za jakiś czas, jak emocje opadną, ten program zostanie oceniony sprawiedliwie. Ja w niego wierzę.

Największą grupą zaskoczonych negatywnie byli zatrudnieni na umowach-zleceń. Słyszeli, że nikt, kto zarabia poniżej 12 800 zł brutto, nie straci, ale okazało się, że mowa jest wyłącznie o zatrudnionych na etatach. Nie można tego nadrobić?

Tu dotykamy problemu pewnej umowy społecznej, że dążymy do tego, by praca opierała się na stabilnych, odpowiedzialnych zasadach uczciwej gry obu stron. Tego w większości chcą Polacy, to Polakom obiecaliśmy, mówiliśmy za-

wsze uczciwie. To jest bodziec, który w tym kierunku powinien przesuwać zatrudnienie. Nie można nagle zmieniać zdania, tak jak pan Trzaskowski, który najpierw przed sylwestrem martwi się o hałas wywołany fajerwerkami i cierpiące z tego powodu zwierzęta, mówi, by ich nie puszczać, a miesiąc później puszcza fajerwerki jak gdyby nigdy nic wraz z panem Jerzym Owsiakiem. Tak działać nie można. Musimy pamiętać, że nasz system podatkowy był skrajnie niesprawiedliwy, nakładał proporcjonalnie większe obciążenia na najmniej zarabiających. Na tle Europy to był dziwny chory ewenement. Wprowadzone zmiany częściowo to prostują.

Jak to dalej ma wyglądać? Mówił pan o możliwości wyboru systemu starego lub nowego dla zarabiających poniżej 12 800 zł. To aktualne?

Zdecydowanie chciałbym uniknąć sytuacji, w której ktoś zarabiający poniżej 12 800 zł brutto miesięcznie na umowę o pracę traciłby na Polskim Ładzie. Tego pułapu będziemy się trzymać. Jeżeli ktoś spełniający te warunki wyliczy, że zapłaci więcej podatku wedle nowych zasad, to ta różnica będzie mu zwrócona. Pracujemy jednocześnie nad rozwiązaniami, które zdecydowanie uproszczą system podatkowy. Część

tych obecnych kłopotów to właśnie efekt narastania przez kilkadziesiąt lat poprawek, systemu ulg, wyjątków, wyłączeń. Nad tym pracujemy, będziemy prezentować zmiany.

Przejdźmy do kryzysu na Wschodzie. Czy Europa zdaje ten egzamin z jednności?

Do europejskich wartości należą solidarność i bezpieczeństwo, a poprzez zgodę na Nord Stream 2 Niemcy dają Putinowi nabity pistolet, którym on potem szantażuje całą Europę. Jeśli to nie jest sprzeniewierzenie się podstawowym wartościom Unii Europejskiej, to nie wiem, co nim miałyby być. Nie tylko w Polsce tak uważamy. Warto odnotować ważny głos niemieckiej nob-

listki Herty Müller, która komentując propozycję wysłania 5 tys. hełmów dla śmiertelnie zagrożonej Ukrainy, zapytała, czy kolejnym krokiem pomocowym w tym stylu nie będzie posyłanie trumien dla ukraińskich żołnierzy. W to rozczarowanie wpisuje się też brak reformy ETS, co trzyma na niebotycznym poziomie ceny energii i jest na rękę Putinowi.

Polska przekazuje Ukrainie broń?

Tak, podobnie jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, przekazujemy broń defensywną, by nasz sąsiad mógł się bronić przed agresją rosyjską.

Z tego może być wojna?

Wszyscy mamy nadzieję na rozwiązania pokojowe, ale też wszyscy wiemy, że chcąc pokoju, trzeba się szykować na wojnę. Im lepiej Polska i wschodnia flanką NATO, ale też Ukraina, będą uzbrojone, tym mniejszy będzie apetyt Kremla, żeby atakować i agresywną, neoimperialną polityką niszczyć aspiracje suwerennych państw. To jest nasza odpowiedź, w którą wpisuje się też przygotowana przez wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego Ustawa o obronie ojczyzny, która ma radykalnie podnieść nasz potencjał militarny, obronny.

Jesteśmy gotowi na ewentualną wielką falę migracyjną z Ukrainy? Niektórzy uważają, że powinniśmy stawiać obozy, gromadzić sprzęt. Wiemy, co się może stać, jeśli Rosja pełnoskalowo uderzy na Ukrainę.

Miejmy nadzieję, że do takiego uderzenia nie dojdzie, jednak jeżeli nastąpiłaby agresja, to przygotowujemy się na przyjmowanie uchodźców z Ukrainy.

Może pan powiedzieć o tym więcej?

Przygotowujemy logistykę, by ewentualne tego typu ruchy migracyjne były jak najlepiej zaabsorbowane przez Polskę. Ale też posłaliśmy cały konwój na Ukrainę, bo w takich sytuacjach pierwszym etapem są migracje wewnętrzne, gdzie potrzeba też kontenerów, łóżek, artykułów pierwszej potrzeby, by ludzie wygnani z domów lub uciekający przed wojną mogli znaleźć schronienie.

Dziś widać w pełni, że także napaść hybrydowa ze strony Białorusi na granicę z Polską była elementem putinowskiej agresji. Na chwilę ta presja osłabła, ale są obawy, że wiosną może się powtórzyć to, co widzieliśmy jesienią. Podziela pan tę opinię?

Zarówno w przypadku presji na Ukrainę, jak i presji na granicy białorusko-polskiej Kreml planuje działania w długiej perspektywie. I w jednym, i w drugim przypadku nie wykluczalbym sytuacji, że ta presja może trwać nie tylko miesiącami, ale i latami. Dlatego budujemy na naszej granicy z Białorusią infrastrukturę fizyczną, która w lepszy sposób będzie w stanie zapewnić jej ochronę.

Zapewniam, że się w Zjednoczonej Prawicy nie pokłócimy. Świadomość, jak narastają ryzyka zewnętrzne, też nas mocno spaja. Rozmawiamy w ścisłym kierownictwie partii o wiosennej ofensywie programowo-politycznej

Lewicowe media narzekają, że bariera szkodzi przyrodzie.

Jest prawicowy „porządek miłości”. Przede wszystkim musimy służyć Polakom, ludziom.

Tematem ważnym dla opozycji, bardzo emocjonalnie tam przeżywanym, jest kwestia rzekomo nielegalnej inwigilacji. Podłącza się pod to już każdy, kto pragnie sławy lub ochrony przed problemami z prawem czy politycznymi. Czy panu coś o takiej inwigilacji wiadomo?

Według mojej najlepszej i najpełniejszej wiedzy nie ma tu nic, ani jednego przypadku, inwigilowania kogoś bez zgody sądu. Nie było ani jednej takiej

sytuacji! Używanie systemów inwigilacji przez służby antykorupcyjne, zwalczające przestępczość jest normą w państwach europejskich, zawsze oczywiście za zgodą sądu, na podstawie bardzo precyzyjnie opisanego wniosku. Dokładnie tak samo dzieje się to w Polsce. Cała reszta jest wymysłem i polityczną hucpą. Ta histeria opozycji nie opiera się na żadnych podstawach, pokazuje tylko, jak bardzo starają się wywoływać ducha, bo to jest raczej seans spirytystyczny, a nie poważna rozmowa.

W tym miejscu, w którym rozmawiamy, wiele razy spotykał się pan z byłym wicepremierem Jarosławem Gowinem, który dzisiaj, po poważnych przejściach zdrowotnych, chce zostać członkiem opozycji, a już jest głośnym krytykiem rządu. Jak pan tę przemianę tego polityka odbiera?

Nie będę odnosił się do jego komentarzy. Był to przez wiele lat nasz kolega w rządzie. Jak często z wieloma ministrami bywa, nie zawsze zgadzaliśmy się w stu procentach, ale było w rządzie miejsce również dla jego poglądów, aktywności, długo zgodnie współpracowaliśmy. Co się stało, że dzisiaj jest inaczej, nie potrafię powiedzieć.

Opozycję uważa pan za poważnego konkurenta?

Nie wiem, czy poważnego, ale na pewno bardzo groźnego, bo mającego potężne wsparcie wewnętrzne i zewnętrzne. Ani jej nie przeceniam, ani nie niedoceniam. Przez swoje powtarzane z goebbelsowską konsekwencją kłamstwa potrafi wielu ludzi skłonić do popierania sił i rozwiązań wbrew ich podstawowym interesom.

Kolejna kadencja samodzielnych rządów Zjednoczonej Prawicy jest możliwa?

Jest nie tylko możliwa, ale jest mocno prawdopodobna. Te plagi egipskie i szarańcze, które się na nas rzuciły, są do przewalczenia, a dobra, wolnościowa i jednocześnie solidarnościowa oferta zyska uznanie Polaków.

*Były wicepremier
chce wrócić do
wielkiej polityki jako
ekspert od Jarosława
Kaczyńskiego.
Problemem jest to,
że karierę w rolach
znawców prezesa
PiS próbowało
już wcześniej
robić kilkunastu
polityków. Żadnemu
nie zapewniło to
sukcesu*



Oferta Gowina



STANISŁAW JANECKI

Jarosław Gowin wrócił po chorobie do czynnej polityki w nowej roli. Wcześniej, nawet kiedy był wicepremierem, krytykował różne posunięcia Prawa i Sprawiedliwości (tzw. wybory kopertowe, reformę wymiaru sprawiedliwości czy rekompensaty dla Telewizji Polskiej za utracone wpływy z abonamentu), ale dopiero teraz objawił się jako ekspert od Jarosława Kaczyńskiego. Najpierw udzielił wywiadu TVN24, a potem „Newsweekowi”, i wprawdzie deklaruje, że może żyć bez polityki, tak jak ona bez niego („Grzeszyłbym pychą, gdybym uwa-

żał, że polska polityka nie poradzi sobie beze mnie”), ale to tylko kokieteria. Gowin wciąż chce być w grze.

Wywiady byłego wicepremiera są mieszanką masochizmu, litowania się nad sobą i opowiadania, jak system niszczy takie wartościowe jednostki jak on, jednak przede wszystkim jest to oferta polityczna. Wprawdzie dość natrętnie przedstawia się jako obrońca klasy średniej oraz rzecznik przedsiębiorców, ale takich jak on „fachowców” od politycznego centrum i liberalnej koncepcji gospodarki jest w polskiej polityce wielu.

Olga Semeniuk, wiceminister rozwoju i technologii, podsumowała działania byłego wicepremiera tak: „Był chwilowym ministrem rozwoju, nie wniósł do gospodarki nic pozytywnego, zajmował się obsadzaniem stanowisk, a nie pracą merytoryczną i nie wniósł żadnego wkładu w funkcjonowanie sektora firm”. Sam

Gowin uważa, że było odwrotnie. Dlatego na początku lutego br. postuluje: „Dziś najważniejsze jest, by wyciągnąć wnioski z tej lekcji, jaką jest porażka Polskiego Ładu”. Bo w skutkach to porażka przedsiębiorców i klasy średniej, których rzecznikiem wciąż się czuje. Polski Ład nazywa „antypolskim chaosem” i „politycznym Frankensteinem”. A skoro stwierdził, że nie da się go naprawić, „dlatego należy zawiesić niemal wszystkie przepisy podatkowe, z wyjątkiem nowej stawki kwoty wolnej od podatku oraz podniesienia drugiego progu podatkowego”. Tu jednak nie jest w ogóle oryginalny. Dlatego w rozmowie z TVN24 za oryginalne uznał to, że „po sześciu latach w koalicji dobrze zna metody działania Jarosława Kaczyńskiego. Jego lęki”. Problemem jest to, że karierę w rolach znawców Jarosława Kaczyńskiego próbowało już wcześniej robić kilkunastu polityków. Żadnemu nie zapewniło to sukcesu.

GŁÓWNY KACZYŃSKOLOG KRAJU

Jarosław Gowin i jego Porozumienie zaistnieli jako w miarę odróżnialny polityczny byt tylko dlatego, że stali się częścią Zjednoczonej Prawicy. Najczęściej partię klasy średniej i przedsiębiorców były tylko sezonowym fenomenem: Polska Partia Przyjaciół Piwa (później Polski Program Gospodarczy), Partia Republikanie (Zbigniewa Religi), Ruch Palikota (później Twój Ruch), Polska Jest Najważniejsza czy Nowoczesna. Obecnie podobną rolę próbują odgrywać Platforma Obywatelska (i wchłonięta przez nią Nowoczesna), Koalicja Polska (stworzona wokół Polskiego Stronnictwa Ludowego) czy Konfederacja. Dla Gowina i Porozumienia, jako samodzielnego podmiotu, miejsca w tym układzie nie ma.

Gowin o tym wie i pewnie dlatego od wyjścia ze szpitala nie robi właściwie niczego innego, jak próbuje się przedstawiać jako ekspert od prezesa PiS. W wywiadzie dla TVN24 (25 stycznia br.) zaczął dekonstrukcję Jarosława Kaczyńskiego: „Kiedy w lutym ubiegłego roku Adam Bielan podjął próbę pozbawienia mnie funkcji prezesa Porozumienia, poszedłem do prezesa Kaczyńskiego i usłyszałem: »Chyba nie sądzicie, że puszcze ci płazem to, co zrobiłeś rok temu«. Chodziło oczywiście o wybory kopertowe. [...] Kaczyński nie był w stanie znieść, że ktoś wyznaczył granice jego władzy. Wyprowadzało go z równowagi, gdy Porozumienie przeciwstawiało się jego polityce”.

Każdy, kto zna choć trochę prezesa PiS, wie, że nigdy nie mówiłby otwarcie o „niepuszczaniu płazem”, bo to infantylna polityka. Gowin raczej sobie to wmawia, a Kaczyńskiego nie rozgryzł wcale. Dlatego opowiada takie rzeczy jak: „W głowie Kaczyńskiego, któremu wmówił to Morawiecki, Polski Ład stał się Świętym Graalem – przepustką do zwycięstwa w kolejnych wyborach”.

Kaczyński to pragmatyk i nic dla niego nie jest „Świętym Graalem”, a co najwyżej jednym z wariantów strategii.

Na pytanie Arlety Zalewskiej z TVN24, „czego dziś boi się Jarosław Kaczyński?”, kaczyńskolog Gowin odpowiada: „Utraty władzy. A właściwie tego, co jego zdaniem nastąpi potem. Czyli czasu rozliczeń, komisji śledczych, dochodzeń prokurator-

skich. Dlatego jest tak zdeterminowany, żeby utrzymać władzę za wszelką cenę”.

Mówienie o tym w kategoriach strachu jest dziecinne, gdy weźmie się pod uwagę, że Jarosław Kaczyński już władzę tracił (w 1992 r. gdy wskutek nocnej zmiany obalano rząd Jana Olszewskiego oraz w 2007 r.), a w czasie rządów PO-PSL, zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, poznał cały wachlarz narzędzi „karnych”. Kierowanie się strachem przypisuje też Gowin Kaczyńskiemu, „gdy po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji pojawiły się masowe demonstracje”. I rzekomo wtedy „w kierownictwie PiS rozważano wyprowadzenie na ulice wojska. Potwierdzam, że tak było. Na szczęście zapobiegliśmy temu wraz z premierem Morawieckim i ministrem Dworczykiem. O ile mi wiadomo, przeciw był też premier Piotr Gliński”.

Wojsko przeciw demonstrantom to bajka i absurd. Jego użycie byłoby tylko możliwe dla ochrony krytycznej infrastruktury państwa, gdyby demonstracje, składającą łatwo sterowalną przez siły zewnętrzne, tej infrastrukturze zagroziły.

Zabawne są też dywagacje Gowina, że „w drugiej kadencji Kaczyński uznał, że dostał mandat do przeprowadzenia rewolucji. Uwierzył, że zmieni Polskę i Polaków na własną modłę. Wszystko podporządkowano utrzymaniu władzy – nawet jeżeli miałoby to uderzać w polską rację stanu”.

Znowu bzdura: kaczyńskolog Gowin powinien wiedzieć, że prezes PiS nigdy nie postawiłby na szali „polskiej racji stanu”. A przełamywanie monopolu liberałów i lewicy w ustanawianiu hierarchii prestiżu w Polsce myli z rewolucją.

JAK DORN

Jarosław Gowin jest jednym z całej serii znawców Kaczyńskiego, którzy wierzyli, że mają jakąś unikatową wiedzę o liderze polskiej prawicy, którą jego przeciwnicy i wrogowie chcą osiąść, bo byłby to klucz do zwycięstwa nad PiS. Przed Gowinem naczelnym ekspertem od Kaczyńskiego był Ludwik Dorn, który też oferował przeciwnikom lidera PiS unikatową wiedzę o nim. Tyle tylko, że to wiedza o uprzedzeniach, urazach i kompleksach samego Dorna. Dlatego ten towar nigdy się dobrze nie sprzedał, gdy chodzi o zamianę go na powrót do

poważnej polityki. Dorn do niej wrócił, a jego „eksperska” wiedza nie miała żadnej praktycznej wartości, tym bardziej że w istocie to nie była żadna wiedza.

Po Dornie „eksperską” wiedzę o Kaczyńskim próbowali sprzedać m.in. Kazimierz Marcinkiewicz, Michał Kamiński, Joanna Kluzik-Rostkowska, Paweł Kowal, Paweł Poncyłjusz, Paweł Zalewski, Radosław Sikorski, Marek Migalski. Część polityków handlujących rzekomą wiedzą o Jarosławie Kaczyńskim dostała jakieś posady, ale nie za tę wiedzę, lecz za zaangażowanie się w najbardziej prymitywną wersję wojny z ich dawnym liderem. Jarosław Gowin idzie tą samą drogą, ale nie jest w stanie być równie prymitywny, jak Michał Kamiński, Kazimierz Marcinkiewicz czy Radosław Sikorski, więc jego oferta nie ma większej wartości. Zostanie instrumentalnie wykorzystany przez opozycyjne media, a potem jego gwiazda zgaśnie – tak jak zgasła Ludwika Dorna, który też nie poszedł w najbardziej prymitywne ataki. Gowina czeka los Dorna, który też był wicepremierem i ministrem, a nawet marszałkiem Sejmu. A teraz jest w polskiej polityce nikim albo tylko kandydatem politycznym emerytem.

Po latach okazało się, że „eksperci” od Kaczyńskiego nie mają pojęcia, jak uprawia on politykę i dlaczego odnosi sukcesy. Przegrali z nim właśnie dlatego, że go nie poznali, a nie odwrotnie. Nie są ekspertami, tylko ignorantami. Kupili to wszystko, co Jarosław Kaczyński chciał im sprzedać, nie wiedząc, do czego zmierza ani jaką rolę im wyznaczył.

Jarosław Gowin dołącza właśnie do grona ignorantów od Kaczyńskiego, którym się wydaje, że go znają i coś ważnego o nim wiedzą, tylko dlatego, że z nim współpracowali i rozmawiali. Wchodząc na ścieżkę eksperta od prezesa PiS, Jarosław Gowin skazuje się na polityczny niebyt, a nawet ośmieszenie – jak Dorn, Marcinkiewicz czy Migalski. Dwaj pierwsi już nie wrócili do pierwszoligowej polityki, ten trzeci z niej wypadł. Owszem, niektórzy zostali nagrodzeni, ale wyłącznie za robienie z siebie użytecznych idiotów. Jarosław Gowin jest wrażliwszy od takich cyników, jak Kamiński czy Sikorski, więc nie tylko nie wróci do wielkiej polityki, lecz ryzykuje, że popadnie w takie same kłopoty jak kilka miesięcy temu. ▀

Kiedy się analizuje politykę PO, zarówno z czasów, gdy była u władzy, jak i później, gdy przeszła do opozycji, widać doskonale, że politycy tej partii w prawie każdej sytuacji się mylili. Pół biedy, gdy szło o rzeczy mniej istotne, gorzej, że kardynalne błędy w rozumowaniu popełniano także w kwestiach najbardziej fundamentalnych dla przyszłości i bezpieczeństwa państwa



Partia pomyłek



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Właściwie to nie należy nadużywać wielkich słów, tak jak robi to na co dzień antypisowska opozycja, zupełnie się przy tym ośmieszając. Jednak w tym przypadku nie można inaczej. Bo to chyba łaska Boża

lub – jak to woli – szczęśliwe zrzucenie opatrności sprawiły, że w tak trudnej sytuacji geopolitycznej, jaką dziś mamy w Europie, na czele polskiego rządu nie stoi ekipa Donalda Tuska.

W czasach gdy Platforma była już w opozycji, jej bezmyślność często wynikała z zacieklego antypisizmu, ze strategii „im gorzej, tym lepiej” i polityki podważania dosłownie każdej decyzji podjętej przez zniechodzony piśowski „reżim”. To oczywiście żadne usprawiedliwienie, ale można przynajmniej wychwycić w tym jakąś spójność, złą, głupią, ale jednak spójność.

Jednak niekompetencja PO widoczna była także wcześniej, gdy partia ta pozostawała jeszcze u władzy. Tego nie da się już wyjaśnić obsesyjną potrzebą odróżniania się od PiS. Politycy PO mieli wówczas swobodę podejmowania decyzji, co więcej – to w ich wyborczym interesie było sprawować tę władzę jak najlepiej. Ale mimo to zachowywali się jak popychane z zewnątrz kukły.

Obserwując intelektualną pustkę Platformy, trudno się dziwić, że partia ta – aspirująca przecież do odzyskania władzy – nie sformułowała nigdy żadnego programu dla Polski. PO nadal jest

popychana z zewnątrz, nie zna nawet dobrze celu, do którego zmierza, bo go sobie nigdy samodzielnie nie wyznaczyła. Dlatego operuje jedynie emocjami, co w zupełności wystarcza jej wyborcom.

Według ostatnich sondaży PO, występująca obecnie pod szyldem Koalicji Obywatelskiej, mogłaby liczyć na mniej więcej 25 proc. głosów. To znacznie mniej niż PiS, ale i tak zaskakująco wysoko, biorąc pod uwagę ogólnie niski poziom tej partii. Widocznie jej wyborcy uważają, że nie zasługują na nic lepszego. Albo mają równie przenikliwy ogłód rzeczywistości co ich partyjni faworyci. Warto więc w kilku punktach przypomnieć, dlaczego PO utraciła władzę i czemu – dla dobra wspólnego – nigdy nie powinna do niej powrócić.

POMYŁKA NR 1: NIEMCY NAS OBRONIA

„Przemówienie Radosława Sikorskiego przejdzie do historii polskiej dyplomacji” – pisał z zachwytu weteran peerelowskiej dyplomacji Marek Grela, pracujący w 2011 r. w polskiej misji w Brukseli. Chodziło oczywiście o słynną berlińską mowę Sikorskiego, w której ówczesny minister spraw zagranicznych wzywał Niemcy do przewodzenia Europie. Grela miał tutaj rację, przemówienie Sikorskiego rzeczywiście przeszło do historii, tyle że jako sztandarowy przykład serwilizmu ówczesnych władz wobec Berlina.

Ten serwilizm miał oczywiście czysto partykularne podłoże, zarówno Tusk, jak i Sikorski zabiegali wówczas o względy Berlina, licząc na błyskotliwą karierę w strukturach międzynarodowych. Tuszkowi to się zresztą udało, w 2014 r. jako zaufany Angeli Merkel stanął przeciw na czele Rady Europejskiej. Jednak w PO istniało – i istnieje do dziś – silne przekonanie, że w polityce opłaca się zawsze stawiać po stronie silniejszego, a skoro Niemcy są w Europie najsilniejsze, to wybór był oczywisty. Nawet w przypadku konfliktu interesów należało zachować lojalność wobec patrona, trochę na zasadzie: jeżeli mój pan mnie lubi, to może będzie mniej lał po mordzie.

Platforma nigdy przy tym nie wierzyła w podmiotowość Polski, w oczach wielu polityków tej partii Polska była jedynie państwem teoretycznym, w którym nie

warto było pokładać większych nadziei. Podczepienie się pod Niemcy, przyjęcie przez Polskę roli prymusa z nawiązką wypełniającego wskazówki nauczycieli z Berlina dawało za to szansę na dołączenie w przyszłości do pańskiego stołu i w miarę równe traktowanie. Szkopuł w tym, że wszystkie te kalkulacje diabli wzięli.

Dziś widać wyraźnie to, czego nie chciała dostrzec PO. Niemcy nigdy nie zamierzały traktować Polski jak równoprawnego partnera. Berlin nie przejmował się polskimi ostrzeżeniami w sprawie gazociągu Nord Stream 2 i teraz – w trakcie kryzysu ukraińskiego – nadal wykazuje się egoizmem oraz nielojalnością wobec sojuszników z NATO.

Nie ma dziś żadnego powodu, aby sądzić, że Niemcy w przypadku zagrożenia Polski zachowałyby się w stosunku do nas inaczej niż wobec Ukrainy. Rachuby Sikorskiego i Tuska okazały się więc nie tylko błędne, lecz zwyczajnie niebezpieczne dla Polski.

POMYŁKA NR 2: NIC NAM NIE GROZI

PO w szczytowym okresie swoich rządów uważała, że nie ma sensu wydawać pieniędzy na bezpieczeństwo, bo przecież w ścisłym sojuszu z Niemcami nic nam nie może zagrozić. Zwłaszcza że Berlin gorąco zachęcał Tuska do resetu z Rosją i dogadania się z Putinem, co ówczesny premier próbował zresztą zrobić.

Na fali polityki détente Platforma dokonała więc spektakularnego rozbrojenia Polski, zwłaszcza na newralgicznej flance wschodniej (w latach 2010–2011 zdecydowano m.in. o likwidacji 14. Suwalskiego Pułku Artylerii Przeciwpancernej, 1. Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej, 3. Brygady Zmechanizowanej oraz 1. Siedleckiego Batalionu Rozpoznawczego), oszczędzano też na zakupach uzbrojenia. Gdy w 2014 r. Rosja anektowała Krym, rząd PO-PSL musiał doznać wstrząsu, bo próbowano nagle zatrzymać niektóre podjęte wcześniej decyzje. Wyrządzonych szkód nie dało się jednak szybko naprawić, a powstałe luki w obronie państwa zaczął dopiero latać rząd PiS. Lepiej więc nie wyobrażać sobie, co działoby się dziś, gdyby PO musiała się zmierzyć ze znacznie poważniejszym zagrożeniem ze strony Rosji.

POMYŁKA NR 3: TO TYLKO UCHODŹCY

Przedsmak tego, jak mogłaby wyglądać polityka PO, mieliśmy podczas hybrydowego ataku na Polskę ze strony Białorusi. Wystarczy przypomnieć sobie posłów Michała Szczęsny i Dariusza Jońskiego maszerujących wesoło w garniturkach z pizzą dla rzekomych uchodźców na granicy. Albo Franciszka Sterczewskiego wywracającego się podczas ucieczki przed strażnikami granicznymi. Albo Janinę Ochojską porównującą Straż Graniczną do zbrodniarzy. Wreszcie samego Donalda Tuska pomstującego na budowę muru na granicy białoruskiej („jeszcze go może do prądu podłączyć”).

Ci ludzie nie chcieli przyjąć do wiadomości, że mamy do czynienia z aktem agresji ze strony białoruskiego satrapy i stojącego za nim Kremla. Można dziś z dużą dawką prawdopodobieństwa założyć, że akcja na granicy wschodniej była przygotowaniem przed obecnym kryzysem na Ukrainie. Atak na granicę miał destabilizować Europę i odwrócić uwagę od działań zaplanowanych wobec Kijowa. Jak trzeba było być głupim albo pełnym złej woli, aby w takiej sytuacji uderzać we własne państwo?

Gdyby władzę sprawowała dziś PO, to plan Putina i Łukaszenki powiódłby się znakomicie. Tysiące ludzi ściągniętych z Bliskiego Wschodu, w tym takich, którzy mają powiązania z terrorystami, wlałoby się białoruskim korytarzem do Polski.

Dowodem na to, że powyższy scenariusz był realny, może być chociażby postawa rządu PO-PSL podczas kryzysu migracyjnego w 2015 r., gdy Ewa Kopacz po początkowym spontanicznym sprzeciwie, została natychmiast zmitygowana przez Niemcy i zdecydowała o przyjęciu przez Polskę imigrantów. „To jest test na przyzwoitość” – powtarzała slogany kanclerz Merkel. Szczęśliwie zaraz potem odbyły się wybory, w których partia Kopacz i Tuska została ukarana za uległość wobec Berlina, a imigranci nie zostali wpuszczeni przez nowy rząd PiS do Polski.

Teraz Platforma gotowa byłaby zrobić to samo, nie oglądając się na żadne konsekwencje i bredząc o „przyzwoitości”. Na szczęście jednak nie ma wpływu na rządy, a i jej patroni są dziś bardziej sceptyczni

wobec imigracji niż kiedyś. Dlatego pomysły wpuszczania do Polski chuliganów rzucających na granicy kamieniami stały się ostatnio mniej chodliwe.

POMYŁKA NR 4: ENERGIA NIE ZDROŻEJE

Kopacz, skoro o niej już mowa, w 2014 r. przekonywała, że Polska pomimo przyjętego wówczas przez jej rząd pakietu klimatycznego posiada darmowe prawa do emisji CO₂, które zagwarantują nam niskie ceny energii. „Jestem spokojna – mówiła wówczas – że po roku 2019 polski prąd nie zdrożeje dla odbiorców”. Mówiła również o solidarności energetycznej Europy, zapewniając, że gdyby doszło do jakichś perturbacji, to przecież wszystko będzie podlegać dyskusji na Radzie Europejskiej, a tam „nic o nas bez nas”. Wydaje się, że Kopacz naprawdę wierzyła w to, co mówiła.

Niemcy w tym czasie realizowały już plan budowy hubu gazowego, rozdzielającego za pomocą sieci rurociągów rosyjski gaz do państw Unii, w tym do Polski. Rząd PO-PSL nie widział zresztą żadnych przeciwwskazań, aby kupować – nawet solidnie przepłacając – paliwo z Rosji. W 2010 r. ówczesny wicepremier Waldemar Pawlak aneksował kontrakt jamalski. Początkowo przewidywano dostawy aż do roku 2037, ostatecznie skończyło się na 2022.

„A co, źle się pali w kuchence rosyjski gaz?” – odpowiadał wtedy na krytyczne głosy Pawlak. Nic więc dziwnego, że nie podejmowano żadnych prób dywersyfikacji dostaw, uzależniając się całkowicie od rosyjskiego monopolisty.

Gdyby nie decyzje podjęte przez PiS w sprawie dostaw LPG, budowy Baltic Pipe oraz zakończenia kontaktu jamalskiego, mielibyśmy dzisiaj gwarantowaną katastrofę energetyczną. Kopacz tego oczywiście nie była w stanie przewidzieć.

POMYŁKA NR 5: EURO TO PEWNY PIENIĄDZ

Być może euro to pewny pieniądź, ale tylko dla Niemiec, które dzięki tej walucie zachowują konkurencyjność na unijnym rynku. Dla innych krajów, w tym dla Polski, euro podwyższa ryzyko polknięcia

przez gospodarczego kolosa zza Odry. Mimo to, a może właśnie dlatego, jedną z pierwszych strategicznych decyzji rządu Tuska była deklaracja wejścia do strefy euro, początkowo była mowa już o 2011 r.

Potem temat trochę ucichł, choć nigdy całkiem nie spadł z agendy PO, więc nie da się wykluczyć, że gdyby rządy tej partii potrwały dłużej, to – tak jak Słowacja czy państwa bałtyckie – mielibyśmy w portfelach europejską walutę emitowaną przez bank we Frankfurcie. Oczywiście to fajnie płacić w niemal całej Europie tymi samymi pieniędzmi, jednak już znacznie mniej fajna jest świadomość, że musieliśmy za to zapłacić utratą kontroli nad własną gospodarką. Przekonała się o tym Grecja i inne państwa południa Europy

Platforma nie rządziła całkiem samodzielnie. Tak się bowiem dziwnie składa, że wiele strategicznych decyzji podjętych przez PO wpisywało się w cudze interesy

– przede wszystkim Włochy – których gospodarki nie przeżyły w najlepszym stanie starcia z Niemcami. Widzą to także państwa bałtyckie, które zmagają się z ponad 10-proc. inflacją, bo frankfurcki bank nie chce na razie podnosić stóp procentowych, a kondycja gospodarek litewskiej czy łotewskiej mało go obchodzi. Podobny stosunek miałby wobec nas, gdyby ekipa Tuska zdołała zrealizować plan wejścia do strefy euro.

POMYŁKA NR 6: PAŃSTWO MINIMUM

O tym, że politycy PO swojego państwa nie lubią, było słychać już podczas nagrań z restauracji Sowa & Przyjaciele. Państwo mogło co najwyżej służyć jako trampolina do karier lub źródło wysokich dochodów. Generalnie przyjęto zasadę, żeby kaso-

wać państwo tam, gdzie tylko się da, aby uniknąć w ten sposób odpowiedzialności. Stąd zwijanie służby zdrowia, które tak bardzo odbiło nam się czkawką podczas pandemii, likwidacja linii kolejowych oraz sprzedawanie wszystkiego, co jeszcze miało jakąkolwiek wartość. W ten sposób Polska oddawała swoją gospodarkę zagranicznej konkurencji w myśl hasła sformułowanego przez Rafała Trzaskowskiego: po co nam własne lotnisko, skoro jest już w Berlinie. Tusk był gotów nawet zrezygnować z LOT i oddać w ten sposób biznes lotniczy Lufthansie.

W tym pędzie do ograniczania własnych ambicji, działowania i pozbywania się narodowego majątku PO nie liczyła się niczym, nawet z bezpieczeństwem państwa. Słynna jest historia Lotosu oraz Grupy Azoty, które niemalże wpadły w tamtym czasie w ręce Rosjan. „Nie ma żadnej ideologicznej przesłanki, by mówić kategorycznie nie inwestorom z jakiegokolwiek kraju, także z Rosji. Nasi sąsiedzi są również od tego, abyśmy robili z nimi wspólne interesy” – mówił w 2011 r. Tusk.

Gdyby Putin się nie pospieszył i nie zaatakował w 2014 r. Ukrainy, płosząc tym rząd PO-PSL, to kto wie, czy nie kupowalibyśmy dziś paliwa z rosyjskiego Lotosu, a naszych rolników nie zaopatrywałby w nawozy chorobliwie antypolski Wacław Kantor, którego koncern chciał przejąć Grupę Azoty. Niewykluczone zresztą, że dziś Rosjanie postanowiliby zamorzyć nas głodem.

Poziom szkód, które pozostawiły po sobie rządy PO, jest trudny do oszacowania. Można się jedynie pocieszać, że część z nich udało się naprawić, choć kosztowało to nas dziesiątki, o ile nie setki miliardów złotych. Gdyby jednak Platforma porządziła dłużej, to byłby już popot szwedzki – straty nie do odrobienia.

Bezmyślność PO nie była tylko skutkiem braku kompetencji. Wyraźnie widać po załączonych wyżej przykładach, że Platforma nie rządziła całkiem samodzielnie. Tak się bowiem dziwnie składa, że wiele strategicznych decyzji podjętych przez PO i osłabiających państwo wpisywało się w cudze interesy. Przypadek? Głupota? Niech państwo sami ocenia. 



Fot. Andrzej Wiktor

Caly projekt Andrzeja Dudy wyczerpuje się w opisie szczegółów owego manewru. Ma to być bowiem ustawa czysto sanacyjna, czyli taka, która nie ma na celu reformowania, unowocześniania ani usprawniania polskiego systemu sądowego, lecz jedynie usunięcie rzeczywistych bądź urojonych wad (w zależności od punktu widzenia), jakimi ów system został dotknięty w wyniku reformy 2017 r., przełamującej jego wcześniejszy korporacyjny charakter. To właśnie skutkiem owych wad jest z jednej strony swoista krajowa wojna sędziów, w której frakcja starych nie przebiera w środkach, aby tak czy inaczej zniszczyć frakcję nowych, z drugiej zaś – coraz ostrzejsze retorsje zapadające przeciwko państwu polskiemu w różnych instytucjach międzynarodowych.

POLITYCZNY SENS USTAWY

Jeśli uważnie przestudiować projekt wniesiony teraz do Sejmu przez Dudę, to polityczny sens propozycji w nim zawartej można by opisać w taki mniej więcej sposób. Otóż niezależnie od tego, co kto uważa na temat wad reformy 2017 r. – czy je traktuje jako rzeczywiste, czy urojone – trzeba się na gruncie polityki umówić, że kluczowe zarzuty formułowane przez instytucje międzynarodowe muszą zostać potraktowane poważnie. To znaczy nie tylko, że Polska przyjmuje do wiadomości polityczne istnienie owych zarzutów, lecz liczy się również z realną polityczną siłą, jaka za nimi stoi. Uznajemy zatem, że cały problem nie dotyczy kwestii racji ani słuszności – o nich nawet nie warto dyskutować – lecz polityki i siły. Więc na takim gruncie proponujemy uczciwe środki sanacyjne mające przezwyciężyć wady reformy, choć naszym zdaniem nie są one niczym więcej, jak złośliwym wymysłem politycznych wrogów obozu rządzącej dzisiaj Polską prawicy. Ten projekt jest po prostu klasycznym produktem szkoły politycznego realizmu.

Idzie w nim przede wszystkim o zarzuty Komisji Europejskiej, która jest motorem

Ogłoszony 3 lutego prezydencki projekt zmian w sądownictwie to próba przeprowadzenia czegoś na kształt manewru frontowego. Opuszczone mają zostać najbardziej wysunięte przyczółki, na które od dawna spada grad nieprzyjacielskich pocisków, przy jednoczesnym umocnieniu własnych głównych pozycji



JAN ROKITA

najbardziej kłopotliwych dla państwa polskiego retorsji politycznych, sądowych i finansowych. W toku październikowego sporu z premierem Morawieckim na forum Parlamentu Europejskiego szefowa Komisji Europejskiej von der Leyen w tonie dość obcesowym mówiła: „Polska wie, co ma czynić, więc niech to czyni”, powtarzając trzy żądania: likwidacji Izby Dyscyplinarnej, powrotu do orzekania sędziów skazanych przez tę izbę i zabezpieczenia niezawisłości sędziów. Ci bowiem (wedle unijnej doktryny) są sędziami UE, ich niezawisłość jest zaś gwarancją uczciwego wydawania przez Polskę unijnych funduszy. Co prawda w tym ostatnim argumente trudno doszukać się jakiejś logiki, ale polityczny pomysł Dudy polega właśnie na tym, aby przejść do porządku nad takimi „drobiazgami”, biorąc za dobrą monetę każde z tych żądań. Dlatego projekt mówi w istocie trzy rzeczy.

Po pierwsze, skoro tak nie chcecie Izby Dyscyplinarnej, to ją znosimy. Po drugie, skoro podważacie jej orzeczenia dyscyplinarne wobec sędziów, to otwieramy ścieżkę ich kontroli. I po trzecie, skoro kwestionujecie niezawisłość sędziów

powołanych przez Dudę, to tworzymy nadzwyczajną procedurę „testu niezawisłości”, której może zostać poddane każde orzeczenie wydane z udziałem tych sędziów.

Tak więc swoista sanacja postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów ma być dwójakiego rodzaju. Po pierwsze, postępowania owe ma prowadzić nowa izba Sądu Najwyższego (Izba Odpowiedzialności Zawodowej), która już nie będzie odrębna od reszty całego sądu, jej członkowie nie będą uprzywilejowani finansowo ani w jakikolwiek inny sposób. Jak wiadomo, to właśnie te, raczej drugorzędne, cechy Izby Dyscyplinarnej dały Komisji i Trybunałowi UE pretekst do walki z tą instytucją na śmierć i życie. Nowa izba będzie zatem „zwyczajna”, a nie „nadzwyczajna”, a orzekać w niej będą sędziowie wybrani przez prezydenta spośród wylosowanych ślepym trafem sędziów pozostałych izb Sądu Najwyższego.

To jedna ścieżka sanacji. Druga – zgodnie z żądaniami von der Leyen i zarzutami unijnego trybunału – to kontrola orzeczeń dotychczas wydanych wobec sędziów. W ciągu pół roku każdy sędzia skazany przez Izbę Dyscyplinarną może doprowadzić do wznowienia prowadzonego przeciw niemu procesu, już przed nowym „zwyczajnym” składem dyscyplinarnym. To w praktyce oznacza, że każdy z tych, którzy ogłosili się w przeszłości istnymi męczennikami okrucieństw popełnianych przez Izbę Dyscyplinarną, może dostać satysfakcję powtórnego procesu.

TEST NIEZAWISŁOŚCI

Najbardziej przemyślnym, a zarazem kontrowersyjnym pomysłem Dudy jest jednak ów „test niezawisłości”, skonstruowany w art. 7 projektu. Tutaj w ogóle tkwi polityczne sedno ustawy, a prezydent mierzy się tu z czymś na kształt kwadratury koła.

Jak wiadomo, Komisja Europejska, międzynarodowe sądy, polskie partie opozycyjne i opozycyjne media, a także antyrządowe organizacje sędziowskie

upierają się, że sędziowie mianowani przez Dudę po roku 2017 nie są sędziami; sądy, w których orzekają, nie są sądami, a wyroki wydawane z ich udziałem nie są wyrokami. Taki stan rzeczy powoduje nie tylko rosnącą anarchizację całego systemu sprawiedliwości, która wraz z upływem czasu dotyka już nie tysiący, ale dziesiątków tysięcy obywateli stających przed sądami (a państwo bez sprawiedliwości niewiele różni się przecież od jaskini zbójców, by przywołać stare porównanie św. Tomasza). Wywołuje również efekt tragigroteskowego kuriozum wokół Polski na arenie międzynarodowej.

Dość sobie uświadomić, że strasburski Trybunał Praw Człowieka mechanicznie kwestionuje każdy wyrok wydany w Polsce z udziałem sędziego mianowanego przez Dudę po reformie, przyznając potężne odszkodowania cwaniakom i oszustom wykorzystującym ten pretekst do uchylenia się od sprawiedliwości. Co prawda o pomstę do nieba woła cynizm strasburskich prawników, którzy spośród 47 państw Rady Europy tylko sędziów powołanych przez Dudę a priori uznają za wyzutek z niezawisłości, a nie mają tego rodzaju wątpliwości co do rosyjskich sędziów powołanych przez Putina, tureckich przez Erdoğan czy azerskich przez Alijewa (wszystkie te kraje są członkami Rady Europy). Ale Duda zdaje się rozumieć, że puste oburzanie się owym strasburskim cynizmem jest z punktu widzenia polskich interesów dość nieproduktywne.

Niezwykła i chyba nigdzie dotąd nieznaną procedurą „testu niezawisłości” ma zmusić każdego, kto powołuje się na brak niezawisłości sędziego w swoim procesie, do przedstawienia (jak mówi art. 7 projektu) „okoliczności uzasadniających lub co najmniej uprawdopodobniających” zarzut braku niezawisłości konkretnego sędziego w konkretnym procesie. Łatwo przewidzieć, że w 99 proc. przypadków takie rzeczowe uzasadnienie zarzutu niezawisłości sędziego będzie praktycznie niemożliwe, skoro owi zarzut nie jest dotąd formułowany z jakichś merytorycznych powodów, ale jako koncept na polityczną walkę z polskim rządem i reformą osłabiającą korporacyjność wymiaru sprawiedliwości. Duda próbuje teraz przesterować

ową grę polityczną przeciw państwu polskiemu w kierunku wymuszenia sformułowania konkretnego zarzutu wobec konkretnego sędziego. W ciągu pół roku taki zarzut mógłby postawić każdy uczestnik procesu z udziałem Dudowego sędziego, ze skutkiem przyznania mu zadośćuczynienia do kwoty 20 tys. zł i otwarcia drogi do procesu odszkodowawczego przeciw skarbowi państwa. O ile oczywiście owa zawisłość sędziego zostanie wykazana.

CZERWONA LINIA

Z punktu widzenia logiki prawa trudno by było podnosić (np. w Strasburgu) zarzut braku niezawisłości sędziego, nie ko-

Kluczowe w sanacyjnym projekcie Dudy jest to, że proponując poważne podejście do zagranicznych zarzutów wobec reformy z 2017 r., jednocześnie uchyła on żądanie cofnięcia skutków tamtej reformy

rzystając wcześniej z drogi do sądowego zbadania owego zarzutu, otwartej przez polskie prawo. Dla prawników chcących kontynuować batalię przeciw polskiemu rządowi byłby to twardy orzech do zgryzienia. Oczywiście nie ma gwarancji, że o władnięci fanatyzmem polityczni wrogowie polskich władz nie przeskoczą i tej przeszkody, nie zważając na logikę prawa. Na takie zagrożenie wskazują nie bez racji politycy Solidarnej Polski – ministrowie Warchoń i Wójcik. Ich pesymizm nie jest pozbawiony uzasadnienia. Przeciwnie, dotychczasowe doświadczenia każą go traktować z całą powagą.

Pytanie brzmi tylko, czy istnieje jakiś pomysł alternatywny na przywrócenie w Polsce elementarnej praworządności, która faktycznie została rozchwiana na skutek rebelii sędziów, krajowych i zagranicznych. Nawet gdyby bowiem uznać,

że sędziów krajowych państwo przywoła do porządku postępowaniami dyscyplinarnymi, za wysoką cenę narastających retorsji instytucji unijnych, to i tak nadal nie wiadomo, co robić z wyrokami sądów międzynarodowych, jak choćby trybunał strasburski. Czy zatem Polska, jako dyktatura gwałcąca prawa człowieka, ma uciec z Rady Europy, pozostawiając w niej słynące z umiłowania praw i swobód obywatelskich Rosję, Turcję czy Azerbejdżan?

Kluczowe w sanacyjnym projekcie Dudy jest to, że proponując poważne podejście do zagranicznych zarzutów wobec reformy z 2017 r., jednocześnie uchyła on żądanie cofnięcia skutków tamtej reformy, formułowane otwarcie przez polską opozycję i związane z nią antyrządowe organizacje sędziowskie. Duda mówi tym projektem mniej więcej tak: możemy się zgodzić na procedury gwarantujące wnikliwe badanie zarzutów stawianych reformie, w tym także kluczowego oskarżenia o brak niezawisłości sędziów, ale nie ma mowy ani o delegalizacji sędziowskich powołań, ani o powrocie do skompromitowanej formuły KRS jako towarzysko-politycznej koterii kontrolującej dobór nowych sędziów.

Jeśli gdzieś winna być jasno narysowana czerwona linia, to właśnie w tych dwóch punktach, gdyż to one wyznaczają zdobycze reformy z 2017 r., zarówno jeśli patrzeć na nią z perspektywy dobrego ustroju państwa, jak i interesu obywateli, czyli klientów sądownictwa. Niemal z pewnością takie postawienie sprawy nie usatysfakcjonuje większości partii opozycyjnych, gdyż te szukają narzędzi kompromitacji obozu władzy, nie zaś dowodów jego dobrej woli. Nie można też być pewnym, że uchwalenie ustawy sanacyjnej okazałoby się skuteczną formą neutralizacji zagranicznych przeciwników rządzącej u nas prawicy. Ci bowiem dążą do wzięcia Polski w kleszcze politycznych i finansowych retorsji z jednej strony oraz spadających co parę dni wyroków sądowych, niszczących polski system sprawiedliwości z drugiej. Jeśli coś nie budzi wątpliwości, to jedynie to, że ustawa Dudy popsułaby im przynajmniej na jakiś czas szyki, zmuszając do przegrupowań sił i wyhamowania ofensywy na niektórych odcinkach frontu. Polska potrzebuje takiej „pieriedyszki”. ▀

Nikt nie chce poniżać Rosji

Kreml zbyt szybko uwierzył we własną propagandę, że człowiek zachodni jest zdemoralizowany, a więc słaby. Wszelkie przemiany społeczne na Zachodzie, czy się one Rosji podobają, czy nie, nie dotknęły sfery bezpieczeństwa ani obronności



Z Jakubem Kumochem, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP i szefem Biura Polityki Międzynarodowej, rozmawia Marcin Wikło

Jak by pan ocenił moment historii, w którym się dzisiaj znajdujemy?

Jakub Kumoch: Używając obrazowego języka, następuje przesunięcie się płyt tektonicznych. Chciała je zainicjować Rosja, uważając, że to dobry moment na uzyskanie korzystnej pozycji w skali globalnej. Problem powstał, bo ta druga płyta – czyli NATO i Stany Zjednoczone – okazała się wcale nie tak łatwa do przesunięcia. Co więcej, napór Moskwy wzmocnił jedność naszych sojuszy oraz Unii Europejskiej, i to w stopniu, którego sami się nie spodziewaliśmy.

Jakie może być myślenie Władimira Putina? Czy ta rosyjska płyta tektoniczna ma napierać mimo naszego oporu?

Wydaje mi się, że Kreml zbyt szybko uwierzył we własną propagandę, że człowiek zachodni jest zdemoralizowany

(bo tak to postrzega), a więc słaby. A jednak wszelkie przemiany społeczne na Zachodzie, czy się one Rosji podobają, czy nie, nie dotknęły sfery bezpieczeństwa ani obronności. W każdym kraju armia jest nadal armią, służby są służbami, państwo jest państwem.

Putin nie jest typem człowieka, który przyzna się do błędu i wycofa z dotychczasowych działań. Oceniam, że raczej będzie brnął, więc musi paść pytanie, jak blisko wojny dzisiaj jesteśmy?

Oczywiście, że do błędu tak wprost się nie przyzna, ale przestrzegam przed zbyt prostym ocenianiem go jako człowieka szalonego. Jest bardzo racjonalny. Czego więc on dzisiaj może chcieć? Odbudowy Związku Radzieckiego? Nie, przecież Rosjanie byliby w nim mniejszością, a on przez dwie

dekady rządów przywrócił jednak swoim obywatelom poczucie godności i silnej tożsamości. Myślę, że to, co naprawdę uważa za swoje zadanie, to budowa stabilnego systemu przekazywania władzy, który nie utopi tego, co zbudował, zaraz po jego odejściu. Niepopularna wojna dzisiaj mogłaby te plany przekreślić, a Rosję wrócić do punktu wyjścia – upadku z lat 90.

Co to znaczy „niepopularna wojna”?

Niepopularna wojna to taka, której nie wygrywa się szybko i efektywnie, z której żołnierze wracają w trumnach. Taka, którą toczy się przeciwko ludziom, których Rosjanie nie nienawidzą. Przecież większość z nich nie odczuwa wrogości wobec Ukraińców, wręcz uważają ich za braci. Może tylko, ulegając propagandzie, myślą, że to rząd w Kijowie jest nie taki, jak być powinien. Ale to nadal za mało. Pomimo niekiedy groteskowej



Fot. Andrzej Skwarczyński

propagandy w mediach większość Rosjan, i to zdecydowana, wojny nie chce.

Jak więc z Putinem dzisiaj rozmawiać, by odszedł od planu konfliktu? Prośbę? Groźbę? Sankcjami?

Są dzisiaj dwie drogi, które są realizowane równolegle. Po pierwsze, droga odstraszenia. Czyli wzmacnianie potencjału obronnego Ukrainy i głośne mówienie, jakie będą konsekwencje zbrojne ataku – gospodarcze, wojskowe, polityczne. Polska jest jednym z krajów, które uważają, że takie działanie zmniejsza prawdopodobieństwo wybuchu wojny. Jesteśmy tutaj praktycznie jednomyślni z partnerami np. z Wielkiej Brytanii i bardzo często ze Stanów Zjednoczonych. Po drugie, droga dialogu, czyli upraszczając – „musimy z nimi rozmawiać, by nie dać im pretekstu do zaatakowania”. To jest droga Francji czy Niemiec, postulowana też przez część establishmentu amerykańskiego. Jeśli te plany są realizowane wspólnie i w porozumieniu, to prowadzą do jednego celu. Jedna droga

pokazuje cenę wojny, a druga pozwala wyjść z twarzą.

Na co Moskwie pozwolić nie wolno?

Polska zdecydowanie odrzuca trzecią drogę, drogę targu, zwaną też wariantem monachijskim. Czyli „nie atakujcie, a my wam ustąpimy”. Tak to nie będzie działało nigdy.

O fizycznej obecności wojsk NATO na Ukrainie nie ma mowy. Dozbrajamy ją za to militarnie. Czy to wystarczy?

Popatrzmy na to na chłodno. Mamy za naszą wschodnią granicą naród, który chce się bić. Ukraina jest w stanie zmobilizować wielusettyśieczną armię, nie potrzebuje na swoim terytorium ani nie wymaga od swoich sojuszników ani jednego obcego żołnierza. Musi natomiast mieć nowoczesny sprzęt i pomoc, by funkcjonowała ich gospodarka. Dostarczanie im tego jest dosyć łatwe, to nie jest kraj odległy ani odcięty geograficznie, jak np. Polska w 1939 r. Przy odpowiedniej determinacji Zachód stać na wsparcie długiego oporu Ukraińców.

A jaka jest w tej układance rola Chin? POCO tak naprawdę prezydent Andrzej Duda pojechał do Pekinu, bo nikt nie uwierzy, że po to, by pogratulować medalu Dawidowi Kubackiemu.

Oczywiście, że to nie był główny cel, a pobyt na dwóch wydarzeniach sportowych zajął prezydentowi raptem kilkadziesiąt minut. Jego głównym celem była poważna rozmowa z Xi Jinpingiem. Nie było dla nas żadnym zaskoczeniem, że Chiny chcą rozwijać handel z Unią Europejską przez Polskę. Ważne było więc dla nas, by przekazać chińskiemu prezydentowi jasną i rzetelną informację, że w przypadku wojny na Ukrainie czy Białorusi, ten eksport do Europy po prostu stanie, że wielka idea pasa i szlaku ucierpi.

Na jaki grunt trafił tam przekaz polskiego prezydenta?

Chiny są bardzo racjonalnym graczem. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to nie jest państwo ideologiczne czy zacietrzewione. A w handlu jest w stanie współpracować z każdym, bo interesuje go własny interes. To był pierwszy punkt zaczepienia do rozmów. Kolejnym było promowanie idei, że jest na świecie potrzebny jeszcze ktoś duży, spoza Zachodu, kogo interesują działania na rzecz światowego pokoju. Gdyby pojawiła się trzecia siła, to mogłoby to dać Moskwie możliwość wyjścia z obecnego impasu z twarzą. Rosji nikt nie chce poniżyć ani znieważać. Wierzmy, że wszyscy możemy z tego konfliktu wyjść cało.

Dlaczego akurat Chiny miałyby mieć taki posłuch u Putina? Jak jest przełożenie Pekinu na Moskwę?

Widzieliśmy to niedawno w Kazachstanie, gdzie Rosjanie wprowadzili swoje siły i bardzo szybko się wycofali. Chiny mają z Rosją dwa odcinki graniczne, w tym jeden bardzo długi. Chiny to kraj, którego potencjał militarny jest wielokrotnie większy od rosyjskiego, z którego zdaniem Rosja zawsze musi się liczyć. Alienowanie Chin i ostantacyjnie nie liczenie się z ich zdaniem to w Azji i na Dalekim Wschodzie aberracja.

Dlaczego Chiny miałyby chcieć grać w jednej drużynie z największym

światowym rywalem, czyli Stanami Zjednoczonymi?

Bo Chiny są mocarstwem handlowym. Trudno mi przyjąć logikę, by Xi Jinping był zainteresowany wojną w Europie, gdzie chce rozwijać swoją potęgę eksportową. Zresztą w wypowiedzi prezydenta Chin nie było żadnej antyzachodniej retoryki, padło natomiast znamienne zdanie, że chce rozwijać stosunki z Polską i Unią Europejską. I bardzo wyraźnie powiedziano, że Chiny opowiadają się za pokojem. Owszem, nie są sympatykiem NATO i podobnie jak Rosja nie chcą jego rozszerzania, ale pokój jest priorytetem. I to był cel, nie oceniać swojej polityki na innych polach, ale wygłaskować zapewnienie, że ma być spokój na pasie i szlaku.

Wśród aktywności pana prezydenta była ostatnio także wizyta w Berlinie i udział w spotkaniu reaktywowanego Trójkąta Weimarskiego. Co takiego musiało się wydarzyć, że ten format ożył po 11 latach?

Prezydent Duda jest wiarygodnym partnerem dla obu rządów. Inicjatywa wyszła ze strony Niemiec, gdzie jest nowy gabinet, który chciałby rozwoju stosunków z Polską, ale podchwycił ją bardzo ochoczo prezydent Emmanuel Macron. Pamiętajmy, że stosunki obu prezydentów są bardzo dobre. Mówiłem zresztą już parę miesięcy temu, że pracujemy nad odnowieniem relacji w ramach Trójkąta i że zbliżenie polsko-francuskie, które jest dziełem Andrzeja Dudy, daje na to szansę.

Jaki jest zysk dla Polski z tego formatu?

Zbudowanie modelu, w którym Zachód mówi jednym głosem. Oczywiście, że różnimy się w naszej percepcji, ale nie różnimy się co do tego, że agresję ze Wschodu należy powstrzymać. Teraz jest moment na przełamanie podziałów wewnątrz Zachodu i głupotą byłoby z niego nie skorzystać.

Partnerstwo z Niemcami, które wysyłają w świat bardzo niejednoznaczne sygnały, inne w sferze deklaratywnej, a inne w realnym działaniu, może nie być łatwe.

Ograniczeniem Berlina, mającym wciąż korzenie w II wojnie światowej, jest brak przyzwolenia na użycie siły na Wschodzie. Rosja wchodzi na Ukrainę, a niemiecka klasa polityczna nie jest w stanie zgodzić się na to, że wojny obronne są czasem konieczne. Niemieccy dyplomaci często o tym mówią, że to krępuje ich kraj. Niemcy nie miały problemu ze wspieraniem Chorwacji w 1991 r., nie mają problemu z eksportem broni, nie mają problemu z przekazywaniem uzbrojenia nam. Ale gdy pojawia się słowo „Rosja”, jest paraliż. Mówię zresztą coś, co mówią mi sami Niemcy. Jest pewien problem.

Przeradza się to w jakąś groteskę, gdy dowiadujemy się, że na Ukrainę wysłał helmy. Czy to nie powoduje utraty wiarygodności?

Niemcy bardzo sobie tym zaszkodziły politycznie, ale my nie chcemy tego wykorzystywać. Nie możemy pozwolić na to, by agresja Putina przemieniała się we wzajemne boksowanie się pomiędzy sojusznikami Zachodu. Jeśli Niemcy nie są w stanie dać broni, niech dolożą się do wspólnego planu w inny sposób. Niech sponsorują szpitale, niech wciągną Rosję w negocjacje, które dadzą Putinowi możliwość wycofania się z drogi konfliktu bez poczucia upokorzenia. Niech każdy walczy na swoim odcinku.

A nie widzi pan w tej niemieckiej niemocy pragmatyzmu? Nord Stream 2 jest w zasadzie gotowy.

Oczywiście, że jest to sprzątanie po wyrządzonej szkodzi. I że musimy powiedzieć to wyraźnie: Nord Stream 2 był zbrodnią na bezpieczeństwie europejskim. Dzięki niemu Rosja dostała jeszcze jeden pistolet, który może wycelować w Europie. To ciężki błąd.

Jakim partnerem jest dziś dla polskiego prezydenta Wołodimir Zelen-ski?

Senionym i bardzo u nas lubianym. Obaj przywódcy spędzają z sobą dość dużo czasu, choćby teraz dwa dni w Wiśle. To znamienne, że w czasie zagrożenia dla Ukrainy jej prezydent udaje się na konsultacje do Polski. Jestem przekonany, że tak jak z Gitanasem Nausėdą

polski prezydent zbudował chyba najlepszy w historii okres relacji polsko-litewskich, tak z Wołodymirem Zelen-skim doprowadzi do przełomu w wielu sprawach polsko-ukraińskich.

Są między naszymi krajami sprawy, na których poruszanie jakoś nigdy nie ma dobrego czasu. Czy jesteśmy w stanie określić, kiedy w końcu zaczniemy omawiać sprawy polityki historycznej?

A ja – wprost przeciwnie – uważam, że czas jest znakomity i że właśnie teraz wiele spraw może pójść do przodu. Obie administracje prezydentów wiedzą, że od historii nie uciekniemy i że potrzebujemy bardzo odważnych kroków. Kreml robi wszystko, by rozbić Polaków i Ukraińców. A to są dwa bardzo bliskie sobie narody. Niezależnie od tego, że ich historia była raz lepsza, raz gorsza. Musimy iść do przodu.

Jak dzisiaj wygląda polityka polsko-amerykańska? Czy pewien impas po wygranych wyborach przez prezydenta Bidena został przełamany?

Istotnie na początku były głosy, że jakieś ideologiczne kwestie mogą nas poróżnić i bardzo ochoczo grały tym media. Na szczęście są dwa elementy w naszych stosunkach, które są trwałe, niezależnie od tego, kto zasiada w Białym Domu. To bezpieczeństwo i biznes. Biznes amerykański w Polsce ma się świetnie, w sferze bezpieczeństwa współpraca trwa. A politycznie był czas pewnego badania się obu ekip, czy po drugiej stronie jest wiarygodny partner, i wszyscy się przekonali, że jest.

Na ile przeszkodą była zażyłość Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem?

Próbowano przypiąć prezydentowi łatkę trumpisty, podczas gdy Andrzej Duda jest konserwatystą i zwolennikiem linii euroatlantyckiej. W drugiej połowie roku zaczęło docierać wiele pozytywnych sygnałów: bardzo umiarkowana reakcja USA na sprawę Kodeksu postępowania administracyjnego, veto ustawy dotyczącej telewizji TVN, świadomość, że Polska wspiera demokratów na Białorusi i ma świetne relacje z Ukrainą, że można na nią liczyć. Administracja Bidena zrozumiała, że to

w Warszawie leży klucz do stabilnego regionu, nas z kolei przekonało przywiązanie obecnej administracji do twardej postawy wobec Rosji (bo tak ją odbieramy). Faza wzajemnego badania się skończyła, między nami jest dobrze. Jest reset – jak to mi powiedział amerykański dyplomata.

Jaka była tak naprawdę waga wspomnianego weta w sprawie ustawy nazywanej propagandowo „lex TVN”?

To ciekawa sprawa. Amerykańskich nacisków w tej sprawie na prezydenta nie było. Mam wrażenie, że politycy amerykańscy już zrozumieli, że Andrzej Duda jest przywódcą, który nie znosi nacisków ani lobbowania. A ponadto widzą w nim racjonalnego polityka, który rozumie wagę zobowiązań. Zaufali, że podejmie właściwą z ich punktu widzenia decyzję, i zobaczyli, że mają po drugiej stronie wiarygodnego gracza.

Czy ta decyzja dodała też wiarygodności Polsce, czy to osobisty zysk pana prezydenta?

W Stanach Zjednoczonych nie ma takiego rozgraniczenia. Najwyższy przedstawiciel Polski reprezentuje kraj – to jest oczywiste. Polska pokazała, że jest wiarygodna, a prezydent Duda wziął to na siebie.

Zapytam teraz o prezydencki projekt ustawy o Sądzie Najwyższym. Czy to prawda, że ma on spowodować, iż Komisja Europejska w ogóle zacznie z Polską rozmawiać?

Nie, nie jesteśmy w relacjach z KE w pozycji petenta. Należy wiedzieć, że instytucje europejskie mają przed sobą, i to w niedalekiej przyszłości, wiele decyzji, w których wymagana jest jednomyślność. A więc dalsza eskalacja konfliktu z Polską przez radykałów wykołajałaby dużo naprawdę ważnych projektów. U nas też obudziłyby radykałów.

Ale radykałowie, czy to polscy, czy unijni, to z definicji osoby, które trudno do czegoś przekonać.

Tak, tyle że na czele Polski, Komisji Europejskiej i Rady Europejskiej stoją osoby racjonalne. Ten projekt to oczywiście był prezydencki wist, ale

nie bezmyślny czy ryzykancki. Był poprzedzony pewnymi sygnałami, które do nas docierały, że w czasie konfliktu wokół Ukrainy inne spory należy wygaszać. Naprawdę ani Warszawa, ani Bruksela nie potrzebują sporu w czasie zagrożenia wojną.

Myśli pan, że do radykałów trafi takie tłumaczenie?

Muszą sobie zdawać sprawę z tego, że jeśli dzisiaj będziemy eskalować spór na Zachodzie, to Rosja uruchomi cały przemysł fake newsów, by to wykorzystać. Putin w takich momentach jest bezwzględny, jest jasne, że będzie nas między sobą rozgrywał, byśmy nie byli jednoznaczni i jednomyślni wobec kolejnych etapów jego agresji. My takie

Polska zdecydowanie odrzuca trzecią drogę, drogę targu, zwaną też wariantem monachijskim. Czyli „nie atakujcie, a my wam ustąpimy”. Tak to nie będzie działało nigdy

zagrożenie traktujemy poważnie, stąd bezpośrednie i stałe kontakty z Niemcami, Francją, Komisją i wyjaśnianie wszelkich kwestii na bieżąco. Myślę, że spór na linii Polska–Komisja Europejska zabrnął w tak ciemną i ślepą uliczkę, że bardzo wiele osób po obu stronach ma serdecznie dosyć tej sytuacji.

Jak pan prezydent odbiera te głosy z wewnątrz obozu rządzącego, że porzuca reformę, że w istocie wraca do stanu, który patologię tylko umocni?

Nie rozumiem tego zarzutu, bo w projektach pana prezydenta nie ma mowy o ustępowaniu w kwestiach konstytucyjnych. Nie ma też zgody na kwestionowanie istoty samej reformy, na podważanie KRS, która rekomenduje kandydatów, czy na ingerowanie w kompetencje prezydenta RP dotyczące powoływania sędziów. Sędziowie nie będą

bezkarni, jest to w projekcie szczegółowo opisane. Projekt jest też wyjściem naprzeciw orzeczeniu TSUE, który kwestionuje niezależność Izby Dyscyplinarnej. Zaznaczam, że to orzeczenie nam się nie podoba, nie zgadzamy się z nim i projekt ustawy tej oceny nie zmienia. Jest to jednak pomysł na to, jak z tego zakleszczenia wyjść z twarzą. I przez nas, i przez nich.

Jest to jednak projekt, i należy tu posłuchać także krytyków, którzy niczego nam nie gwarantuje.

W polityce nie ma żadnych gwarancji, wszystko można zawsze zniweczyć. Ale pierwsze reakcje, zarówno USA, które chcą się włączyć w załagodzenie sporu w Europie, jak i szefów Komisji i Rady, są bardzo pozytywne. Naprawdę, ile można? Dochodzimy pomału do sytuacji, w której de facto przestajemy się wzajemnie uznawać. To jest niebezpieczne. Projekt prezydenta jest kołem ratunkowym rzuconym tak naprawdę wszystkim: rządzącym, opozycji, Komisji, Radzie. Ochłonmy.

Skąd wiara, że instytucje europejskie nie poczną się rozruchwalać, nie będą chciały pójść dalej?

Gdyby Komisja tak się zachowała wobec projektu, który właśnie dostała na stół, to zamknęłaby sobie pewne drogi. Trzeba by powiedzieć, że nie wykorzystwała swojej szansy.

Jak wygląda praca nad budową większości dla tego projektu w polskim Sejmie?

Prezydent spotkał się z przedstawicielami klubów i kół parlamentarnych, bo bardzo liczy na poparcie większości. Już mamy sygnały od części opozycji, że są w stanie poprzeć ten projekt, przynajmniej jako środek tymczasowy, na użytek porozumienia z Komisją. Głęboko więc wierzę w to, że w Sejmie jest patriotyczna większość, która dla wzmocnienia państwa przyczyni się do wygaszenia tego sporu. A jak mówię „patriotyczna”, to nie mam na myśli kogoś, kto krzyczy „Polska! Polska!”, tylko kogoś, kto gotów jest nawet na bolesny dla siebie kompromis w imię dobra państwa.

Nie wolno zmarnować tej reformy

Ze zdrowiem psychicznym młodych Polaków jeszcze nigdy nie było tak źle jak teraz. Pandemia tylko pogorszyła i tak już dramatyczną sytuację. Pomóc miała reforma psychiatrii dziecięcej. Ale właśnie zawisły nad nią czarne chmury



DOROTA ŁOSIEWICZ

Najmłodsza dziewczynka, która została przyjęta na Oddział Psychiatrii dla Dzieci w Łodzi po próbie samobójczej, miała osiem lat. Zażyla leki. Udało się ją odratować. Wielu dzieci nie uratowano. Śmiercią zakończył się desperacki skok z wiaduktu pod ciężarówką czy zawiśnięcie na drzewie w parku. „W Polsce więcej osób ginie w wyniku samobójstw niż w wypadkach samochodowych. Co 10 lat z mapy naszego kraju znika jedno miasto zbliżonej wielkości do Elku czy Bełchatowa. Na każdą 28-osobową klasę przypada średnio dwóch uczniów po próbie samobójczej. Każde samobójstwo i próba samobójcza wpływa nawet na 20 osób z najbliższego otoczenia. Żałoba przeżywana w wyniku śmierci samobójczej jest określana jako traumatyczna” – czytamy w raporcie dotyczącym zachowań samobójczych wśród dzieci i młodzieży za lata 2012–2021, przygotowanym

w ramach projektu „Życie warto jest rozmowy”. W Polsce w ostatnich 10 latach policja prowadziła postępowania w przypadku 1181 śmierci samobójczych dzieci i nastolatków do 18. roku życia, a także 5658 prób odebrania sobie życia. Według danych KGP jedna na sześć prób samobójczych podjętych przez osoby poniżej 18. roku życia okazała się skuteczna.

Pandemia tylko pogłębiła dramatyczną sytuację psychiczną młodych Polaków, pozabawiając ich kontaktu z rówieśnikami, wprowadzając brak przewidywalności i wiążąc ich ze światem wirtualnym mocniej niż wcześniej. Dlatego dane policji za 2021 r. pokazują gwałtowny wzrost zachowań samobójczych wśród młodych osób. Liczba prób samobójczych wzrosła z roku na rok o 77 proc., a prawie o 20 proc. wzrosła liczba śmierci samobójczych. Jednak ze wspomnianego już raportu wynika, że dane KGP pokazują tylko te próby oraz śmierci samobójcze, o których zostały powiadomione organy ścigania. Według WHO na każdą odnotowaną w oficjalnych rejestrach śmierć samobójczą młodej osoby przypada 100–200 prób. Jeśli założymy, że współczynnik ten jest adekwatny do Polski, to próbę odebrania sobie życia w ub.r. podjąć mogło 12,7–25,4 tys. osób poniżej 18. roku życia.

MODEL TRZYPOZIOMOWY

„W Polsce od lat potwornym problemem są kolejki do psychiatrów, psychologów, czas reakcji sądów rodzinnych, które szybko działają tylko w dramatycznej sytuacji, natomiast standardowy tryb postępowania trwa miesiącami. Brakuje sieci wsparcia, która mogłaby zadziałać natychmiast, gdy coś się dzieje” – tłumaczyła mi dwa lata temu prof. Barbara Remberk, była już konsultant krajowa w dziedzinie psychiatrii dzieci i młodzieży.

Sytuację miała poprawić głośno zapowiadana reforma psychiatrii dziecięcej. Temu, że ta dziedzina jest w kryzysie, nie zaprzeczał Łukasz Szumowski, były minister zdrowia, który przed sejmową komisją

zdrowia podkreślał, że obszarem, który jest i był zaniedbany, jest psychiatria dorosłych i dziecięca właśnie. Stąd w Ministerstwie Zdrowia pojawił się plan uruchomienia 300 poradni psychologicznych. „Chcemy zmienić model opieki psychiatrycznej dziecięcej. W tej chwili większość porad u osób z problemami zdrowia psychicznego są to porady psychiatryczne, a te powinny być na końcowym momencie jako medykalizacja, a wcześniej potrzebujemy psychoterapeutów, psychologów, terapeutów środowiskowych” – zapowiadał Łukasz Szumowski, ogłaszając reformę psychiatrii dziecięcej.

Reformę zainaugurowano 10 stycznia 2020 r. Ministerstwo wprowadziło model ochrony zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży oparty na trzech poziomach referencyjności. Taki model ma na celu świadczenie pomocy młodym pacjentom i ich rodzinom jak najwcześniej i najbliżej miejsca zamieszkania. Miało to nie dopuścić do pogorszenia się stanu zdrowia psychicznego pacjenta i zapobiec ewentualnej hospitalizacji, która jest często trudnym doświadczeniem dla młodej osoby i jej rodziny. Jest to kierunek zmian zgodny z obecnymi tendencjami kształtowania systemów ochrony zdrowia psychicznego na świecie. „Jednym z głównych założeń realizowanej reformy jest deinstytucjonalizacja opieki psychiatrycznej. Chcemy odejść od modelu, w którym pierwszym miejscem, gdzie trafia pacjent, jest oddział całodobowy. Nie wszędzie udało się wdrożyć tę zmianę, ponieważ w wielu regionach to właśnie oddziały są placówkami świadczącymi natychmiastową pomoc. Zgodnie z założeniami reformy do psychiatrów dzieci i młodzieży mają trafiać jedynie osoby realnie potrzebujące diagnozy psychiatrycznej i farmakoterapii” – tłumaczyła „Pulsowi Medycyny” prof. Małgorzata Janas-Kozik.

Pierwszy poziom stanowią ośrodki środowiskowej opieki psychologicznej i psychoterapeutycznej dla dzieci i młodzieży zatrudniające psychologów, psychoterapeutów i terapeutów środowiskowych. Drugi poziom to środowiskowe centra zdrowia psychicznego, w których można skorzystać dodatkowo z porady psychiatry i oddziaływań psychoterapeutycznych

w ramach dziennych oddziałów. Trzeci poziom to ośrodki wyspecjalizowanej całodobowej opieki psychiatrycznej (oddziały psychiatryczne). Obecnie w systemie funkcjonuje 327 środowiskowych ośrodków psychologiczno-psychoterapeutycznych dla dzieci i młodzieży, docelowo ma być ich ok. 400. I to wielki sukces reformy. Ale na tym może się ona zakończyć.

NIE TAK MIAŁO BYĆ

– Niestety wszystko wskazuje na to, że reforma nie wyjdzie tak jak pierwotnie zakładano i część środowiska medycznego zaczęła już przyjmować to do wiadomości – mówi mi dr Kamila Lenkiewicz ze Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego.

Zaproponowane finansowanie właściwie uniemożliwia nam pracę środowiskową, czyli na najniższym możliwym szczeblu, gdzie powinna być wykonana. W ten sposób podważa się cały sens dokonanej reformy – tłumaczy dyrektor Rowiński

Jak zwykle problem rozbija się m.in. o pieniądze i o to, że urzędnicy nie chcą słuchać fachowców. Na zlecenie resortu zdrowia Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji przygotowała raport wyceniający ww. poziomy referencyjne w psychiatrii dzieci i młodzieży. Niestety nie przyjęto założeń rekomendowanych w ramach prac zespołu ds. zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży (współtworzył on od 2017 r. założenia wspomnianej reformy), tj. finansowania ryczałtowego na odpowiednim poziomie. To właściwie może zaprzepaścić całą reformę. O co chodzi?

O to, że środowisko spodziewało się opłacania świadczeń na zasadach ryczałtu, który pozwoliłby finansować m.in. działa-

nia podejmowane przez specjalistów na rzecz pacjenta, ale bez pacjenta, tj. spotkania zespołów leczących, sesje koordynacji pomiędzy instytucjami uczestniczącymi w życiu lub w procesie leczenia dziecka (np. szkoła, OPS, lekarz psychiatra), koszty administracyjne związane z prowadzeniem placówki, w tym obsługę prawną czy rejestrację medyczną. Tymczasem NFZ zdecydował się na zasadę „fee for service”. Ten mechanizm opłaty za usługę zakłada, że płatnik (NFZ) jest zobowiązany do finansowania wybranych usług zdrowotnych świadczonych przez świadczeniodawców (np. poradnie), którzy zawarli z nim umowę.

– Sukcesem jest to, że jest więcej pieniędzy na psychiatrię dzieci i młodzieży. Sukcesem jest to, że udało się powołać tyle poradni, ale to głównie dlatego, że wszyscy myśleli, że finansowanie będzie oparte na miesięcznym ryczałcie, a stało się inaczej – tłumaczy Tomasz Rowiński, dyrektor Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla dzieci i młodzieży Warszawa-Bielany. – Cele świadczeniodawców i cele NFZ, czyli leczenie zgodnie z modelem środowiskowym, były spójne, ale na etapie finansowania działania poradni wszystko się rozchodzi. Gdyby ten sposób finansowania był jasny od początku, te poradnie by raczej nie powstały – dodaje Rowiński. I wyjaśnia: – Gdyby świadczenia były finansowane na zasadach ryczałtu, inaczej by się pracowało. Sytuacja jest o tyle

uczciwa dla świadczeniodawcy, że płaci ryczałt, a na każdym poziomie placówki mają ze specjalistami umowę o pracę, która daje większą możliwość do wyjścia z gabinetu na rzecz pracy w środowisku oraz uwzględnia koszty administracyjne, np. dojazd do środowiska pacjentów, spotkania koordynacyjne, które są wymagane przez NFZ, ale nie są wliczone w pakiet usług rozliczanych w ramach zaliczki.

Skąd ta zmiana w finansowaniu świadczeń? Pewnie stąd, że zdarzają się nieuczciwi świadczeniodawcy, a celem NFZ jest zabezpieczenie prawidłowego wydatkowania środków. Jednak zmiana w finansowaniu świadczeń w psychiatrii dzieci i młodzieży może zniszczyć cały wysiłek i pracę, jakie włożono w tę reformę.

APELE DO NFZ

Według danych z września 2020 r. w Polsce było 493 psychiatrów dziecięco-młodzieżowych. W raporcie „Barometr zawodów 2022” zawód psychologa i psychoterapeuty obok innych profesji jest podawany jako deficytowy, a zainteresowanie nim nie należy do najwyższych, m.in. z uwagi na dość wymagające szkolenie specjalizacyjne. Zgodnie z danymi na koniec 2020 r. w trakcie szkolenia było 210 lekarzy. Tymczasem potrzeby zdrowotne w tym zakresie narastają.

Zaniepokojenia dalszymi losami reformy psychiatrii dziecięcej nie kryje także znakomity fachowiec, psychiatra dziecięca z Wojewódzkiego Specjalistycznego Szpitala im. M. Pirogowa w Łodzi i z Ambulatorium Stresu w tym samym mieście, Paulina Przyrowska. – Liczę, że NFZ posłucha specjalistów i że sposób rozliczania będzie adekwatny. Jeśli nie, to nie będzie komu pracować. W tej chwili mamy w Polsce otwartych ponad 300 poziomów pierwszych. Największą trudnością jest zatrudnienie wykwalifikowanej kadry do pracy z dziećmi i młodzieżą. W każdym miejscu musi pracować psycholog, psychoterapeuta z doświadczeniem w pracy z dzieckiem. Nie wystarczy być po studiach, żeby wiedzieć, jak pomóc dziecku, jak z nim rozmawiać i jak wspomóc całą rodzinę młodego człowieka. Psychiatrów dziecięcych w ogóle już jest garstka – mówi Paulina Przyrowska.

– Ta reforma zakładała ścisłą współpracę pierwszego i drugiego poziomu. Ten system finansowania nie pokrywa choćby czasu fachowców potrzebnego na taką współpracę i sesje koordynacji – dodaje dr Kamila Lenkiewicz. – Zaproponowane finansowanie właściwie uniemożliwia nam pracę środowiskową, czyli na najniższym możliwym szczeblu, gdzie powinna być wykonana. W ten sposób podważa się cały sens dokonanej reformy – tłumaczy dyrektor Rowiński. – Historia kolejnych odsłon reformy w psychiatrii dzieci i młodzieży pokazuje, że brakuje wizji w Ministerstwie Zdrowia. Co ekipa, to jakaś zmiana. Finansowanie psychiatrii dorosłych to blisko 4 mld zł, a dzieci i młodzieży ok. 0,75 mld zł. Wiele rozwiązań – jak choćby ryczałtowo finansowane cen-

trum zdrowia psychicznego dla dorosłych – w psychiatrii dorosłych jest możliwe, zdaniem NFZ nie jest możliwe u dzieci i młodzieży. Dlaczego? Przecież z punktu widzenia procesu leczenia te rozwiązania bardziej przydałyby się w leczeniu niepełnoletnich. Np. u dorosłych jest możliwe finansowanie ryczałtowe, na mieszkańca powiatu (100 zł rocznie), w psychiatrii dzieci i młodzieży już nie. Warto, żebyśmy zaczęli myśleć o działaniach w psychiatrii dzieci i młodzieży jako o profilaktyce zaburzeń psychicznych w wieku dorosłym. Im bardziej pomożemy młodym ludziom, tym mniej będzie dorosłych doświadczających kryzysu psychicznego.

– Przed reformą królowało takie przekonanie, że kłopot z reformą psychiatrii dziecięcej polega na tym, że jest za mało

Cofamy się w myśleniu do starego systemu, sprowadzającego się do tego, że główna opieka psychiatryczna opiera się na oddziałach całodobowych – mówi dr Lenkiewicz

pieniędzy w puli. Szczególnie to przekonanie dotyczyło całodobowej hospitalizacji. Pierwotnie reforma miała odwrócić ten trend, tak by dzieci dostawały pomoc jak najwcześniej, by nie musiały trafiać na oddział całodobowy. Wycena usług i punktacji zaproponowana teraz dosypuje pieniądze głównie oddziałom całodobowym, a nakłada nowe obowiązki na pierwszy poziom, np. niemożność realizowania przez określonego świadczeniodawcę w poradni psychologicznej dla dzieci pod tym samym adresem więcej niż jednego zakresu świadczeń, co bezpośrednio przekłada się na wzrost kosztów prowadzenia działalności i uszczupla i tak zbyt mały budżet placówek. Cofamy się więc w myśleniu do starego systemu, sprowadzającego się do tego, że główna opieka psychiatryczna opiera się na oddziałach całodobowych i właściwie nie ma współpracy między tymi trzema poziomami. A to się wiąże m.in. z wyjęciem dziecka

z jego codziennego systemu, wypadnięciem z ról społecznym i pogłębieniem trudności w relacjach z rówieśnikami, które i tak są nadwyżężone przez pandemię. Dziś próbuje się z koszyka usług dla dorosłych przełożyć te same usługi do koszyka dla dzieci i młodzieży, zupełnie nie uwzględniając specyfiki pracy z pacjentem niepełnoletnim, jego rodziną i nierzadko ze szkołą – tłumaczy problemy z finansowaniem reformy dr Lenkiewicz.

Sytuację dodatkowo skomplikowała pandemia. Od początku reformy toczyła się batalia o liczbę zakontraktowanych usług na pierwszym poziomie. NFZ stał na stanowisku, że ma to być liczba 412. Eksperci argumentowali, jeszcze przed pandemią, że tak wysoka liczba usług miesięcznie właściwie uniemożliwia prowadzenie terapii środowiskowej, wszystko sprowadzałoby się bowiem wyłącznie do pracy gabinetowej. A przecież w modelu środowiskowym konieczny jest kontakt ze szkołą, rodzicami, OPS itd. Jednak NFZ się uparł, taka liczba usług została zapisana w dokumentach i przysłała pandemia, która uniemożliwiła świadczenie usług środowiskowych (choćby z powodu zamknięcia szkół), a średnia wykonalność wyniosła 234 usługi w miesiącu. I teraz powstaje problem. NFZ i świadczeniodawcy stają przed koniecznością zwracania środków za niewykonane usługi.

– Problemów, które dziś przeżywamy, dotyczących zapaści psychiatrii dzieci i młodzieży, związanych z brakiem specjalistów w systemie i ograniczonym dostępem do bezpłatnych usług oraz wzrostem kryzysów psychicznych u dzieci i nastolatków, doświadczali Brytyjczycy i Skandynawowie w latach 80. XX w. Tam udało się przejść z systemu szpitalnego na opiekę środowiskową. Tam także był problem z brakiem specjalistów, dużo samobójstw, wzrost zaburzeń. Przejście na opiekę środowiskową skutecznie odwracało te trendy. Polska musi korzystać z dobrych doświadczeń. Nie musimy wyważać otwartych drzwi ani przecierać nowych szlaków – dodaje dr Lenkiewicz.

Dobrze by było, gdyby MZ i NFZ posłuchały fachowców. Szkoda, by tyle lat planowania reformy przekreślono z powodu kilku tabel. Młodzi Polacy naprawdę potrzebują pomocy. I to natychmiast. 

*Z głębokim smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci naszego Przyjaciela*



ZYGFRYDA SCHOENHOFFA

*wieloletniego działacza spółdzielczych kas oszczędnościowych,
m.in. byłego członka Rady Nadzorczej Kasy Krajowej.
„Zyga” należał do grona pionierów odradzających
się w wolnej Polsce
spółdzielni finansowych, którym poświęcił 30 lat życia.
Jeszcze nie tak dawno odbierał Nagrodę Feniksa
za wybitne zasługi dla rozwoju kas...
Był dla nas wszystkich wzorem poświęcenia i pracy.*

Zygrydzie, będzie nam Ciebie brakowało!

**Łączymy się z bólu z Małżonką, Dziećmi
oraz Wnukami Zmarłego.**

Przyjaciele ze Spółdzielczego Instytutu Naukowego w Sopocie

13/02/22/F



Ś.P. ZYGFRYD SCHOENHOFF

*Promotor systemu SKOK, społecznik obdarzony szacunkiem,
symbol trwania pozytywnych wartości, pomocny,
dyspozycyjny, autorytet, dla wielu – Przyjaciół.*

*Jego brak pozostawia codzienność w zupełnie innym wymiarze.
Pustka, którą po sobie zostawia jest nie do wypełnienia.*

**Głębokie wyrazy współczucia
rodzinie i bliskim**

Pracownicy, Rada Nadzorcza i Zarząd Kasy Krajowej

16/02/22/F



Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.P.

ZYGFRYDA SCHOENHOFFA

*Członka Rady Nadzorczej Krajowej SKOK,
wielkiego promotora idei spółdzielczości finansowej,
patrioty, wspaniałego człowieka.*

Rodzinie i przyjaciółom

*składamy szczerze kondolencje
i przekazujemy słowa otuchy w tych trudnych chwilach*

Zarząd i pracownicy Kasy Stefczyka

14/02/22/F



Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.P.

ZYGFRYDA SCHOENHOFFA

*członka Rady Nadzorczej Krajowej Spółdzielczej
Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej,
popularyzatora idei spółdzielczości finansowej,
patrioty, ale nade wszystko wspaniałego, dobrego i ciepłego człowieka.*

To dla nas i naszej ojczyzny wielka strata.

Rodzinie i przyjaciółom

*składamy szczerze kondolencje i przekazujemy
słowa otuchy w tych trudnych chwilach*

Zarząd oraz pracownicy SALTUS Ubezpieczenia

12/02/22/F

Opór będzie silny

Oceniając obecne działania rosyjskich wojsk, należy przyjąć w moim przekonaniu, że Rosja przygotowuje się do batalii wojennej na dużą skalę, a jej rozpoczęcie zależy od rozwoju sytuacji na polu dyplomacji między NATO, UE i Rosją

Z gen. broni Bogusławem Samolem, dyrektorem Instytutu Strategii Wojskowej Akademii Sztuki Wojennej, byłym dowódcą 10. Brygady Kawalerii Pancerniej i 16. Dywizji Zmechanizowanej oraz Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Prezydent USA Joe Biden zatwierdził wysłanie do Polski dodatkowego kontyngentu 2 tys. żołnierzy US Army. Co to dla nas oznacza?

Bogusław Samol: Od kilkunastu miesięcy światowa opinia publiczna obserwuje zaostrzającą się sytuację w obszarze bezpieczeństwa międzynarodowego na wschodzie Europy. Świadczy o tym problemy z dostawą rosyjskiego gazu, działania hybrydowe na granicy polsko-białoruskiej, koncentracja rosyjskich wojsk wzdłuż ukraińskich granic oraz przerzut wojsk z odległego wschodu Rosji na terytorium Białorusi pod pozorem ćwiczeń dowódczo-sztabowych. Nasilają się prowokacje ze strony rosyjskich sił zbrojnych w przestrzeni powietrznej i na akwenach morskich. Ponadto dyplomacja rosyjska wysunęła swoje żądania wobec NATO i Stanów Zjednoczonych wycofania amerykańskich i natowskich jednostek oraz urządzeń wojskowych z terytorium państw, które przystąpiły

do Paktu Północnoatlantyckiego po 1997 r. i powrotu do sytuacji polityczno-wojskowej w tej części Europy.

W moim przekonaniu należy łączyć wyżej wspomniane wydarzenia jako całość obecnej polityki Kremla dążącej do zmiany porządku politycznego w naszej części Europy. Obserwując ostatnie wydarzenia o charakterze dyplomatycznym, gospodarczym i militarnym, należy przypuszczać, że Rosjanie przygotowują się do działań o szerszym zasięgu. Kilka miesięcy temu prezydent Białorusi po raz pierwszy wypowiedział się na temat Wilna i Białegostoku, kilka dni temu prezydent Rosji krytykował Polskę za to, że przystąpiła do NATO. W mojej ocenie

sytuację międzynarodową w tej części Europy i widzą, że środki dyplomatyczne się wyczerpują. Zwłaszcza że strona rosyjska, prowadząc działania dyplomatyczne, rozwija duże zgrupowania wojsk w pobliżu granic Ukrainy i ostatnio Polski. Strona amerykańska doświadczona wydarzeniami z 2014 r. chyba zdaje sobie sprawę z tego, że nadchodzi czas przygotowania odpowiedzi militarnej. Decyzja prezydenta USA dobitnie świadczy o gotowości Amerykanów do wsparcia Polski, o determinacji amerykańskiej administracji w utrzymaniu pokoju, a w razie konieczności zastosowania art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. Podejmowane przez Unię Europejską i NATO kroki dyplomatyczne nie hamują działań Rosjan, czas więc rozpocząć przygotowania militarne – oby nie było za późno.

Chcąc osiągnąć cele polityczne i strategiczne w bardzo krótkim czasie, co zakłada doktryna Gierasimowa ograniczonych działań wojennych, muszą być spełnione dwa warunki: zaskoczenie i przewaga

Co zdaniem pana generała oznacza pod względem strategicznym dyslokacja wojsk rosyjskich w pobliżu ukraińskich granic? Czy to może sugerować konkretny kierunek natarcia, sprawianie wrażenia, że wszystko jest możliwe?

Jeżeli patrzymy na przebieg i długość granic Ukrainy od strony północnej, wschodniej i południowej, obserwując

Rosjanie grają nie tylko o podporządkowanie Ukrainy, lecz także zaczęli podejmować próby podporządkowania sobie państw Europy Środkowej, zwłaszcza Polski. Jak widać, Amerykanie trafnie diagnozują rozwijającą się

działania Rosji w tworzeniu zgrupowań wojskowych i biorąc pod uwagę potencjał sił zbrojnych Ukrainy, można przypuszczać, że działania wojenne, w wypadku rosyjskiej agresji, będą się charakteryzować ogromnym rozma-



Uderzenie z Białorusi byłoby fatalne w skutkach dla ukraińskiego państwa, ponieważ Ukraina zostałaby okrążona i odcięta od zachodnich dostaw broni, amunicji, surowców, żywności itd.

chem związanym z wieloma kierunkami działań operacyjnych oraz ich szybkim tempem. W 2017 r. przez półtora roku byłem natowskim doradcą na Ukrainie i zajmowałem się obszarem zdolności operacyjnych sił zbrojnych tego państwa. W tym czasie Ukraińcy mieli pod bronią ok. 250 tys. żołnierzy. Dzięki olbrzymim wyrzeczeniom państwa i pomocy ze strony kanadyjskiej oraz amerykańskiej ukraińska armia odtworzyła 100 proc. zdolności sprzętu i kontynuowała intensywne szkolenie dowództw, sztabów oraz żołnierzy przy pomocy natowskich doradców. Jeżeli Rosjanie budują jakieś zgrupowanie przeciwko Ukrainie, to muszą brać pod uwagę, że tam jest ok. 250 tys. żołnierzy na czas pokoju. Sądzę, że na czas wojny ten potencjał będzie znacznie większy.

A najważniejszy w siłach zbrojnych jest potencjał ludzki związany z morale. Sposób kształcenia i doskonalenia ukraińskich dowódców jest jeszcze podobny do rosyjskiego, ale wzbogacony o wzorce natowskie. Jestem więc przekonany, że ukraińska armia dysponuje świetnie wykształconymi i wyćwiczonymi do-

wódcami oraz sztabowcami na wszystkich poziomach dowodzenia. Należy też pamiętać o toczących się działaniach bojowych na wschodzie Ukrainy przeciwko separatystom w Donbasie, w czasie których oficerowie i żołnierze zdobywają doświadczenia praktyczne. Obserwując militarne przygotowania rosyjskiej strony w pobliżu ukraińskich granic, wnioskuję, że rosyjska strategia wojskowa opiera się na klasycznych rozwiązaniach znanych także ukraińskim dowódcom. W czasie moich spotkań z ukraińskimi generałami i admirałami obserwowałem u nich wysokie morale i znakomity poziom wiedzy o sztuce wojennej od strony zarówno teoretycznej, jak i praktycznej. Tak więc w wypadku konfliktu zbrojnego Rosjanie napotkają silny opór ze strony Ukraińców. Oceniając obecne działania rosyjskich wojsk, należy przyjąć w moim przekonaniu, że Rosja przygotowuje się do batalii wojennej na dużą skalę, a jej rozpoczęcie zależy od rozwoju sytuacji na polu dyplomacji między NATO, UE i Rosją.

Wróćmy do siły wojsk.

Nie wierzę, że Rosjanie, gromadząc wojska wokół granicy, mają siły zbrojne w liczbie ok. 150 tys. Biorąc pod uwagę informacje o ruchach rosyjskich wojsk, które są prezentowane w mediach, należy przypuszczać, że jest to ekwiwalent kilku dywizji tworzących pierwszy rzut operacyjny, który według terminologii wojskowej możemy nazwać osłoną strategiczną, za której zasłoną będą się rozwijać kolejne zgrupowania operacyjne. Tenże rzut jest także gotowy do rozpoczęcia działań wojennych o charakterze ofensywnym. Jeśli wierzyć informacjom medialnym o przygotowaniach przez stronę rosyjską możliwości przegrupowania wojsk z centralnych obszarów państwa w pobliże granic z Ukrainą, to należy przyjąć, że rosyjska strona nie przeprowadzi ofensywy

siłami ok. 130 tys., lecz zdecydowanie większymi, mimo znacznej przewagi jakościowej nad wojskami Ukrainy. Ponadto nie wiemy, jakie cele polityczne przed wojskowymi postawił prezydent Putin, i w związku z tym nie możemy określić strategii wojskowej sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Przypominam, że w zależności od celów politycznych powstaje strategia wojskowa. Obserwując rosyjskie działania dyplomatyczne i ruchy wojsk, można przypuszczać, że można określić strategiczne kierunki działań strony rosyjskiej, ale niezwykle trudno jest przewidzieć cele tych działań. Dodatkową trudnością jest określenie terminu rozpoczęcia potencjalnych działań wojennych przez agresora, co z reguły zaskakuje stronę broniącą się.

Wydawać by się mogło, że należałoby zrobić taką dyslokację, by sprawiała wrażenie możliwości ataku na każdym kierunku.

Na pewno tak. Ale należy tu dodać, że Rosjanie mają niesamowite zdolności przerzucania dużych zgrupowań wojskowych w bardzo krótkim czasie i na duże odległości na terytorium swojego państwa. W 2013 r. Rosjanie w czasie ćwiczeń dowódczo-sztabowych dokonali strategicznego przegrupowania wojsk – w liczbie ponad 160 tys. żołnierzy i 1,6 tys. czołgów – z zachodniej części kraju na Syberię w bardzo krótkim czasie. Na dzisiaj Rosjanie mają zdolności do szachowania strony ukraińskiej co do przypuszczalnych kierunków uderzeń operacyjnych przez duże zgrupowania wojskowe.

Niektórzy amerykańscy czy brytyjscy analitycy twierdzą, że armia rosyjska ma niewystarczającą logistykę, słabą sieć dróg i kolei, co może powodować kłopoty z zaopatrzeniem atakujących wojsk pierwszego rzutu.

Mam inne zdanie na ten temat, zwłaszcza że jestem absolwentem rosyjskiej Akademii Wojsk Pancernych. Należy pamiętać o tym, że Rosjanie, granicząc z Ukrainą, posiadają tzw. głęboką strategiczną infrastrukturę drogową, kolejową i lotniczą, umożliwiającą dostarczanie zapasów i materiałów dla sił zbrojnych z głębi ich własnego terytorium. A więc rosyjskie linie komunikacyjne, w wypadku ofensywy, wydłużą się o ok. 250–300 km, ale

to nie będzie zdecydowaną przeszkodą do rozwijania powodzenia w natarciu. Ponadto zwracam uwagę na to, że strona ukraińska nie posiada znacznych zdolności do masowego kinetycznego rażenia rosyjskiej infrastruktury umożliwiającej zaopatrywanie wojsk. W rosyjskich siłach zbrojnych bardzo dużo uwagi poświęcano – i chyba poświęca się nadal – sprawom organizacji zabezpieczenia logistycznego na poziomach strategicznym, operacyjnym i taktycznym. W czasie mojego studiowania w rosyjskiej akademii wojskowej bardzo dużo uwagi poświęcano organizacji zabezpieczenia logistycznego na poziomie batalionu, pułku/brygady i dywizji. Zwracano uwagę na budowanie zdolności w zakresie możliwości transportowych

zakłada doktryna Gierasimowa ograniczonych działań wojennych, muszą być spełnione dwa warunki: zaskoczenie i przewaga. Z uzyskaniem przewagi na wybranych kierunkach operacyjnych Rosjanie nie będą mieć problemów ze względu na długość granic oraz możliwości budowania kolejnych zgrupowań uderzeniowych w bardzo krótkim czasie na kilku kierunkach. Zaskoczenie należałoby rozważać w kategorii czasu rozpoczęcia działań zbrojnych przez stronę rosyjską, rozpatrując jednocześnie uderzenie na wszystkich kierunkach lub na wybranych. Z mojego punktu widzenia Rosjanie mają możliwość zastosowania pierwszego wariantu, który stronie ukraińskiej ogranicza możliwości manewru siłami i środkami.

W czasie moich spotkań z ukraińskimi generałami i admirałami zauważyłem u nich wysokie morale i znakomity poziom wiedzy o sztuce wojennej od strony zarówno teoretycznej, jak i praktycznej

Agdyby uderzyli z Białorusi? Omijają w ten sposób Zbiornik Kijowski i wychodzą prosto na stolicę Ukrainy. Moskwa koncentruje wokół Homla poważne siły ze Wschodniego Okręgu Wojskowego, wyznaczone do realizacji zadań wsparcia komponenty sił powietrzno-kosmicznych i wojsk powietrznodesantowych, jak również – zgodnie z deklaracją Mińska – „prawie całe siły zbrojne Białorusi”. Wszystko w ramach ćwiczeń „Sojusz-nicza stanowczość 2022”.

zapasów, części zapasowych i zdolności remontowych przy tych jednostkach, umożliwiając im prowadzenie samodzielnych działań od siedmiu do kilkunastu dni w oderwaniu od tyłów. Było to związane z przygotowaniem pancernych i zmechanizowanych jednostek do ofensywnych działań. W obecnych czasach obserwuje się rozwój takiego podejścia wobec batalionowych grup bojowych, a osobiście sadzę, że podobnie postępuje się w stosunku do brygad, dywizji i armii, tworząc zdolności do prowadzenia działań bojowych na duże odległości.

Jakie warunki muszą spełnić Rosjanie, żeby była to wojna błyskawiczna?

Chcąc osiągnąć cele polityczne i strategiczne w bardzo krótkim czasie, co

uderzenie rosyjsko-białoruskich wojsk z tego kierunku doprowadziłoby do odcięcia Ukrainy od Zachodu. Konsekwencje możemy sobie wyobrazić. Byłyby fatalne w skutkach dla ukraińskiego państwa, ponieważ Ukraina zostałaby okrażona i odcięta od zachodnich dostaw broni, amunicji, surowców, żywności itd. Należy pamiętać o starej rosyjskiej zasadzie „z ćwiczeń do boju”. Papierkiem lakmusem tego, co zrobią Rosjanie i czy uderzą z Białorusi, byłaby wiedza o tym, jaki poziom dowodzenia tam się znajduje, czy to są ukończone jednostki zgodne z etatem wojennym, czy tylko wybrane elementy przyjechały na ćwiczenia. Tych odpowiedzi nie znamy. Jeśli tam znalazła się dywizja powietrznodesantowa w pełnym skła-



dzie – 100 proc. etatu wojennego, to jest poważny znak do rozpoczęcia działań wojennych.

A działania partyzanckie?

Dobrze. Ale żeby partyzantka mogła funkcjonować, musi mieć przede wszystkim jedzenie, lekarstwa i najważniejsze – broń i amunicję. Czyli dostawy z Zachodu tylko przez Polskę i Węgry. Południe też odpada, ponieważ ukraińskie porty mogą być zablokowane przez rosyjskie siły morskie. Rumunia również, ze względu na sprzyjające Rosji Nadniestrze. W tym miejscu należy sobie zadać pytanie, jak długo partyzanci mogą działać w kraju okupowanym, odciętym od materialowego wsparcia ze strony sąsiednich państw?

Agdyby Rosjanie chcieli wziąć Kijów?

Do zdobycia brzońonych miast potrzebne są bardzo duże siły wojskowe. Aby szturmować brzońący się Kijów, Rosjanie musieliby zaangażować bardzo liczne wojska, idące w setki tysięcy żołnierzy. W takiej sytuacji następuje przeciąganie się konfliktu, powstają kolosalne straty wśród walczących stron, zwłaszcza ludność cywilna jest narażona na niesamowite cierpienia. Rosjanie chyba zdają sobie sprawę z tego, jaki może być stosunek cywili ukraińskich do nich w wyniku ta-

kich działań. Przypuszczam, że Rosjanie mogą się starać pokonać ukraińskie wojska w polu.

Jaką rolę może odegrać pogoda? W przypadku roztopów pojazdy gąsienicowe ugrzęzną.

Przy użyciu masowych sił bardzo dużą rolę odgrywa pogoda. Wszyscy dowódcy wojskowi uwzględniają prognozy pogody przy planowaniu działań wojennych, ponieważ od stanu pogody zależy skala użycia sił powietrznych, możliwość stosowania manewru lądowymi zgrupowaniami wojskowymi, nie zapominając o kwestii zaopatrywania logistycznego wojsk. Tak więc prognozy pogody wpływają m.in. na strategię użycia sił zbrojnych, terminy rozpoczęcia działań wojennych.

Coby pan generał zrobił, gdyby dowodził stroną rosyjską i dostał polecenia od Putina: „Walimy”?

Po pierwsze, jestem polskim oficerem i całe szczęście, że nie jestem w położeniu rosyjskich i ukraińskich dowódców. Na pewno tak jak ja rozumieją, że wojna niesie za sobą zniszczenia i nieszczęścia dla obu stron. Muszą też sz-

Do zdobycia brzońonych miast potrzebne są bardzo duże siły wojskowe. Aby szturmować brzońący się Kijów, Rosjanie musieliby zaangażować bardzo liczne wojska, idące w setki tysięcy żołnierzy

nować decyzje polityczne władz, które kierują państwem. Dlatego trudno mi powiedzieć, co bym zrobił, ponieważ nie znam celów politycznych władz Federacji Rosyjskiej wobec Ukrainy, które wpływają na kształt strategii wojskowej. Na pewno kluczem do zwycięstwa Rosjan może być błyskawiczne rozbięcie ukraińskich sił zbrojnych, co z kolei może spowodować upadek woli walki ukraińskich władz politycznych i tamtejszego społeczeństwa. Dokonując rozważań na temat konsekwencji potencjalnego konfliktu między Ukrainą i Rosją, pamiętajmy, że Ukraina nie jest tym samym państwem, jakim była przed 2014 r. Obserwując działania ukraińskich władz politycznych, postępy w budowaniu potencjału obronnego i reakcję Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, należy mieć nadzieję, że nie dojdzie do konfliktu zbrojnego w tej części Europy. ▀

Babiarz z klasą

Z niezależnych od TVP powodów skoki nie cieszyły się ostatnio może wielkim zainteresowaniem, ale wróciły do domu i od razu jest efekt! A zatem włączajcie telewizory, dzwonicie do rodziny i sąsiadów, mamy medal! Mamy brązowy medal! Mamy Dawida Kubackiego!.

Kto mógł przypuszczać, że po tych słowach Przemysław Babiarz podniesie się taki rwetes? Entuzjazm dziennikarza Telewizji Polskiej doprawiony szczyptą humoru i szpilką wbitą konkurencji wywołał u niektórych furję.

Nie brakowało też oczywiście wyrazów sympatii (chyba nawet liczniejszych od krytyki), np. w postaci wielu komentarzy, że o ile Kubacki zdobył brąz, o tyle Babiarz złoto. Jednak fala hejtu, jaka wezbrała pod adresem popularnego komentatora, wręcz szokuje. W jednym rządzie ustawiły się anonimowe konta internetowych trolli, Urbanowy szmatławiec, ale też – zdawałoby się – poważni uczestnicy debaty publicznej. Tomasz Lis był uprzejmy stwierdzić: „Skoki nie wróciły do żadnego domu. I tak nie w nim na nie miejsca, bo po sufit jest szambo” [pisownia oryginalna – przyp. red.]. Uniósł się były premier Marek Belka oburzony „idiotycznym komentarzem”. Europosel Janusz Lewandowski pisał o „pośmiewisku – ilekroć Babiarz pojawi się na antenie”. To te delikatniejsze wpisy.

Mieliśmy tu do czynienia z jakąś zbiorową nadwrażliwą reakcją, zupełnie nieproporcjonalną do zdarzenia. To przecież neurotyk reaguje nadmiernie na niewielkie bodźce. Okazuje się, że neurotycznych postaci w przestrzeni publicznej mamy więcej, niż można się było spodziewać.

SKOKI W SŁUŻBIE POLITYKI

Czy pierwszoplanowa postać redakcji sportowej TVP nie ma prawa do dwóch zdań humorystycznego nawiązania do niezrozumiałej decyzji sprzed kilku miesięcy o odcięciu Telewizji Polskiej od możliwości pokazywania zawodów Pucharu Świata w skokach narciarskich? Decyzji, podkreślmy, wyłącznie politycznej.

Prawa należące do grupy Discovery dotychczas były dzielone pomiędzy nadawców – widzowie mogli wybrać, czy włączyć transmisję w TVP, czy w Eurosporcie (należącym, podobnie jak TVN, do amerykańskiego koncernu). Gros nich oczywiście wybierało publicznego nadawcę. Skoki były bowiem u niego towarem z najwyższej półki – z doskonałą oprawą antenową, najlepszymi komentatorami, profesjonalnym i obszernie za-

*Jak kilka trzeźwych
zdań wybitnego
dziennikarza
Telewizji Polskiej
doprowadziło do szachu
armię internetowych
neurotyków*



MAREK PYZA

planowanym studium. A do tego z najszerszą możliwą promocją, w tym we flagowych „Wiadomościach”, które zarówno szeroko zapowiadały kolejne konkursy, jak i relacjonowały ich rezultaty.

Szefostwu TVN przez lata to nie przeszkadzało. Wiedziało ono, że nadawca publiczny najlepiej jak potrafi korzysta z subwencji i nawet nie próbowało się z nim mierzyć. Jednak w czasie politycznego sporu o ustawę medialną i zawirowań wokół koncesji dla stacji z amerykańskim kapitałem w gabinetach menedżerów z Discovery postanowiono wziąć skoczków niejako za zakładników, a ich występy zabrać z TVP. Kosztem kibiców, kosztem zawodników, kosztem dyscypliny. Celem było jej zawłaszczenie, nawet jeśli nie przełoży się to na biznesowy sukces. W Telewizji Polskiej ta konkurencja była żelaznym hitem każdej zimowej ramówki. W TVN już tak nie jest.

„To wyrwa w pewnej praktyce, która dobrze się kojarzyła. Sukces skoków w Polsce to zasługa całej orkiestry. Musiało zagrać wiele instrumentów: szkolenie, profesjonalizacja związku, dobra oprawa medialna, która pobudziła zainteresowanie kibiców i co za tym idzie także sponsorów. [...] Wolałbym, aby polityka w sporcie miała znaczenie drugorzędne albo żadne” – mówił w styczniu na łamach tygodnika „Sieci” minister sportu Kamil Bortniczuk. Nie sposób się z nim nie zgodzić.

W TVN boleśnie się przekonano, że nie da się na pstryknięcie palców zmienić anteny i utrzymać widza. Weźmy niezwykle popularny Turniej Czterech Skoczn. W czasie tych zawodów prywatny nadawca zgromadził przed telewizorami średnio 2,91 mln widzów (2,01 mln osób w TVN i 891 tys. w Eurosporcie). Rok wcześniej, gdy imprezę pokazywała TVP, widownia była o 3,22 mln widzów większa. To przepaść. A obecne luby nie służą ani żadnej z telewizji, ani przede wszystkim tak lubianym przez Polaków skokom narciarskim. To prawda, że przy Wiertniczej nie mieli szczęścia, bo ten sezon jest najgorszy od lat w wykonaniu naszych reprezentantów. Leczą może i na telewizyjnym rynku bywa jak w sporcie – szczęście sprzyja lepszym.

Nic dziwnego, że gdy Przemysław Babiaraż znów mógł relacjonować milionom Polaków sukces naszego skoczka, pozwolił sobie na krotkochwlną uwagę. Choć była wobec konkurencji lekko uszczypliwa, nie przekraczała jakichkolwiek granic.

Sam dziennikarz niechętnie komentuje całe zamieszanie. Nie korzysta z mediów społecznościowych, więc błoto, którym próbowano go obrzucać (ale też słowa wsparcia), otrzymywał za pośrednictwem znajomych. W rozmowie z tygodnikiem „Sieci” nie może się nadziwić, jak bardzo niewłaściwie potraktowano jego wypowiedź: – Niektórzy być może nie zrozumieli pewnej konwencji. Nie każdego musi porywać taka żartobliwość, ale właśnie w tym duchu te słowa zostały pomyślane. W ich następstwie poczułem tsunami od jakiegoś wirtualnego wybuchu wulkanu. Jego proporcja i skala są nieadekwatne do zdarzenia. Jak gdyby chodziło o coś innego niż same słowa. Sport traktuję jako dobro wspólne. Sukcesy polskich sportowców to taki chleb, którym chętnie bym się podzielił z każdym, a nie chował po kieszeniach czerstwe kawalki.

Nie trzeba osobście znać Przemysława Babiaraża, by czuć, jak szczere to wyjaśnienie. I zapewne znakomita większość widzów tak właśnie odebrała jego komentarz – jako niewinny żart w momencie euforii po niespodziewanym sukcesie polskiego zawodnika.

LENNON A KOMUNISCI

Babiaraż jest telewizyjną ikoną, nie tylko jeśli chodzi o dziennikarstwo sportowe. To jeden z niewielu komentatorów, których poza ogromną wiedzą sportową cechuje też erudycyjna biegłość, w szczególności historyczna. Nie bez powodu to właśnie jego głos towarzyszy nam od lat w czasie defilad w narodowe święta.

Babiaraż charakteryzuje przy tym lekkość prowadzonej narracji, umiejętne posługiwanie się emocjami – kiedy trzeba, w dobrym stylu nimi kipi, ale nie biorą one nad nim góry. Na jego warsztat i styl duży wpływ ma też z pewnością aktorskie wykształcenie. A jeśli dołożymy do tego antenową (i osobistą) klasę, otrzymamy pełne wyjaśnienie ogromnej sympatii, jaką cieszy się wśród widzów (niezależnie od ich poglądów politycznych) i uzasadnienie dla licznych nagród, które otrzymywał w ostatnich dwóch dekadach.

Tyle że – znów: w przeciwieństwie do wielu komentatorów sportowych – nie powstrzymuje się przed wyrażaniem swoich opinii (nie mieszając ich jednak ze sportem). Dlatego w 2012 r. jako bodaj jedyny dziennikarz TVP uczestniczył w manifestacji poparcia dla Cezarego Gmyza oraz redakcji „Rzeczpospolitej” i tygodnika „Uważam Rze”, spacyfikowanych po publikacji o odnalezieniu trotylu na wraku tupolewa i nocnym spotkaniu pod śmietnikiem prezesa wydawnictwa z ówczesnym rzecznikiem rządu Pawłem Grasiem. To Babiaraż potrafił wielokrotnie stawać w obronie wiary, przeciwko aborcji. Otwarcie, z pasją mówił o patriotyzmie i potrzebie wychowywania dzieci w zgodzie z prawdziwymi wartościami.

To odważny człowiek o wielkiej kulturze, świetnie znający i rozumiejący historię oraz widzący, w którą stronę zmierza nasz świat. Podłanie ceremonii otwarcia igrzysk sosem w postaci miło brzmiących dźwięków i tekstu piosenki „Imagine” Johna Lennona Babiarażowi nie przesłoniło tego, że uroczystość nadzorowana jest przez Komunistyczną Partię Chin i nieprzypadkowo wybrano właśnie ten utwór. Dziennikarz pozwolił więc sobie na stwierdzenie, że „komuniści zawsze mieli pełne usta pokoju i powszechnego braterstwa” oraz wspominał o „rzeczywistej zawartości” tej piosenki.

Czy nam wszystkim nie zgrzyta, że przepełniona duchem pokoju piękna idea olimpijska barona Pierre’a de Coubertina staje się karykaturą, gdy organizację igrzysk powierza się komunistycznemu reżimowi? Czy nie jest faktem, że John Lennon osobiście w wywiadach przyznawał, iż „Imagine” to utwór „antyreligijny, antynacjonalistyczny, nonkonformistyczny i antykapitalistyczny”? Dlaczego zatem dziennikarze telewizji publicznej mają nie mieć prawa o tym mówić?

Nie tylko mają prawo, ale też obowiązek. Nie muszą nikogo do niczego przekonywać. Wystarczy, że zwrócą uwagę na wypaczanie podstawowych pojęć, na zastępowanie wartości antywartościami, na historię, którą próbuje się pisać na nowo. Wystarczy, że zachęcą do samodzielnego myślenia i sięgnięcia do źródeł, zwłaszcza młodszego widza, wychowywanego coraz bardziej przez internetową rąbankę.

Tak istotny moment jak otwarcie igrzysk olimpijskich jest do tego świetną okazją. Dlatego chyląc czoło przed redaktorem z TVP, warto dziś zakrzyknąć: murem za Babiarażem!

*W hołdzie
Jarosławowi
Markowi
Rymkiewiczowi*

Poeta i kości



ANDRZEJ NOWAK

Moja wyobraźnia jest – i zawsze była – zwrócona ku przeszłości. Widzę różne wyimaginowane sceny z naszej narodowej przeszłości – a przyszłości nie widzę. Nie wiem więc, jak będzie wyglądała Polska za lat pięćdziesiąt – czy będzie rosyjską kolonią, niemieckim

protektoratem, czy potężnym imperium w środku Europy – takim, jakie wymarzył sobie kiedyś Andrzej Trzebiński. Trochę nad tym boleję, bo zbliża się koniec mojego życia, a więc nie dowiem się, czy marzenie Trzebińskiego (i moje) przybierze kształt realny. [...] Mam natomiast absolutną pewność, że Polska jako

siła duchowa – jako pomysł duchowy – jako propozycja duchowego istnienia – jako takie szczególne miejsce, w którym każdy duch indywidualny może się (z korzyścią dla siebie) ulokować – będzie istniała i za pięćset lat, i jeszcze dłużej. My, Polacy, jesteśmy potężnymi duchami – jak te smoki z »Króla-Ducha« Słowackiego». To słowa Jarosława Marka Rymkiewicza. Wypowiedział je w październiku 2012 r. w swoim domu w Milanówku. Chyba chciałby, żebyśmy je wzięli do serca.

Skąd się bierze taka wizja, taka wiara w potęgę polskiego ducha? Na to pytanie odpowiedzą może biografowie autora „Ulicy Mandelsztama”, znawcy jego życia i twórczości. Mnie nie jest łatwo zebrać myśli i emocje po śmierci kogoś tak dla mnie ważnego i – ośmielę się powiedzieć – bliskiego. Ale przecież Jarosław Marek był i pozostaje kimś nie tylko ważnym, wskazującym drogę do rdzenia naszej polskiej istności – dla wielu ludzi z mojego pokolenia, pewnie także dla nieco starszych i dla młodszych. Na pewno dla tych, którzy wchodzili w dojrzałe życie w czasach Solidarności i stanu wojennego. Wtedy odkrywaliśmy na nowo poezję autora znanego wcześniej jako klasyk. W powstających w 1979 i 1980 r. wierszach, które wejdą do tomu „Ulica Mandelsztama”, objawił się nowy głos: wezwanie do wyboru – przeciw nicości duchowej komunizmu i potędze sowieckiego imperium, która tę nicość już od dziesięcioleci w nas wsączała. Przeszłość polskiego ducha przemawiała w nich bez łatwej nadziei – i dlatego z wielką siłą. Jak w wierszu „Zbaraż 1979”: „Biały księżyc oświecła nasze białe kości / Nie ma dla nas ratunku i nie ma litości // Buldożer nas rozdziera i plug po nas orze / Nasza dola niewola pewnie z woli Bożej [...] // A cośmy zbudowali oto jest w ruinach / Zgnile czaszki: to Polsko masz po twoich synach [...] // Zgniły już nasze kości naszych serc już nie ma / A on czego chce od nas ten we krwi Jarema?”. Jarosław Marek jakby mówił nam wtedy, że brolimy wciąż Zbaraża, kiedy powracamy do jego mogił. I wracał. Wracał świadomie, programowo do przeszłości.

Ale spotkania z polską przeszłością, próby jej reaktywowania, wywoływania

jej ducha z mogił, zmieniały – tak sędzę – samego poetę, wytrącały z „klasycznego” dystansu. Nie pozwalały spokojnie pisać dalej, sobie a Muzom, w ciasnej izdebce Instytutu Badań Literackich PAN, w przestrzeni wyznaczonej przez PRL. Uruchamiały potencjał postawy buntowniczej, być może tkwiący już wcześniej (od jakiegoś osobistego, może genetycznego początku) w samym charakterze Jarosława Marka. Jeszcze mocniej niż w słynnych „Rozmowach polskich latem 1983” czy w „Ulicy Mandelsztama”, ujawnił się on w pisany wiosną 1981 r. (a wydanym dwa lata później) „Wielkim Księciu: z dodaniem rozważań o istocie i przymiotach ducha polskiego”. Nie w samym wyborze tematu powstańczego (przypomnijmy: wtedy, w czasie solidarnościowego karnawału, mijała 150. rocznica powstania listopadowego), ale w tej nucie, która zabrzmiała ćwierć wieku później z taką siłą w „Wieszaniu”. „Zbyt mało zła, agresji z ducha naszego staramy się wydobyć, umiemy wydobyć. [...] Dobro jest atrakcyjne dla zła tylko w takim sensie, że jest dla zła jadalne. Jeśli uważamy, że nasz duch jest dobry i łagodny, musimy się z tym liczyć. Więc może lepiej byłoby, gdybyśmy więcej zła z naszego ducha dobywali?” – rozważał i pytał Rymkiewicz już w 1981 r. Ostrzej trzeba walczyć ze „złoobcym duchem”, który nas gnębi. Samą dobrocią go nie pokonamy. Doświadczenie stanu wojennego nadawało aktualność tym rozważaniom i tym sugestiom.

Doświadczenie „okrągłego stołu” postawiło je w nowej politycznej perspektywie. Zło zostało dobrem zwyciężone, czy raczej przy tym stole „złoobcy duch” posilił się znowu polską łagodnością? To koniec systemu duchowego zniewolenia ustanawianego od 17 września 1939 r. – czy tylko jego „transformacja”? Jarosław Marek wchodził w czas III RP jako zwolniony z nakazu Jaruzelskiego i Urbana z pracy PAN, a teraz przywrócony znowu do niej słynny autor „Umschlagplatzu” (1988), a także rozpoczętego właśnie tomami „Żmut” (1987) oraz „Baket” (1989) wielkiego cyklu mickiewiczowskiego. Nie wynikała z nich żadna wprost odpowiedź na postawione tutaj pytania. A jednak była ona przygotowana w pewnym sensie już przez tę cechę jego twórczości, którą wyraził poeta w swoim ma-

nifeście sprzed lat, gdzie stwierdził, że „pożera przeszłość, by ją ocalić, by mogła ona stać się przyszłością”.

Tymczasem na progu III RP słyhać było wezwanie, by zostawić całą polską „krzywą” historię, odrzucić jej „garb”, zredukować ją do „polskiego piekła”, a potem zapomnieć; że trzeba „wybrać przyszłość”, że nastąpił już wreszcie „koniec Historii”. Jeśli chcesz wejść do Europy, musisz siebie zapomnieć, kim wcześniej byłeś, Polaku. Musisz porzucić swoje (swoich przodków, a także swoich kolegów – choćby tych z Wujka z 1981 r.) ofiary, przywiązania, fobie i filie. To się nie mogło Rymkiewiczowi podobać. Próby interpretowania „Żmuta” i „Baketa” jako postmodernistycznej zabawy w klocki, które suwerenna wyobraźnia posthistorycznego homo ludens przedstawia, jak chce – nie oddawały nastawienia samego Autora. Coraz wyraźniej rysował się na nowo polityczny sens obrony historii, przeszłości. Obrony tożsamości polskiej przed kolejną próbą jej unieważnienia, przez nową utopię.

Buntowniczy duch Jarosława Marka dawał o sobie znać. Podpisał list apel redakcji „Arki” z 8 czerwca 1992 r. Autorzy i sygnatariusze domagali się wykonania uchwały lustracyjnej Sejmu i potępiali dokonane w nocy z 4 na 5 czerwca obalenie rządu Jana Olszewskiego, „który miał odwagę rozpocząć konieczne politycznie i uzasadnione moralnie odsłanianie agenturalnej przeszłości osób odpowiedzialnych za kierowanie państwem polskim”. Autor „Rozmów polskich latem” podpisał się pod treścią tego listu, obok Zbigniewa Herberta, Marka Nowakowskiego, Jacka Trznadla, Leszka Elektorowicza i kilkuset jeszcze osób.

„Żeby móc manipulować ludźmi, trzeba ich wpród pozbawić przeszłości. Te próby likwidowania przeszłości różnie w dziejach komunizmu wyglądały: polegały na zamazywaniu historii albo jej fałszowaniu – albo jej lżeniu” – mówił w czwartym roku istnienia III RP, najwidoczniej już przeciwko jej władzom. Rymkiewicz był gotów przeciwstawić się fetyszowi modernizacji, której ceną ma być zapomnienie. W rozmowie z Andrzejem Waską z początku 1993 r. stawiał

wprost kwestię ciągłości między tą utopią, która przysłała uszczęśliwić Polskę 17 września 1939 r., i tą, która przychodzi w innej formie pół wieku później: „Te wszystkie utopie, które mówiły, że społeczeństwo da się uszczęśliwić wbrew chęciom tego społeczeństwa. [...] Jeśli (co nie daj Boże!) Rosjanie przyjdą tu jeszcze raz – a nie jest wykluczone – to znów komuś może wpaść do głowy, że przychodzą oni z takich powodów, które dadzą się zaakceptować. I znów ktoś może dojść do wniosku, że Polacy są narodem ciemnym, ksenofobicznym, złumpowanym i kołtuńskim, a wobec tego może trzeba ich uszczęśliwić wbrew ich woli i wychować na światłych Europejczyków. Ale żeby wychowywać ich na światłych Europejczyków, to trzeba przyłożyć trochę siły... I wobec tego może w imię tej szlachetnej idei – przerobimy Polaków – warto przyłożyć trochę siły. No a Rosjanie mogą tę siłę zaproponować. [...] Można to sobie wyobrazić bez Rosjan, ale na szczęście z trudem, bo żeby przerobić ciemnych Polaków na światłych Europejczyków, to trzeba dysponować siłą, którą na szczęście Polacy nie dysponują. Więc do tego nie dojdzie, bo do tego trzeba by użyć jakichś innych narodów, które – miejmy nadzieję – tym razem nie zaangażują się w to przerabianie Polaków na coś innego, czyli w odcinanie ich od polskości...”. Przez następne ćwierć wieku nikt nie uczynił więcej niż Jarosław Marek Rymkiewicz, by to „przerabianie Polaków na coś innego” się nie udało.

Poeta szukał powagi polskiej odpowiedzi na nicność głęboko. Szukał jej z boku, wycofany z Warszawy do Milanówka, gdzie odnajdywał jako fundament polskich wartości „anarchię, czyli rezygnację z takiego ładu społecznego, który jest narzucany i wymuszany przez władzę centralną”. Kolejne tam powstające tomy – „Moje dzieło pośmiertne” (1993), „Znak niejasny, baśń półżywa” (1999), „Zachód słońca w Milanówku” (2002), „Do widzenia gawrony” (2006) – utrwalały osobną pozycję poety. Jeśli poety buntu, to już raczej metafizycznego, leśmianowskiego, aniżeli następcy Or-Ota czy Herberta. Wnikające w serca

kultury polskiej eseje z tomów kontynuujących cykl mickiewiczowski – „Kilka szczegółów” (1994), „Do Snowia i dalej” (1996), a także z encyklopedii „Leśmian” (2001) oraz „Słowacki” (2004) – także nie prowokowały wprost Lewiatana III RP i siedzącego w jego malutkim wielorybim mózgu Adama Michnika (mózg plewała, jak czytam, waży siedem kg, język zaś cztery tony). Kaszalot przepuszczał poetę łaskawie między swoim ząbkami. Rymkiewicz otrzymywał kolejne nominacje do Nagrody Literackiej Nike, a w końcu odebrało ją dla niego w roku 2003 Wydawnictwo Sic! (bardzo trafna nazwa w tej okoliczności).

Powaga myślenia o Polsce,
o życiu i o śmierci – przeciwko
„kulturze” szyderstwa.
Zmaganie z czasem, z nicością.
Zmaganie o Polskę, o wolność,
o sens. To pewnie najgłębszy
rdzeń tego, co Jarosław Marek
przed nami odkrywał

Ale buntowniczy temperament ukazał się znów w całej grozie. Rymkiewicz zaczął następny rozdział swojej dyskusji z Polskim Duchem. Napisał „Wieszanie”. Sam zapowiadał jego treść skromnie, pisząc, że to książka dla „miłośników historii ojczystej, takich, którzy lubią czytać o tym, jak wyglądało życie polskie w dawnych czasach, jak żyli nasi przodkowie, jakie mieli przygody oraz obyczaje”. Nieszkodliwa gawęda? Raczej opowieść o katastrofie – nie tylko jednak metafizycznej katastrofie, jaką jest – jak to ujmuję w zakończeniu Rymkiewicz – każde życie. Tu chodziło jeszcze o katastrofę utraty niepodległości przez Polskę i niewymierzenia odpowiedzialności zdrajcom. To w każdym razie zwróciło uwagę zaniepokojonych czytelników. Salon III RP i ci wszyscy,

którymi posługuje się ciężki język Lewiatana, dali wówczas, to jest w 2007 r., taki sam odpór Rymkiewiczowi, jak w stanie wojennym redaktorzy „Trybuny Ludu” i działające na zlecenie Urbana władze IBL. „Tęsknota do pięknej rzezi”, „patetyczne androny”, „furor polonicus” – martwili się teraz redaktorzy wciąż tej samej „Polityki”.

Kolejne tomy (pozwolę je sobie tak nazwać) „Śpiewów historycznych” Rymkiewicza – „Kinderszenen” (2008), „Samuel Zborowski” (2010), „Reytan. Upadek Polski” (2013) – wprowadzały czytelników coraz głębiej w ów tak niepokojący „Politykę” furor polonicus.

To efekt połączenia tematu katastrofy z historią wolności w Rzeczypospolitej. Przewodnikiem Rymkiewicza na tej drodze był najprawdopodobniej Juliusz Słowacki. Kiedy z dzisiejszej perspektywy zastanawiamy się nad tym, co robi Poeta z naszą wspaniałą, groźną, dziką, krwistą historią, przychodzi na myśl obraz księdza Marka – proroka konfederacji barskiej: „Uderzył z czarnej ambony / Pomieędzy lud przerażony. / W sam środek szary motłochu. / W sam środek czerni szepczącej

O tej kości latającej, / O tym poruszonym prochu, / O tym niespokojnym grobie”.

Tak widzę Autora „Rozmów polskich latem”, jego miejsce w naszych dziejach. Powaga myślenia o Polsce, o życiu i o śmierci – przeciwko „kulturze” szyderstwa. Zmaganie z czasem, z nicością. Zmaganie o Polskę, o wolność, o sens. To pewnie najgłębszy rdzeń tego, co tutaj Jarosław Marek przed nami odkrywał. Odszedł 3 lutego 2022 r. Jest w drodze, którą próbował zobaczyć w ostatnich swoich wierszach. Może już jest w Zbarażu, w Barze, razem z księdzem Markiem, z Jaremą, z Adamem, Juliuszem.

Ale co my zobaczymy, kiedy skończy się nasza tutejsza historia, o to pyta nas Poeta: „Czy dostrzeżemy światło rannej gwiazdy – i czy uznamy je za światło nieustającej opieki – to już tylko od nas zależy” (J.M. Rymkiewicz, „Sługa Maryi Adam Mickiewicz”, „Arka” nr 47, 5/1993, s. 16).

Jarosław Marek Rymkiewicz przez wiele lat był na celowniku Służby Bezpieczeństwa, która utrudniała mu życie, podsłuchiwała, kontrolowała korespondencję, organizowała medialne ataki na pisarza, blokowała wyjazdy zagraniczne. Wszystkie te działania na niewiele się zdały. Rymkiewicz pod wpływem różnych nacisków, także SB, nigdy nie zmienił literackiego programu

TAJNE
spec. znaczenia

Nr ewidencyjny 14565

KWESTIONARIUSZ

osoby współpracujące - specjalnej

1. Nazwisko i imię RYMKIEWICZ Jarosław, Marek
2. Imiona rodziców i nazwisko pana/pani matki Władysław, Hanna Bonarska
3. Data urodzenia 13.07.1935r. 4. Miejsce urodzenia Warszawa
5. Narodowość polska 6. Obywatelstwo polskie
7. Synopsis wzrost średni waga średnia włosy szatyn
rodzki lub cechy szczególne nie ma
8. Wykształcenie wyższe (Uniwersytet Łódzki) od 23.06.1956r.
9. Zawód wykonywany filolog polski wykonywany defilolog
10. Wykształcenie specjalne
11. Służba wojskowa oficer rezerwy - podporucznik
(nazwa, stopień, nr lub seria, stopień wojskowy)
12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany 57.6235146 2000 - Wzwa Zolbace
13. Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, telefon służbowy Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa ul. N. Świat 13 - prac. naukowo-bud.
14. Pogrzebnie miejsce pracy i zajmowane stanowisko

Lp.	Okresy pracy	Nazwa zakładu pracy	Stanowisko
1	1955-1957	Państw. Związek Literat.	biurokrat
2	1958-1959	Uniwersytet Łódzki	asystent
3	1959-1964	Kulakulaga - wydawnictwo	asystent

9) Stanowisko specjalne

Jarosław Marek Szulc urodził się w 1935 r. w warszawskiej rodzinie inteligentkiej. Ojciec był adwokatem, potem zajmował się też literaturą, matka była lekarzem. Do Powstania rodzina mieszkała w śródmieściu Warszawy, z którego została tylko kupa gruzów. Po wojnie znaleźli się więc w Łodzi, zmienili też nazwisko z Szulc na Rymkiewicz. To w Łodzi Jarosław Marek ukończył liceum, a potem studiował filologię.

Szybko dostrzeżono jego talent. Jeszcze w czasie studiów zaczął się zajmować literaturą, potem został adiunktem na Wydziale Filologii Polskiej UŁ. W 1957 r. wydał swój pierwszy tomik poezji „Konwencje”, został też współpracownikiem pisma literackiego „Odgłosy”. W listopadzie 1960 r. w Teatrze Nowym wystawiono jego jednoaktówkę „Król w szafie” pod literackim kierownictwem Kazimierza Dejmka. Mniej więcej w tym czasie lokalna Służba Bezpieczeństwa wytypowała Rymkiewicza jako potencjalnego tajnego współpracownika, który może się przydać kontrwywiadowi do kontroli operacyjnej kontaktów miejscowych środowisk kulturalnych z obcokrajowcami. Ale sprawę zarzucono.

Nie było to pierwsze spotkanie Rymkiewicza z bezpieczeństwem – to zdarzyło się jeszcze w czasach stalinowskich. Sprawa bezpośrednio dotyczyła bliskiego członka rodziny, z którym Rymkiewicz pozostawał później w złych stosunkach. Tak więc ze względu na ochronę prywatności pisarza i jego rodziny oraz ówczesną niepełnoletniość Jarosława Marka tu tę opowieść trzeba przerwać, wracając do lat 60.

„ZŁA POEZJA Z POSMACZKIEM MISTYCYZMU”

W 1961 r. Rymkiewicz przybywał na Zachodzie, w Londynie zaproszono go na spotkanie z londyńską Polonią. Krótką notkę o spotkaniu opublikował wówczas emigracyjny „Dziennik Polski”, uważnie śledzony w MSW. W notatce nie było nic o polityce, ot pogaduszki przy popołudniowej herbatce, ale warszawska centrala nakazała łódzkiej SB rozpracowanie Rymkiewicza: jego sytuacji, poglądów oraz zidentyfikowanie potencjalnych zagrożeń. Funkcjonariusze SB musieli wręcz szukać podstaw, by wedle obowiązujących przepisów rozpracowanie Rymkiewicza rozpocząć. W sukurs przyszedł im jeden z agentów ze środowiska literatów: „Na moje pytanie, jak ocenia ob. Rymkiewicza J.M., czy wymieniony jest zdolny do pisania wierszy o wrogiej treści, Kontakt Operacyjny »Leszek« odpowiedział, iż o ile zna go, to on jest zdolny do pisania takich wierszy”.

Na Rymkiewicza założono Sprawę Operacyjnej Obserwacji o kryptonimie „Jarek”, w ramach której zbierano o nim informacje i utrudniano mu życie. Nie wymagało to specjalnego wysiłku, lokalne środowisko literackie pełne było bowiem intryg



PIOTR GONTARCZYK

Za opublikowanie w paryskiej „Kulturze” książki „Rozmowy polskie latem 1983”

Rymkiewicz został wyrzucony z pracy w Instytucie Badań Literackich PAN

i donosicielstwa. Z galerii różnej maści donosicieli pozytywnie wyróżniał się szef łódzkiej organizacji ZLP Jan Koprowski, który uważał Rymkiewicza za człowieka wybitnego, to nował więc różne na niego ataki, a w ramach służbowych (nie: operacyjnych) kontaktów z przychodzącymi do niego funkcjonariuszami SB bronił młodego poety i jego talentu.

Atmosfera wokół Rymkiewicza była jednak duszna: bezpieka kontrolowała jego korespondencję, a tzw. oficjalne środowisko literackie, składające się w znacznej części z ludzi, których mało kto dziś pamięta, odnosiło się do niego niezyczliwie. Już wówczas autor miał kłopoty z normalnym publikowaniem.

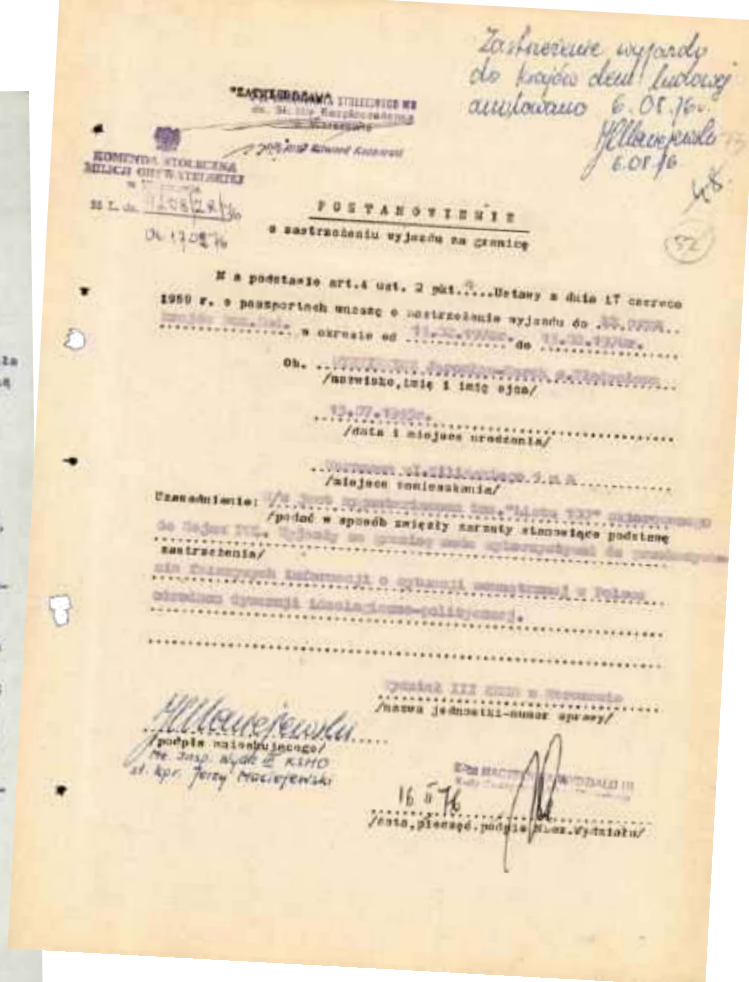
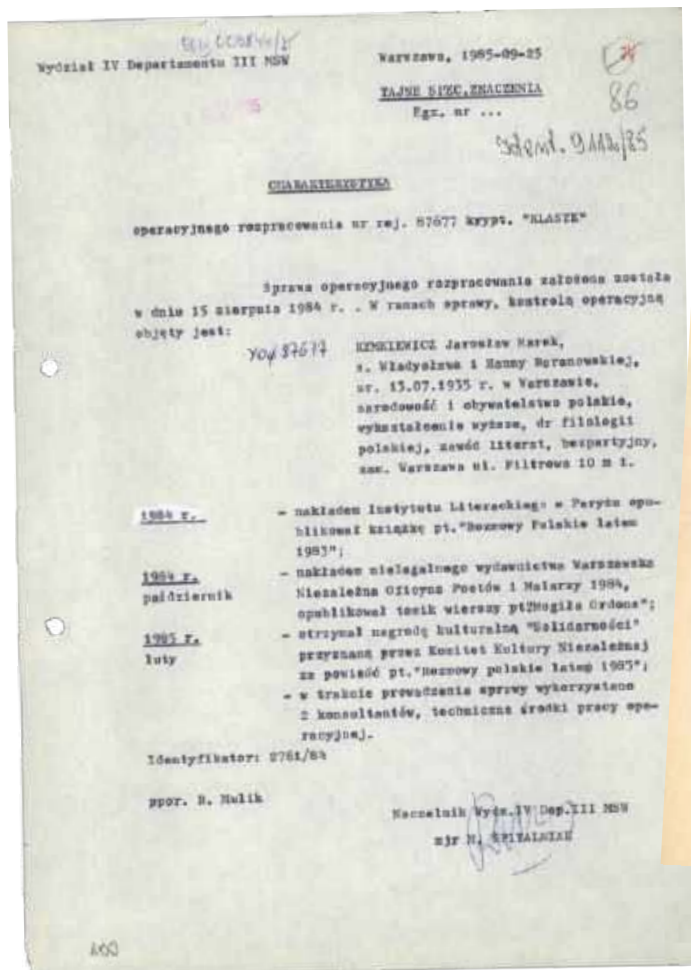
Wedle jednej z notatek SB: „J.M. Rymkiewicz jest współautorem Rzeczy Poetyckiej, rocznika, w którym zamieszczone są najlepsze utwory jakie ukazały się w ciągu roku. Do tej antologii napisał również swój utwór J.M. Rymkiewicz. Ponieważ utwór ten ma posmaczki mistycyzmu, Wydawnictwo zdecydowało, że utwór ten nie ukaże się bez jakiegoś marksistowskiego wstępu w którym wykazane będą jego wady i błędy. [...] Części artykułu Rymkiewicza były czytane na spotkaniu środowiska kultury miasta Łodzi z tow. [członkiem KC PZPR Arturem] Starewiczem jako przykład złej poezji”.

TRUDNE LATA

W początkach 1964 r. Rymkiewicz wywołał burzę wypowiedzią opublikowaną w „Twórczości” na temat Juliana Tuwima i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: „I Tuwim, i Gałczyński byli poetami lirycznymi niewysokiego lotu, poetami,

których wszędzie wielu, i którzy są niewątpliwie potrzebni. [...] tragedią wiersza polskiego jest to, że ich poezjom nadano kiedyś rangę, na jaką nigdy nie zasługiwały. Tragicznym nieporozumieniem było powierzenie tym poetom obowiązku organizowania wyobraźni narodowej. Ktoś ten obowiązek powinien był oczywiście spełniać. Ani Tuwim, ani Gałczyński nie mieli ku temu żadnych danych. Pisywali kabaretowe piosenki, gdy trzeba było dyskutować Arystotelesa. Dyskutowali politykę, gdy trzeba było dyskutować XX-wieczne teorie mitu”.

Taka ocena ważnych poetów Polski Ludowej wywołała falę protestów i donosów oraz ostrą reakcję SB, która inspirowała przeciw twórcy artykuły prasowe. „Głos Robotniczy” pisał: „J.M. Rymkiewicz sięga także do historiozofii. Żenujące i niepokojące jest wówczas niezrozumienie u młodego poety klasowej treści mitów XX-lecia, [sic! P.G.] ich wstecznej antynarodowej wartości. [...] Pragniemy [...] ustrzec młodego poetę przed zbytnią pewnością siebie i radzimy rzetelne studia nad historią Polski”. Coraz trudniejsza była sytuacja Rymkiewicza w „Odgłosach” kierowanych przez głośnego potem z antysemitkiej kampanii 1968 r. redaktora naczelnego Wacława Bilińskiego, którego młody poeta miał nazywać „Waszą Bydleckością”.



Ale z drugiej strony Rymkiewicz podpisał wówczas oficjalny list (kontrwystąpienie do słynnego „Listu 34”), „przeciwko uprawianej na łamach prasy zachodniej oraz na falach dywersyjnej rozgłośni Wolnej Europy zorganizowanej kampanii oczerniającej Polskę Ludową”. Trudno powiedzieć, dlaczego to zrobił. Ale SB uważała, że w rzeczywistości ma inne poglądy. Wedle notatki jednego z funkcjonariuszy prowadzących sprawę „Jarek” Rymkiewicz miał wyraźnie zastrzec, że jego podpis nie może być wykorzystywany przeciwko sygnatariuszom „Listu 34”, co było sprzeczne z jego istotą. Dla SB miało to być wyrazem „de facto solidarności z tą grupą”.

Głównym zarzutem wobec Rymkiewicza pozostawała jego postawa jako poety. Kreśląc jego sylwetkę, funkcjonariusze SB napisali: „Zaprzeczanie figuranta są niewątpliwie sprzeczne z poglądami pod adresem środowiska literackiego, są raczej przedmiotem specjalistycznych dyskusji i polemik, aniżeli oddziaływania społecznego na szerszą skalę. Są one jednak obiektywnie szkodliwe [...] między innymi dlatego, że naturalną konsekwencją wyznawanych przez niego poglądów jest apolityczność. [...] są obiektywnie aspołeczne, politycznie szkodliwe, i stanowią optymalne podłoże dla szerzenia obcej nam, wrogiej ideologii, celowego lub nieświadomego, czynnego lub biernego (w skutkach nie ma żadnej różnicy), uprawiania dywersji ideologiczno-politycznej...”.

SB dalej kontrolowała korespondencję Rymkiewicza, podsłuchiwała też jego telefon. Planowano skłócanie go ze

środowiskiem za pomocą „kombinacji operacyjnych” oraz założenie mu podsłuchu w mieszkaniu. Trwały rozmaite szyskany. Wedle notatki SB do jednego ze znajomych Rymkiewicza miał wówczas powiedzieć, że „mało brakuje, bym wyszedł na środek ulicy i zaczął krzyczeć, że mam już dość”. Wkrótce odszedł z „Odgłosów”, zaczął pracę w Teatrze Nowym, rozpoczął pisanie pracy doktorskiej w PAN. W końcu w 1965 r. udało mu się wyrwać do Warszawy.

„ZAPOBIEGANIE ESKALACJI POLITYCZNEJ AKTYWNOŚCI”

Sprawa o kryptonimie „Jarek” została zamknięta, ale wiosną 1968 r. dwóch funkcjonariuszy SB przeprowadziło z Rymkiewiczem rozmowę, do której pretekstem był zaplanowany wyjazd pisarza do Szwajcarii i Francji. Nie wiadomo dokładnie, na ile notatka z tej rozmowy odzwierciedla jej przebieg, ale widać, że Rymkiewicz unikał jednoznacznych wypowiedzi i ewentualnych zadrażeń. Krytycznie wypowiedział się o słynnej rezolucji Oddziału Warszawskiego z 29 lutego 1968 r. przeciwko polityce kulturalnej PRL, od lat stojąc na swoim radykalnym stanowisku całkowitej apolityczności. Utrzymywał, że twórcy powinni się zajmować pisaniem, a nie polityką, bo to jest sprzeczne z powołaniem. Jednak wypytany o środowisko literackie „był bardzo ostrożny w swych wypowiedziach. Jeśli ustosunkował się do jakiegoś problemu to robił to w sposób ogólny, unikając nazwisk i faktów”.

Wypytywany o wątki żydowskie miał stwierdzić, że w środowisku literackim jest dużo osób pochodzenia żydowskiego,

wśród których są i zwykli grafomani. Takie opinie autora nie dziwią, zważywszy na fakt, że tak samo wielokrotnie wypowiadał się o Polakach. Oficer SB zaznaczył jednak, że Rymkiewicz także tu starannie unikał rozmowy o konkretnych osobach. Nie zabrakło jednak krytycznych opinii dotyczących polityki wydawniczej i, tłumaczonego pośpiechem, okazania chęci szybkiego zakończenia rozmowy.

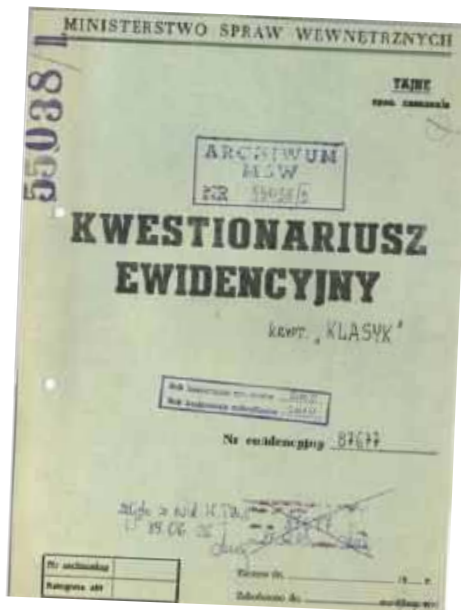
W zasadzie do 1976 r. Rymkiewicz miał spokój, ale wtedy podpisał list 100 przeciwko gierkowskiemu zmianom, które zmierzały do wpisania do Konstytucji PRL lojalności wobec Związku Sowieckiego. Sprawa ta niemal zbiegła się z informacją, jaką SB otrzymała od nadzorujących miesiąc później „Twórczość”.

Cenzura miała zdjąć z pisma tekst Rymkiewicza dotyczący Aleksandra Fredry, w którym znalazły się także krytyczne opinie o braku wolności kultury w PRL uniemożliwiającej powstanie dzieł naprawdę wybitnych. Tak streszczono opinie Rymkiewicza w notatce SB: „W Polsce nie mogliby tworzyć Gombrowicz, Miłosz, Wierzyński, gdyż [...] byłiby krytykowani za niespełnianie powinności pisarza polskiego. Zaangażowanie społeczne jest tamą dla prawdziwej, twórczej literatury, literatura powstająca w kraju nie ma możliwości wyboru tematyki, nie może ukazać prawdziwego obrazu życia kraju, gdyż nikt nie może wyjść poza zaprogramowane »oplotki« polszczyzny”.

Na pisarza ponownie założono sprawę operacyjną, o tym samym kryptonimie co wcześniej – „Jarek”. Kontrolowano jego korespondencję, zbierano informacje od agentury. Zablockowano mu również paszport. Ale poza podstawowymi informacjami o Rymkiewiczu i jego kontaktach w środowisku literackim niewiele udało się ustalić. Najpierw planowano założenie mu podsłuchu w domu, jednak z jakichś powodów technicznych okazało się to trudne. Powrócono więc do pierwotnej koncepcji zwerbowania kogoś w jego najbliższym otoczeniu, rozpracowując także członków rodziny. Próbowano nawet podjąć „dialog operacyjny” z jego siostrą Aliną Sawicką, ale ta zachowała dystans do funkcjonariuszy SB, bagatelizując stawiane bratu zarzuty i twierdząc, że pozostaje on z dala od polityki. SB nie znalazła żadnego „dojścia” do pisarza. W 1977 r. próbowano zwolnić go z pracy w Instytucie Badań Literackich PAN, jednak bez rezultatu. Niedługo potem sprawa o kryptonimie „Jarek” została zamknięta. Na jej zakończenie esbecy pocieszali się w notatce, że jej prowadzenie „zapobiegło eskalacji” aktywności politycznej pisarza. Aktywności, której nie prowadził, zajmując się literaturą.

PORAŻKA BEZPIEKI

Po raz kolejny bezpieka wzięła się do rozpracowania Jarosława Marka Rymkiewicza w 1984 r. Stało się tak na skutek opublikowania przez autora w paryskiej „Kulturze” książki „Rozmowy polskie latem 1983”. Akcja powieści rozgrywa się w pensjonacie pani Anieli nad jeziorem Wigry (tam jeździł Rymkiewicz na wakacje do miejscowości Gawrych-Ruda), gdzie grupa intelek-



tualistów rozmawia na rozmaite tematy. Narratorem książki jest Pan Mareczek, pisarz (w rzeczywistości to Rymkiewicz), który opowiada w sposób ironiczny i prześmiewczy o polityce, filozofii, przyszłości i doskwierającej wszystkim peerelowskiej rzeczywistości. Jeden z konfidentów SB (konsultant ps. Ewa) relacjonował: „Pan Mareczek w ogóle jest człowiekiem godnym współczucia, bo nie dość że musi wypoczywać nad polskim jeziorem, to jeszcze ryb sobie połowić nie może, bo je w 44 roku wytrzebili krasnoarmiejscy,

a raki same pouciekały, pewnie na myśl, że po ugotowaniu mogłyby się stać koloru czerwonego. Czerwony bowiem to »ma taki talent do niszczenia, że jak coś postanowi zniszczyć, to już nic z tego nie zostaje«. [...] żyje się Panu Mareczkowi nielekką. Gdyby nie rzuty (czytaj: dary z zagranicy) siedziałby nagi i bosi, bo w lecie 83 »butów w Polsce nie ma a jeżeli są, to na kartki i takie, że nie warto ich kupować bo jest oczywiste, że się zaraz rozpadną«. Gdy w Sejnach kupuje buty z welwetu bez kartek, to »godzi się to uznać za cud, o którym w czasie niedzielnej mszy powinno się poinformować Boga«. [...] Reasumując: chybiona książka, jak chybione musi być życie trawione przez wrogość, poddane nienawiści i negacji, upodabniające się do mroźnej krew w żyłach baśni braci Grimm i do niej się też ograniczające”.

Inna notatka SB zarzuca Rymkiewiczowi „zwierzęcą zjadłość”, „kanibalizm” (!), „sprzeczną z chrześcijańską moralnością nienawiść do komunizmu i komunistów”. Z równie wrogim przyjęciem „chrześcijańskich moralistów” z bezpieki spotkały się inne publikowane wówczas utwory poety: wyraźnie antysowiecki wiersz „Ulica Mandelsztama” i tomik poezji „Mogiła Ordon”, który jeden z agentów SB opisał w donosie jako „mogiłę rozsądku”.

SB znowu próbowała rozpracowywać Rymkiewicza w ramach sprawy krypt. „Klasyk”. Zbierano informacje o jego działalności, po raz kolejny typowano potencjalnych agentów, którzy mogliby się do niego zbliżyć. Znowu zastanawiano się nad założeniem mu podsłuchu w mieszkaniu. Ale że pisarz nie prowadził działalności politycznej, zajmował się głównie literaturą i był dość hermetyczny, skończyło się niczym, choć sprawę operacyjną zamknięto dopiero w 1989 r.

Nie oznacza to, że za „Rozmowy polskie latem 1983 roku” nie spotkały Rymkiewicza dotkliwe represje. W 1985 r. pisarz został wyrzucony z pracy w Instytucie Badań Literackich PAN. Ale i to nie wpłynęło na jego postawę. Wprawdzie stronił od aktywności politycznej, uważając ją za sprzeczną z misją twórcy, to jednak cały czas pozostawał pisarzem o poglądach z punktu widzenia PRL „politycznie szkodliwych”. Działania Służby Bezpieczeństwa nie zmieniły tego ani na jotę.

*Autor jest pracownikiem IPN.
Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego poglądy*



Tanio już było

Nie jest przesadą mówienie o globalnym kryzysie żywnościowym, w który świat dopiero wkracza



MAREK BUDZISZ

Z przeprowadzonych jesienią 2021 r. przez IBRIS badań wynika, że niemal wszyscy Polacy (92 proc.) niepokoją się wyraźnym wzrostem cen żywności, które w nowym roku nie zwalniają. Ministerstwo Rolnictwa w styczniu poinformowało o tym,

że drożeje mąka, której cena w hurcie skoczyła o 22 proc. Opozycja, wszystko kojarząca z jednym, obwinia rząd, ale jak jest naprawdę? Jakie są powody tego, że żywność w skali świata, bo mamy do czynienia z trendem globalnym, a nie ograniczonym wyłącznie do Polski, jest

dzisiaj wyraźnie droższa? I wreszcie warto się zastanowić, czy obecna drożyzna jest chwilowa, a ceny żywności po okresie turbulencji znów, jak w poprzednich dziesięcioleciach, będą spadać.

NAJWYŻSZY POZIOM CEN OD DEKAD

Dziennik ekonomiczny „Financial Times” policzył, że od 2019 r. koszt tradycyjnego brytyjskiego śniadania składającego się z kawy, mleka, cukru, owsianki, bekonu i jajek wzrósł o 63 proc. i najpewniej w najbliższym czasie nie spadnie. „Wysokie ceny na żywność pozostaną z nami jeszcze przynajmniej przez rok” – powiedział dziennikarzom Carlos Mera, główny specjalista od masowych artykułów spożywczych w holenderskim Rabobanku.

Na początku lutego oengetowska agenda zajmująca się światowym rynkiem żywności (FAO) ogłosiła najnowsze dane, z których wynika, że ceny są dziś w skali globalnej najwyższe od 2011 r., kiedy to ich skokowy wzrost doprowadził do serii rewolucji w wielu państwach arabskich. Gdyby brać pod uwagę wyłącznie mięso, mleko i rośliny oleiste, to ich ceny są na najwyższym poziomie od lat 90. XX w., kiedy tego rodzaju indeks został utworzony. Maurice Obstfeld, ekonomista z Peterson Institute, wcześniej pracujący w IMF, powiedział dziennikowi „The New York Post”, że wzrost cen żywności w największym stopniu dotknie biedne kraje Afryki i Ameryki Łacińskiej, której mieszkańcy wydają od 50 do 60 proc. swych budżetów na zakup jedzenia. W efekcie możemy mieć do czynienia ze wzrostem niepokoju społecznych, destabilizacją całych państw, a z perspektywy Europy – z nasileniem trendów migracyjnych z szybko ubożającej Afryki i tradycyjnie niestabilnego Bliskiego Wschodu. Obstfeld dodał też, że „nie jest przesadą mówienie o globalnym kryzysie żywnościowym”, w który świat dopiero wkracza. Do jego wybuchu przyczyniło się nałożenie naturalnych i niekorzystnych trendów w zakresie pogody, pandemia COVID-19 i jej skutki eko-

nomiczne, ale również celowe działanie niektórych rządów, które na kryzysie chciałyby politycznie i ekonomicznie zarobić.

Wybuch pandemii COVID-19 w 2020 r. spowodował, zwłaszcza w krajach bogatego Zachodu, tektoniczne

Na początku lutego FAO ogłosiła dane, z których wynika, że ceny żywności są dziś w skali globalnej najwyższe od 2011 r., kiedy to ich skokowy wzrost doprowadził do serii rewolucji w wielu państwach arabskich

zmiany w zakresie konsumpcji żywności. Europejczycy przestali chodzić do restauracji, a w większym stopniu kupowali żywność i zaczęli przygotowywać ją w domu. Pojawiło się też zjawisko kupowania „na wszelki wypadek”, po to, aby mieć zapas na niespodziewane ograniczenia i lockdown. Stare łańcuchy zaopatrzeniowe uległy zerwaniu, nowe okazały się mniej wydolne niż potrzeby. Na to nałożyły się problemy z brakiem sezonowych robotników w rolnictwie i z coraz bardziej dolegliwymi brakami pracowników transportu. Uziemienie linii lotniczych również spowodowało, że tropikalne warzywa i owoce z drugiego końca świata przestały rytmicznie przychodzić. Po pandemii skokowo wzrosły ceny frachtów i koszty wynajęcia kontenerów.

CHIŃCZYCY, EL NIÑO I KRYZYS ENERGETYCZNY

W 2018 r., czym prócz fachowców mało się wówczas ktokolwiek interesował, w Chinach wybuchła pandemia świńskiej grypy, w której efekcie o połowę zmniejszyło się tamtejsze stado trzody chlewnej. W kolejnych latach Pekin

zaczął odbudowywać swe zapasy i stado podstawowe, kupując na świecie co się da i na każdych warunkach. Efekt? W 2020 r. Chiny kupiły 100 mln ton soi – 85 proc. swej konsumpcji i niemal 60 proc. globalnej produkcji – co w efekcie wywindowało jej ceny na historycznie wysoki poziom. Jeśli chodzi o pszenicę, to Pekin zakupił jej na międzynarodowych rynkach w ubiegłym roku o 16,6 proc. więcej, podobnie w przypadku jęczmienia, którego sprowadzono o 54 proc. więcej.

W najbliższych latach, mimo wysiłków, aby zwiększyć rodzimą produkcję, Chiny będą importować coraz więcej żywności. Specjaliści z branżowego periodyku „The Land” oceniają, że w ostatnich 20 latach konsumpcja pszenicy w Państwie Środka wzrosła ze 110 do 150 mln ton rocznie. Jest to wynikiem poprawy poziomu życia, a co za tym idzie – modelu konsumpcji. Chińczycy jedzą dziś statystycznie o 20 kg mięsa więcej niż przed laty,

a to oznacza skokowy wzrost importu nasion zbóż i roślin oleistych, bo potrzeba więcej paszy. Ceny na światowych rynkach rosną, a Europa importująca żywność musi, jak wszyscy, płacić więcej.

Na to nałożyły się niekorzystne zjawiska klimatyczne. Przymrozki, które zdarzyły się w Brazylii w czerwcu ubiegłego roku, wywindowały ceny kawy o 56 proc., a cukru o 26 proc. Dwa lata z rzędu El Niño, ponadprzeciętnie wysokie temperatury wody w sferze równikowej, powodowały susze w państwach takich jak Brazylia, których rolnicza produkcja decyduje o poziomie cen na świecie. Zeszłoroczne letnie powodzie w Europie doprowadziły do wzrostu cen ziemniaków, które w Niemczech i w Belgii wzrosły o 180 proc. „Już możemy widzieć, jak ceny w tym roku reagują z wyprzedzeniem na kolejne uderzenie El Niño, jeszcze zanim zjawisko wystąpiło w rzeczywistości” – powiedział dziennikowi „Financial Times” Mario Zappacosta, starszy ekonomista w Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa.

Do pełnego obrazu trzeba dolożyć jeszcze kryzys energetyczny, mający również wpływ na koszty produkcji żyw-

ności, i nie mniej groźną destabilizację sytuacji wokół Ukrainy. Ceny nawozów mineralnych używanych w rolnictwie wzrosły w Europie w ciągu ostatniego roku czterokrotnie. Co więcej, przestoje w związku z szalejącymi cenami gazu ziemnego, którego wielkie ilości zużywane są w procesie produkcji nawozów, powodują, że być może nie uda się zaspokoić istniejącego zapotrzebowania. Jesienią ubiegłego roku główni europejscy producenci, tacy jak norweski koncern Yara, niemiecki BASF, austriacki Borealis czy amerykański CF Industries, informowali o przerwach w pracy swych fabryk, które wymusił wzrost cen gazu ziemnego. Nasze Azoty nie zdecydowały się na podobne kroki, ale na polskich rolniczych forach internetowych pełno jest wpisów o trudnościach z nabyciem nawozów, z którymi są „tymczasowe” problemy.

GRA O RYNEK NAWOZÓW

Z analiz firmy VTB Capital monitorujących ten rynek wynika, że w Europie wiosną, kiedy rolnicy przystępują do wysiewania, możemy mieć do czynienia z niedoborem nawozów wynoszącym nawet 9 proc. Na to nakłada się polityka. Białoruś, trzeci w skali świata producent nawozów potasowych, została objęta międzynarodowymi sankcjami. Wilno ogłosiło, że od 1 lutego zawiesza tranzyt białoruskich nawozów – przez litewskie porty wywożono do tej pory nawet 90 proc. produkcji. Niemal w tym samym czasie Moskwa poinformowała o tymczasowym, dwumiesięcznym, zawieszeniu eksportu saletry amonowej. Ma to związek z niedoborami na rosyjskim rynku nawozów, szacowanymi na 50 tys. ton, ale specjaliści są zdania, że niejako „przy okazji” Rosjanie chcą przejąć kontrolę nad europejskimi

producentami, ponoszącymi wielkie straty w związku z wysokimi cenami gazu ziemnego. Już poinformowano, że austriacki koncern petrochemiczny OMV sprzedaje swą „nawozową nogę”, firmę Borealis, rosyjskiemu potentatowi w tej branży Andriejowi Melnyczenko. Białoruski koncern Bielaruśkalij, który został objęty sankcjami, też najprawdopodobniej zostanie przejęty przez swego rosyjskiego konkurenta.

Wysokie ceny, jak mówi György Raskó, węgierski farmer i ekonomista specjalizujący się w rolnictwie, już się przyczyniły do tego, że tegoroczna konsumpcja nawozów w jego kraju będzie 30–40 proc. niższa. To oznacza, że plony również będą mniejsze, a ceny żywności znów wzrosną.

Jeśli Rosjanie będą kontrolować europejski rynek nawozów, to i w przyszłości możemy mieć do czynienia z niespodziewanymi przerwami w produkcji, zastanawiającymi awariami czy przekierowaniem strumieni zbytu na inne, azjatyckie rynki. A to oznacza, że w Moskwie będą skoncentrowane narzędzia pozwalające decydować o cenach żywności w Europie.

Strategii tej sprzyja destabilizacja sytuacji wokół Ukrainy i utrzymujące się napięcie na jej granicach. Rosjanie właśnie ogłosili na morzach Czarnym i Azowskim ćwiczenia ich marynarki wojennej, co w praktyce oznacza blokadę największych portów ukraińskich. A trzeba pamiętać, że Ukraina jest czwartym pod względem wielkości eksporterem żywności do Unii Europejskiej. Gdyby brać pod uwagę wyłącznie zboża i rośliny oleiste, to dostawy z tego kierunku decydują nawet o 25 proc. zaopatrzenia europejskiego rynku, a w przypadku kukurydzy mowa jest o 50 proc. Choćby tylko czasowe wstrzymanie dostaw musi negatywnie wpłynąć na ceny mąki, pa-

szy i w konsekwencji mięsa na rynku Europy. Portal Politico przytacza w tym kontekście wypowiedź Nazara Bobitskiego, dyrektora brukselskiego biura ukraińskiego związku producentów i eksporterów żywności, który powiedział, że „z punktu widzenia bezpieczeństwa żywnościowego” Europy konflikt na Ukrainie jest tym, czego należy unikać. W jego opinii liderzy Unii nie mają jeszcze świadomości, jakie skutki może pociągnąć za sobą destabilizacja sytuacji na Wschodzie, „a powinni mieć”. Nawet jednak jeśli konflikt się nie zaostrzy, to na tak wrażliwym rynku jak żywnościowy chwilowe zakłócenia dostaw mogą pociągać za sobą skokowe wzrosty cen.

WYSOKA CENA ZIELONEJ POLITYKI

Na to nakładają się niekorzystne trendy długofalowe związane z europejską polityką klimatyczną. Rolnicy w Unii Europejskiej mają stosować mniej nawozów, mniej środków ochrony roślin i generalnie zmieniać technologię produkcji. Charlie McConalogue, irlandzki minister rolnictwa, bez ogródek powiedział niedawno, że rząd planuje, chcąc osiągnąć cele klimatyczne, zmniejszenie produkcji rolnej w kraju o 20–30 proc. Z analiz polskich organizacji rolniczych wynika, że zapowiedziana w ramach programu Fit for 55 50-proc. redukcja zużycia nawozów, w zależności od rodzaju upraw, przyniesie od kilku do kilkudziesięciu procent niższe plony. Jeśli zatem nasi rolnicy mają produkować mniej, a ceny żywności na świecie będą się utrzymywały na wysokim jak obecnie poziomie, to nie ma szans na znaczący ich spadek w kraju. Tym bardziej że drożeją paliwo, środki ochrony i nawozy. Tanio już było. Teraz będzie coraz drożej.

Jako człowiek
postępowy
e-wydania kup
– i z głowy!

E-PRENUMERATA

SIECI

+ 3 e-booki

w prezencie

eprasa.pl 7338384d41



Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

Życie na linii frontu

Na wschodzie Ukrainy niemal każdy wie, czym jest wojna. Po rosyjskiej agresji w 2014 r. tak naprawdę wojna nigdy się przecież nie skończyła. Walczą nie tylko ukraińscy żołnierze, ale i ochotnicy. Jest ich tym więcej, im bardziej realna staje się ewentualna rosyjska inwazja



MARCIN TULICKI

Rosja okupuje dziś dwie części Ukrainy. Półwysep Krym na południu oraz część Donbasu na wschodzie. To dwie samowznające republiki wokół Doniecka i Ługańska. Co prawda Władimir Putin uparcie próbuje wmawiać światu, że z Doniecką Republiką Ludową i jej siostrą spod herbu Ługańska nie ma nic wspólnego, ale w te czcze opowieści nikt już nie wierzy. Zwłaszcza Ukraińcy, którzy dobrze pamiętają wojnę i to, kto ich zaatakował.

STRZAŁY TO CODZIENNOŚĆ

Awdijiwka to niewielkie miasto na wschodzie Ukrainy, przyklejone do okupowanego od ośmiu lat Doniecka. Pomiędzy nimi przebiega linia frontu, a kilkaset metrów dalej mieszkają ludzie.

– Strzały? Niemal codziennie. Strzelają rano, później jest przerwa i znów po południu lub wieczorem, ale to nie jest reguła. Trzeba było się nauczyć z tym żyć – opowiada nam młody chłopak, którego spotykamy, gdy nabiera wodę ze studni przed swoim domem. Na całej ulicy dym z kominów widać tylko w kilku chatach. Pozostałe mają powybijane okna, zniszczone drzwi, a w środku na ścianach mnóstwo dziur po kulach. Ludzie uciekli, gdy miasto zostało zaatakowane, i już nigdy nie wrócili.

Podobnie wygląda niemal cała Awdijiwka. Czy to przedmieścia z niską drewnianą zabudową, czy centrum składające się z osiedli, głównie kilkupiętrowych, murowanych budynków. Niektóre są częściowo zniszczone. To dzieło ostrzałów artyleryjskich lub rakiet typu grad, chyba ulubionej broni rosyjskich okupantów. Na jednym z takich osiedli spotykamy Anatolija. To mężczyzna po pięćdziesiątce, który pracuje w miejscowej fabryce, największym, w sumie jedynym, zakładzie pracy w Awdijiwce. Gdy pytam, czy ma dokąd uciekać, gdyby miasto znów zostało zaatakowane, Anatolij robi wielkie oczy. – Jak to uciekać? Przecież tutaj mam mieszkanie i pracę. Dokąd miałbym niby uciec? – odpowiada zdumiony. – Nie boisz się? – pytam. – My

już przez te wszystkie lata tyle przeżyliśmy, że się tu już niczego nie boimy.

Z Tetianą spotykamy się w centrum miasta. Oficjalnie zajmuje się kulturą. Dodatkowo jest wolontariuszką, która pomaga organizować dla żołnierzy na froncie wszystko, czego potrzebują. Zarządza również muzeum miejskim w Awdijiwce, choć nie ma tyle pola do popisu ile kiedyś, bo część budynków zajęli żołnierze. W tych, w których to możliwe, urządziła wystawy, głównie patriotyczne. – Sporo pracuję z dziećmi i młodzieżą. Uczę ich, jak żyć w takich warunkach, w których znaleźli się nie ze swojej winy – opowiada Tetiana. To prawda, że nikt nikogo nie pytał przecież o zdanie, czy chce żyć w sąsiedztwie wojny, która w każdej chwili może się w rosyjskich buciorach wdrzeć do ich domu.

WIDMO WOJNY

Eksperti od dłuższego czasu zakładają kilka scenariuszy rozwoju konfliktu na wschodzie Europy, które mogą się urzeczywistnić. Najbardziej optymistyczny zakłada, że Putin ugnie się pod presją Zachodu i nie uderzy na Ukrainę. Najbardziej pesymistyczny mówi natomiast o wojnie totalnej, czyli o rosyjskim uderzeniu z kilku stron. Pewnie również z okupowanych na wschodzie terenów. Wtedy takie miejscowości jak Awdijiwka przyjąłby pierwsze uderzenie. Kolejny byłby pewnie Kramatorsk, który już osiem lat temu był przez kilka miesięcy okupowany.

Mniej więcej 30 km od linii frontu trafiamy do niewielkiego budynku, który z zewnątrz wygląda jak barak. Od razu po wejściu do środka uderza nas specyficzny zapach, dobrze znany ze stomatologicznych poczekalni. Za drzwiami po lewej dźwięk borowania. – To dentyści wolontariusze. Zmieniają się tutaj co jakiś czas, żeby leczyć zęby żołnierzom walczącym na froncie – tłumaczy Olena, Ukrainka, która pomogła mi dostać się w miejsce, do którego sam zapewne nigdy bym nie trafił. – Czyli to taka polowa klinika dentystryczna? – dopytuję. – Nie tylko. Mieści się tutaj także rozgłośnia radiowa – wyjaśnia Olena i prowadzi nas schodami na górę. Rzeczywiście w jednym z pomieszczeń

stoją monitor, mikrofon i konsola dźwiękowa. Na stanowisku siedzi „Czarny”. Nie chce podawać swojego imienia ani nazwiska. Wyłącznie pseudonimami posługują się też inni członkowie ochotniczych batalionów. – Nasze radio, co najważniejsze, dociera na okupowane tereny. Dzięki temu mieszkający tam ludzie nie są skazani wyłącznie na rosyjską muzykę i propagandę. Puszczamy ukraińską muzykę i tłumaczymy, jak wygląda sytuacja w regionie – opowiada „Czarny”.

W Kramatorsku spotykamy się z Edwardem Kuliničem. To weteran wojny o Donbas. Jednym z frontów, na których



Awdijiwka to niewielkie miasto na wschodzie Ukrainy, „przyklejone” do okupowanego od ośmiu lat Doniecka. Pomiędzy nimi przebiega linia frontu. Dobrze tu widać obraz wojennych zniszczeń



walczył, był właśnie jego rodzinny Kramatorsk, który wyzwalał. – To był moment. Uderzyli błyskawicznie na budynki policji i administracji. Stworzyliśmy bardzo małą, czteroosobową grupę i pomagaliśmy regularnej armii. Po kilku miesiącach udało się wypchnąć wroga i pojechaliśmy walczyć dalej. Było przecież o co się bić – wspomina rok 2014 Edward, który walczył także m.in. o Awdijiwkę. Mundur zawiesił na kołku w 2017 r., ale to nie jest tak, że można zapomnieć. – Nie dalej jak tydzień temu byłem na froncie – mówi Edward. – Dlaczego tam jeździsz? – pytam. – Odwiedzam żołnierzy, wspieram ich na duchu. To bardzo ważne. Oni muszą wiedzieć, że to wszystko ma sens, że nam się kiedyś udało wyzwolić nasze miasta, to im też się uda, jeśli będzie trzeba – odpowiada.

„KŁAMCA PUTIN”

Edwardowi postanowiłem zadać pytanie, które od dłuższego czasu chciałem postawić jakiemuś Ukraińcowi, który walczył o Donbas. – Władimir Putin mówi, że nie ma z tym nic wspólnego i że Donbas to wewnętrzna wojna Ukrainy. Co ty na to? – pytam. Weteran wybuchł śmiechem i wrócił w swoich opowieściach do roku 2014, pokazując mi film, na którym on i kilku jego kolegów było oswobodzonych z niewoli. – Byłem jeńcem przez kilka tygodni. Skazany na łaskę i niełaskę rosyjskiego żołnierza. Nawet się nie próbował ukrywać. Na ramieniu miał rosyjską flagę – opowiada weteran wyraźnie rozbawiony narracją Putina. – Pamiętam, że rozmawiali także między sobą o okupacji Krymu, który zajęli kilka tygodni wcześniej. W tej operacji też brali udział. Takich przykładów jest

zdecydowanie więcej – dodaje Edward. – Putin kłamał, kłamie i będzie kłamał. Tyle tylko że jest zbyt dużo dowodów na prawdę.

Ukraińskie ministerstwo obrony ocenia, że liczba rosyjskich żołnierzy skoncentrowanych na granicach z Ukrainą odpowiada sytuacji z wiosny ub.r. Wówczas też cały świat się zastanawiał, czy Putin ruszy na Ukrainę, skończyło się na szczęście na prężeniu militarnych mięśni. Być może teraz finał będzie podobny. Wówczas powstanie kolejne pytanie: na kiedy ta operacja zostanie przeniesiona? Biorąc przecież pod uwagę imperialną i agresywną politykę Putina, nie ma wątpliwości, że tak po prostu nie odpuści sobie Ukrainy.

Autor jest dziennikarzem „Wiadomości” TVP1

Podhalańskie poruseństwo

W moim głębokim przekonaniu to poruseństwo chochołowskie było wyrazem miłości ojczyzny i wolności, tej „góralskiej ślebody”. Pamięć o powstaniu inspirowała kolejne góralskie pokolenia do działań patriotycznych – mówi **Piotr Bąk**, starosta tatrzański, w rozmowie z Piotrem Słabkiem

Co było przyczyną powstania chochołowskiego?

Piotr Bąk: Powstanie chochołowskie było częścią ogólnopolskiego planu powstania, przygotowanego przez działające na emigracji Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Towarzystwo było najliczniejszym ugrupowaniem emigracji polskiej. Od 1840 r. jego działacze planowali powstanie, które miało objąć wszystkie trzy zabory. Zamierzali odbudować Rzeczpospolitą siłami samych Polaków. W planach było zniesienie różnic stanowych poprzez uwłaszczenie włościan. Chłopi mieli otrzymać na własność użytkowaną przez siebie ziemię bez płacenia dziedzicom odszkodowania. W efekcie liczono na utworzenie wielkiej armii chłopskiej, która będzie w stanie przeciwstawić się zabiorcom. Wybuch powstania, jednocześnie w zaborze pruskim i austriackim, planowano na 21 lutego 1846 r., później walki miały się przenieść do zaboru rosyjskiego. Wodzem powstania miał zostać Ludwik Mierosławski. Przygotowanie do insurekcji poprzedziła wieloletnia działalność spiskowa. Od wielu lat także pod Tatry docierali emisariusze.

Jednym z nich był jeszcze w 1832 r. Seweryn Goszczyński. Można powiedzieć, że „Dziennik podróży do Tatrów”, jedno z pierwszych wielkich dzieł poświęconych przyrodzie oraz kulturze ludowej Podhala i Tatr, był ubocznym efektem tej jego podróży. W latach 1844–1846 przebywał na Podhalu Julian Maciej Goslar, kierując przygotowaniem do akcji zbrojnej. Ostatecznie jednak cele pierwszego etapu powstania osiągnięto jedynie w Krakowie i Chocholowie.

Dlaczego inne zabory nie zaangażowały się w powstanie?

W Wielkopolsce pruska policja wpadła na trop spisku i przywódcy powstania, w tym Mierosławski, zostali aresztowani przed 21 stycznia 1846 r. W Galicji ludność wiejska cierpiała w skutek poddaństwa oraz pozostałości dawnych stosunków feudalnych. W świecie wyobrażeń galicyjskich chłopów szczególne miejsce zajmował mit dobrego cesarza jako opiekuna pochylającego się nad chłopską krzywdą. Austriacy, chcąc doprowadzić do rozdzwisku w polskim społeczeństwie i tym samym zapobiec wybuchowi ewentualnego powstania, wykorzystali niezadowolone chłopów. Powstańcze przygotowania przedstawione zostały jako knowania szlachty polskiej wymierzone w galicyjskie chłopstwo. W efekcie pchnięto chłopów do mordów i plądrowania szlacheckich dworów. Zbrojne gromady zniszczyły i okradły w ciągu kilku dni w drugiej połowie lutego 1846 r. blisko 500 dworów. W ramach tzw.

rabacji zamordowano, często w bardzo okrutny sposób, ponad 1,2 tys. osób – ziemian, urzędników dworskich i rządowych oraz kilkudziesięciu księży. Zdarzyło się, że oddziały powstańcze były atakowane i rozbrajane, a powstańców wydawano władzom austriackim.

Sytuacja na Podhalu była zasadniczo inna. Starostwo nowotarskie od wieków było królewszczyzną. Tamtejsi chłopi nie zaznali ucisku pańszczyźnianego ze strony dziedzica, mogli korzystać z wielu praw i przywilejów, dochodzili swoich racji w sądach i de facto dysponowali dziedzicznym prawem do gruntów, które uprawiali. Za czasów dawnej Rzeczypospolitej wybrańcy z niektórych sołectw pełnili





W 1832 r., po klęsce powstania listopadowego, we dworze ukrywał się Seweryn Goszczyński, który opisał go w „Dzienniku podróży do Tatrów” (opublikowanym w 1851 r.). Ponadto u Tetmajerów gościli przywódcy powstania chochołowskiego Julian Goslar i Jan Kanty Andrusikiewicz

służbę wojskową wynagradzaną przez królów polskich przywilejami, a nawet zaliczeniem do szlachty. Od wieków na wsiach istniały struktury samorządowe.

Wprowadzenie porządków austriackich po pierwszym rozbiore Polski uderzało w dawne przywileje i wolności znane ludności Podhala. W pierwszej połowie XIX w. w zaborze austriackim nastąpiła też silna akcja germanizacyjna i z tego powodu Austria była wtedy najgorszym zaborcą. Silnie rozbudowany reżim policyjny i biurokratyczny bezwzględnie niszczył wszelki ruch narodowo-patriotyczny. W zaborze rosyjskim Królestwo Polskie nawet po powstaniu listopadowym zachowało pewne elementy autonomii. W zaborze pruskim istniało Wielkie Księstwo Poznańskie. W Galicji przed 1867 r. o żadnej autonomii nie było mowy. Chłopom z królewszczyzn ograniczono dawne przywileje, likwidowano wszelką samorządność. Ludność starostwa nowotarskiego nie chciała się poddać surowym porządkom austriackim, ograniczającym ich prawa i wprowadzającym elementy stosunków poddańczych. Buntownicze nastroje chłopów miały swoje źródła w wieloletnim konflikcie związanym z zakupem tatrzańskich lasów. Po wojnach napoleońskich skarb austriacki wyprzedawał swoje aktywa, w tym lasy w Tatrach i na przedpolu Tatr stanowiące za czasów Rzeczypospolitej majątek królewski. Tatrzańskie lasy podzielono na cztery sekcje. Sekcja zachodnia, zwana czarnodunajeczką, mierząca ponad 3 tys. hektarów, obejmowała m.in. teren Doliny Chochołowskiej, Doliny Lejowej i Magury Witowskiej. Chłopi z siedmiu wsi – Chochółowa, Cichego, Czarnego Dunajca, Dzianisza, Podczerwonego, Witowa i Wróblówki – postanowili ją zakupić i wielkim wysiłkiem zebrali potrzebną na to kwotę. Ale ze względu na ograniczenia prawne tego rodzaju zbiorowy zakup nie był możliwy. Chłopi zdecydowali więc podstawić w zastępstwie jako kupującego zaufanego księdza Józefa Szczurkow-

skiego. Niestety zostali oszukani. Szczurkowski po zakupie zaintabulował siebie jako właściciela i zaczął egzekwować stosunki poddańcze. Rozpoczęła się walka siedmiu wsi o swoją własność, która trwała blisko 40 lat. Później w imieniu chłopów występował baron Kajetan Borowski, który po wygranej w procesie zrobił to samo co ks. Szczurkowski. Zarówno ks. Szczurkowski, jak i baron Borowski korzystali z ochrony prawa i wsparcia administracji austriackiej. Doprowadziło to do buntowniczych nastrojów wśród chłopów, a nawet do starć zbrojnych, w których ginęli ludzie. Dodatkowo na Podhalu w latach 1844–1845 nastąpiła seria dotkliwych klęsk naturalnych (nieurodzaje i powodzie). Związane z tym niezadowolenie wpłynęło na podatność ludności na agitację powstańczą.

Wspomniał pan, że przygotowania do powstania trwały kilka lat. Jak one wyglądały i kto był za nie odpowiedzialny?

W przypadku samego Chochółowa to przede wszystkim efekt wieloletniej pracy Jana Kantego Andrusikiewicza. Jako młody chłopiec był uczestnikiem powstania listopadowego, w 1833 r. został nauczycielem i organistą w Chochółowie. Wykonał ogromną pracę uświadamiającą. Na terenie parafii chochołowskiej, która obejmowała także Ciche, Dzianisz, Kościelisko, Witów i zachodnią część Zakopanego, stworzył rozległy krąg czytelniczy, udostępniał ludności góralskiej książki o tematyce moralnej, historycznej i patriotycznej ze swojej obszernej biblioteki. Drugą ważną postacią był ks. wikary Józef Leopold Kmiotowicz, twórca antyalkoholowego towarzystwa wstrzemięźliwości, wokół którego skupiali się późniejsi powstańcy. Przygotowania powstańcze nie ograniczały się jednak tylko do parafii chochołowskiej, lecz obejmowały też inne miejscowości pod Tatrami. W Szaflarach ich organizacją zajmował się

ks. wikary Michał Janiczak, w Poroninie wikary Michał Głowacki, a w parafii Odrowąż proboszcz Jan Kanty Miś. We wschodniej części Podhala na terenie tzw. szlachetczyzny, w starostwie czorsztyńskim, w konspirację zaangażowały się dwory Drohojowskich, Krobickich i Tetmajerów w Czorszynie, Harkłowej i Łopusznej. Spisek obejmował całe Podhale, choć do dzisiaj nie ma powszechnej świadomości tego faktu.

Czy można mówić o jakichś góralskich przywódcach powstania?

Istnieje sporządzony w 1847 r. przez Austriaków urzędowy wykaz aresztowanych i podejrzanych o uczestnictwo w „ruchu chochołowskim”, który obejmuje 127 osób. 89 proc. spośród nich stanowili chłopci z Chochołowa, Witowa, Dzianisza, Cichego i Zakopanego, w tym Jacenty Kois, wójt Chochołowa, podwójci i przysiężni z Chochołowa, trzech sołtysów, pełnomocnik gminy, deputowany gminny, trzech pisarzy gminnych, ławnik, ale też Jan Szymański, żebrak niewiadomego pochodzenia oraz wojskowi tzw. urlopnicy. Pozostałe 11 proc. to głównie księża, urzędnicy, strażnicy skarbowi, organista, lekarz, leśnicy, czyli inteligencja niższego szczebla. W samym Chochołowie pod broń w niedzielę 22 lutego stanęło 300 osób, natomiast według obliczeń Janusza Andrusikiewicza („Poruszeństwo chochołowskie 1846”, Czarny Dunajec 1996), biorąc pod uwagę działania na terenie całego Podhala, było to w sumie ok. 1 tys. powstańców.

Jakie były szanse powstania chochołowskiego z perspektywy historycznej?

Cele konspiracji na Podhalu były jasne, chodziło o opanowanie Nowego Targu i zabezpieczenie przejść z Podhala na Węgry. Następnie przewidywano marsz na miejsce koncentracji sił powstańczych w Wadowicach, opanowanie po drodze Jordanowa, gdzie miała się znajdować siedziba rządu prowincjonalnego w pierwszej fazie powstania. Pamiętajmy, że działania na Podhalu miały być częścią planu ogólnopolskiego, który niestety został słabo przygotowany.

Jak wyglądał przebieg powstania?

Poruszeństwo chochołowskie trwało dwa dni. Rozpoczęło się wieczorem 21 lutego 1846 r., tak jak to było zaplanowane przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, rozbrojeniem kwatery strażników skarbowych w Chochołowie przez grupę uzbrojonych w piki górali

wraz z Andrusikiewiczem i ks. Kmiotowiczem na czele. Następnie powstańcy, mając już zdobyczą broń, udali się na granicę z Węgrami (granica celna wewnątrz cesarstwa austriackiego) między Chochołowem a Suchą Górą, gdzie opanowali komorę celną i przejęli pieniądze z cla „galicyjskiego”. Kolejnym ruchem było rozbrojenie strażników w koszarach straży granicznej w Witowie. Później powstańcy zarekwirowali broń z nadleśnictw w Witowie i Kościelisku.

W niedzielę rano odbyła się akcja agitacyjna we wszystkich wsiach parafii chochołowskiej. Ks. Józef Kmiotowicz podczas sumy i wygłosił kazanie o silnym patriotycznym przekazie. Wieczorem w Chochołowie stawiło się 300 ochotników, którzy mieli w poniedziałek rano wyruszyć na Wadowice. Tymczasem w Czarnym Dunajcu z inicjatywy nadkomisarza skarbowego została sformułowana grupa zbrojna – składająca się ze strażników skarbowych oraz niektórych mieszkańców – która podjęła atak na Chochołów nocą z niedzieli na poniedziałek. Wartownicy podnieśli alarm i uderzyli w dzwony kościelne. Doszło do zbrojnego starcia, w którego wyniku zginęły trzy osoby, a przywódcy powstania Andrusikiewicz i ks. Kmiotowicz zostali poważnie zranieni, mimo to atak został odparty.

Niestety w poniedziałek rano do Chochołowa dotarły wiadomości, że działania w Chochołowie były odosobnione, a na północ od Podhala nikt nie ruszył do powstania. Analizując dziś dokumenty austriackie, wiemy, że nie było to do końca prawdą. Akcja powstańcza rozpoczęła się także w innych miejscach pod Tatrami. Ks. Janiczak zorganizował grupę kilkudziesięciu górali z Białego Dunajca i Szaflar, która ruszyła w kierunku Poronina, ale tam

przypadkowo znalazł się oddział straży granicznej, który zastąpił im drogę. Doszło do starcia i grupa ks. Janiczaka została rozproszona. Proboszcz z Odrowąża ks. Miś zebrał w niedzielę 230 chłopów, którzy w poniedziałek 23 lutego ruszyli z odsieczą na Chochołów, do celu jednak nie dotarli zawróceni wiadomością o końcu powstania w Chochołowie. Także spiskowcy z wsi szlacheckich zaatakowali od strony Węgier i opanowali przejście graniczne w Nowej Białej i wkroczyli na Podhale. Niestety w samym Chochołowie sytuacja powstańców z godziny na godzinę stawała się coraz trudniejsza. Wiedzano o zbliżających się znacznych siłach austriackich. Ranni organizatorzy powstania nie byli w stanie skutecznie kierować akcją, a otaczający Chochołów nieprzyjaciel groził spalaniem wsi. Potwierdzały się też wiadomości, że w starostwach otaczających Podhale nie



Ksiądz Leopold Kmiotowicz

Jan Kanty Andrusikiewicz



Inszenizacja powstania chochołowskiego

było znaczących wystąpień powstańczych. W tej sytuacji w poniedziałek 23 stycznia o godz. 16 Chochółów kapitulował. Przywódcy zostali uwięzieni, najpierw w Nowym Targu, potem w Nowym Sączu, a następnie we Lwowie, gdzie odbyły się procesy karne.

Jaką rolę odegrało powstanie chochołowskie w dziejach Podhala? Pod Tatrami się o nim pamięta, ale w szkołach nikt o nim nie wspomina?

Niestety wiedza na temat powstania poza naszym regionem jest niewielka. Ogranicza się je tylko do Chochółowa, choć w istocie obejmowało znacznie większy obszar. Po kapitulacji powstańców Chochółów i mieszkańcy całej parafii zostali poddani represjom. Byli bici i maltretowani, a na wieś nałożono kary finansowe. Wikary z Poronina ks. Michał Głowacki, jeden z przywódców spisku, w czasie śledztwa w więzieniu w Nowym Sączu został zepchnięty ze schodów w kajdanach. Na skutek upadku i doznanych ciężkich obrażeń zmarł. Prowadzone przez jezuitów „rekolekcje” w Chochółowie miały na celu potępienie czynu powstańczego jakoby wynikającego z niskich pobudek. Wyroki Sądu Karnego we Lwowie były surowe. Początkowo aż 11 oskarżonych zostało skazanych za zbrodnię „zdrady stanu” na karę śmierci. Byli to: Jan Kanty Andrusikiewicz, ks. Józef Leopold Kmietowicz, Aleksander Dobosz i Wojciech Lebiński, strażnicy skarbowi z Chochółowa, Jan Tomasz Blaszkowski zw. Berezinem, parobek z Chochółowa, Jacenty Kois zw. Józaszką, wójt z Chochółowa, Wojciech Kois, przysiężny i podwójci z Chochółowa, Wojciech Kurkowski zw. Kurasem, chłop z Dzianisza, Maciej Michniak zw. Maturą, pisarz gminny z Cichego, Jan Stercula zw. Przysiężnikiem, parobek z Dzianisza, Józef Siuty, pełnomocnik gminy Witów. Później wyrok ten został zamieniony na kary wieloletniego więzienia. Bardzo ostro zostali potraktowani również wojskowi, tzw. urlopnicy, którzy przystąpili do powstania. Wielu z nich zostało skazanych na pracę na szanćcach w kajdanach lub długoletnią służbę w odległych rejonach cesarstwa. W 1848 r. w wyniku rewolucyjnych wydarzeń Wiosny Ludów przywódcy powstania odsiadujący kary więzienia w Brnie na Spielbergu i w Kufsteinie w Tyrolu zostali uwolnieni i wrócili do Galicji.

Obywatelskie Rady Narodowe w Nowym Sączu, we Lwowie i w całej prowincji organizowały zbiórki pieniężne

i wszelką pomoc dla Chochółowa. Powstanie chochołowskie było bowiem wyjątkowe, a patriotyzm górali na tle galicyjskiej krwawej rabacji zajaśniał niezwykłym blaskiem. W moim głębokim przekonaniu to poruszenie chochołowskie było wyrazem miłości ojczyzny i wolności, tej „góralskiej ślebody”. Pamięć o powstaniu inspirowała kolejne góralskie pokolenia do działań patriotycznych. We wsiach objętych spiskiem powstańczym rodził się później podhalański ruch regionalny, a ich mieszkańcy wnieśli wielki wkład w sprawę narodową i służbę ojczyźnie przez następne dekady historii Polski. Powstanie chochołowskie to także początek mitu góralczyzny, który rozwinięli literaci i twórcy okresu Młodej Polski.

Piotr Bąk – działacz samorządowy i harcerski, starosta tatrzański, były burmistrz Zakopanego, geodeta. W latach 1989–1995 przewodniczący Zarządu Obwodu Tatrzańskiego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Jeden z organizatorów pielgrzymki Jana Pawła II na Podhalę i w Tatry w 1997 r. Od października 2015 r. członek Narodowej Rady Rozwoju powołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę.



REKLAMA

"Błogosławieni miłosierni"
Randa Ombach
środa, godz. 21.45

"Twoja generacja"
Mariusz Dorot
czwartek, godz. 20.00

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

Postpontyfikat Benedykta XVI, czyli papież i wilki

*Joseph Ratzinger jest już dłużej
papieżem emerytem niż urzędującym
papieżem, mimo że ustąpił z Tronu
Piotrowego z powodu braku sił
fizycznych i duchowych*



GRZEGORZ GÓRNY

11 lutego minęło dziewięć lat od dnia, w którym Benedykt XVI abdykował z urzędu papieża. Ogłaszając swą decyzję, powiedział wówczas: „Rozważywszy po wielokroć rzecz w sumieniu przed Bogiem, zyskałem pewność, że z powodu podeszłego wieku moje siły nie są już wystarczające, abym w sposób należyty sprawował posługę Piotrową. [...] aby sterować łodzią św. Piotra i głosić Ewangelię w dzisiejszym świecie, podlegającym szybkim przemianom i wzburzanym przez kwestie o wielkim znaczeniu dla życia wiary, niezbędna jest siła zarówno ciała, jak i ducha, która w ostatnich miesiącach osłabła we mnie na tyle, że muszę uznać moją niezdolność do dobrego wykonywania powierzonej mi posługi”.



Po takim oświadczeniu powszechne było przekonanie, że zdrowie Benedykta XVI znajdowało się w ścisie dramatycznym stanie, skoro zmusiło go do podjęcia decyzji niemającej precedensu w historii Kościoła od XIII w. W wielu redakcjach przygotowywano już pośmiertne wspomnienia o papieżu z Niemiec, spodziewając się w każdej chwili jego odejścia z tego świata. Jednak postpontyfikat Josepha Ratzingera trwa już dłużej niż jego pontyfikat. Benedykt XVI był biskupem Rzymu przez 7 lat, 10 miesięcy i 9 dni. Na emeryturze przebywa już natomiast ponad dziewięć lat. W zeszłym roku skończył 94 lata i jest najdłużej żyjącym papieżem w dziejach Kościoła. W związku z tym rodzi się pytanie, czy brak sił fizycznych i duchowych mógł być rzeczywistą przyczyną jego abdykacji.

„PANCERNY KARDYNAŁ”

„Módlcie się za mnie, żebym nie uciekł ze strachu przed wilkami”, te słowa padły 24 kwietnia 2005 r. z ust Benedykta XVI podczas uroczystej mszy św. inaugurującej jego pontyfikat. Nowo wybrany papież był już przyzwyczajony do medialnych ataków, których celem stawał się wielokrotnie jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Mianowany przez Jana Pawła II głównym strażnikiem katolickiej ortodoksji, powtarzał, że jego zadaniem jest obrona wiary prostych ludzi przed teologami, którzy chcą ją zniszczyć.

W czasach posoborowego zamętu dyscyplinował więc kapłanów głoszących herezje (Hans Küng, Eugen Drewermann), demaskował fałsz całych nurtów religijnych (teologia wyzwolenia, pluralistyczna teologia religii) czy też wskazywał, jak – wbrew obowiązującym trendom – rozwiązywać dylematy moralne i duszpasterskie w zgodzie z nauką Kościoła (np. instrukcje o homoseksualizmie czy związkach partnerskich). Szczególnie atakowany był w 2000 r. po opublikowaniu deklaracji chrystologicznej „Dominus Iesus” o jedyności i powszechności zbawczej Jezusa Chrystusa. Z powodu wierności doktrynie katolickiej, wbrew swemu łagodnemu charakterowi, doczekał się w mediach przydomka „pancerny kardynał”.

Rozpoczynając swój pontyfikat, nieprzypadkowo wezwał wiernych (zebranych nie tylko na placu św. Piotra, lecz także słuchających go na całym świecie) do modlitwy w obliczu stada wilków. Czy miał wówczas świadomość, jakie ataki spadną na niego w najbliższych latach?

NAGONKA NA PAPIEŻA

W 2010 r. dwaj włoscy dziennikarze, Paolo Rodari i Andrea Tornielli, opublikowali książkę „Atak na Ratzingera”. Pisali w niej, że Benedykt XVI stał się obiektem medialnej nagonki o niespotykanym dotąd zasięgu. We wstępie przytaczali następującą historię: „Pamiętam jeszcze, jak dziś, słowa, które słyszałem od włoskiego kardynała, podówczas niezmiernie wpływowego w Kurii, nazajutrz po elekcji Benedykta XVI. »Dwa-trzy lata, tylko tyle to potrwa...« Tym słowom towarzyszył pewien gest dłoni, jakby lekceważący”.

Właściwie cały pontyfikat Josepha Ratzingera upłynął pod znakiem medialnych napaści na niego. Był krytykowany m.in. za dokument „Summorum Pontificum” (przywracający do łask nadzwyczajną formę rytu rzymskiego), za zdjęcie ekskomuniki z czterech biskupów wyświęconych przez abp. Lefebvre’a, za mowę w Ratyźbonie poświęconą rozumności religii ze słynnym passusem o islamie itd. Obciążano go winą za wszystkie skandale pedofilskie wśród duchownych. Uniwersytet La Sapienza w Rzymie odmówił mu nawet wygłoszenia wykładu w swoich murach.

Najbardziej bolały go jednak ataki nie z zewnątrz, lecz z wnętrza samego Kościoła. Wielu duchownych, zamiast stać w takich momentach przy papieżu, dystansowało się od niego, a nawet otwarcie go krytykowało. W 2010 r. w drodze do Fatimy Benedykt XVI, odpowiadając na pytanie o skandale seksualne wśród duchownych, stwierdził, że „ataki na papieża i na Kościół nie pochodzą tylko z zewnątrz, ale cierpienia Kościoła pochodzą z jego wnętrza, z grzechu, który jest w Kościele. O tym też zawsze wiedzieliśmy, ale dziś widzimy to w sposób naprawdę zatrważający: największe prześladowania Kościoła nie są dziełem jego wrogów zewnętrznych, ale rodzą się z grzechu w Kościele”.

27 września 2011 r. na łamach „Libero” włoski watykanista Antonio Socci tak pisał o ówczesnej kondycji Benedykta XVI: „Jego »zmęczenie« – na ile zdołaliśmy się dowiedzieć – nie ma obecnie przyczyn fizycznych... Nie, »zmęczenie« wynika raczej z goryczy i cierpienia, jakie sprawiają mu ci, którzy jako pierwsi powinni iść za nim, słuchać go i pomagać mu. Ten rodzaj stresu u wrażliwego i dobrego człowieka, takiego jak papież Benedykt, jest gorszy od stresu fizycznego”.

OSACZONY PRZEZ WILKI

Szczególnie bolesna okazała się dla niego afera Vatileaks. Zakończyła się ona procesem, podczas którego na ławie oskarżonych zasiadł tylko jeden człowiek – papieski kamerdyner Paolo Gabriele, który miał wykradać poufne dokumenty i przekazywać je dziennikarzom. Rozprawa przed sądem wykazała jednak, że przeciw papieżowi związano pałacowy spisek, w który zamieszanych musiało być ok. 20 osób, ponieważ Gabriele nie miał dostępu do wszystkich wyniesionych dokumentów. Kamerdyner wziął jednak całą winę na siebie, nie demaskując nikogo, i jako jedyny został skazany.

W tej sytuacji Benedykt XVI nie mógł mieć zaufania do swego najbliższego otoczenia. Zapewne pamiętał ostatnie lata Jana Pawła II, gdy schorowany papież nie miał już sił, by panować nad sytuacją w Kościele i coraz częściej zdawał się na swych najbliższych współpracowników. To właśnie wówczas doszło do wydarzeń, które do dziś są używane do atakowania Karola Wojtyły, takich jak msza w bazylice św. Piotra w listopadzie 2004 r., kiedy Ojciec Święty udzielił osobistego błogosławieństwa Marcialowi Macielowi, jak się później okazało, dewiantowi i seksualnemu przestępcy.

Benedykt XVI miał uzasadnione powody się obawiać, że gdy sam stanie się tak zniedołężniały, iż nie będzie w stanie kontrolować sytuacji, znajdzie się na łasce swojego otoczenia. Skoro zaś współpracownicy Jana Pawła II, którym on tak bardzo ufał, wprowadzali go w błąd, to co mogliby zrobić współpracownicy Benedykta XVI, do których nie można było mieć zaufania? Zapewne Joseph Ratzinger nie chciałby się znaleźć w sytuacji, w której grzechy innych osób miałyby obciążać jego konto, nie tylko zniesławiając dobre imię, lecz także szkodząc Kościołowi.

Do wątku wilków Benedykt XVI powrócił miesiąc przed swą abdykacją, gdy 6 stycznia 2013 r. wyjaśniał, na czym polega obecnie posługa biskupa: „Szczególnie ważne jest dziś, aby biskup miał odwagę sprzeciwić się dominującym kierunkom. Musi być mężny. To męstwo nie polega na przemocy, na agresywności, lecz na dopuszczeniu ciosów i opieraniu się kryteriom dominujących poglądów. Od tych, których Pan posyła jak owce między wilki, wymagana jest oczywiście odwaga wytrwania w prawdzie”.

W OWCZYCH SKÓRACH

Tę „odwagę wytrwania w prawdzie” prezentował Benedykt XVI również jako papież emeryt, kilka razy zabierając głos w ważnych dla Kościoła sprawach. Tak było, gdy w 2019 r. opublikował obszerny tekst na temat źródeł skandali pedofilskich w kościele, pisząc m.in. o „homoseksualnych klikach” w niemieckich seminariach. Tak było, gdy w 2020 r. wspólnie z kard. Robertem Sarahem wydał książkę „Z głębi naszych serc”, w której przedstawił ponad 30 argumentów teologicznych, duszpasterskich i historycznych na rzecz utrzymania celibatu kapłańskiego. Z tego powodu naraził się na krytykę wielu wpływowych osób we współczesnym Kościele.

Ostatni atak nastąpił na początku tego roku po opublikowaniu raportu na temat nadużyć seksualnych popełnionych przez księży archidiecezji monachijskiej w latach 1945–2019. Dokument liczy 1,9 tys. stron i opowiada o przestępstwach 65 duchownych molestujących dzieci, przy-

czym tylko pięć z opisywanych przypadków dotyczy lat 1977–1982, gdy na czele archidiecezji stał kard. Ratzinger.

Ogłoszenie raportu stało się sygnałem do nagonki na papieża emeryta, którego oskarża się o tuszowanie afer pedofilskich w Kościele. Autorzy dokumentu zarzucili Benedyktowi XVI, że „nie zareagował odpowiednio na przestępstwa seksualne księży”, nie przedstawiając na potwierdzenie tej tezy żadnego dowodu, a jedynie uznając to za wysoce prawdopodobne. Jak zauważył w swym

komentarzu publicysta „Tagespost” Peter Winnemöller, tego typu raport, opierający się na „prawnej teorii prawdopodobieństwa”, nie miałby mocy dowodowej przed żadnym sądem, ponieważ nie można udowodnić czyjejs winy na podstawie „długiego prawdopodobieństwa”.

Do nagonki na Benedykta XVI przyłączyło się jednak ochoczo wielu biskupów niemieckich. Prym wśród nich wiodą przewodniczący tamtejszego episkopatu bp Georg Bätzing i jego zastępca bp Franz-Josef Bode. Ten pierwszy zażądał od Benedykta XVI publicznych przeprosin. Jego zdaniem papież emeryt powinien wyjść i powiedzieć:

„Jestem winny, popełniłem błędy, proszę pokrzywdzonych o wybaczenie”. W podobnym duchu wypowiedzieli się także inni biskupi niemieccy, tacy jak Franz-Josef Overbeck, Peter Kohlgraf, Heiner Koch, Felix Genn, Stefan Hesse czy Stephan Ackermann, który określił postępowanie Benedykta XVI jako „trudne do uwierzenia i do zniesienia”.

Wspomnianych hierarchów łączy jedno: dążą do destrukcji oficjalnej doktryny Kościoła, np. zmiany nauczania moralnego, m.in. w sprawie homoseksualizmu, błogosławienia par jedнопłciowych w świątyniach czy wyświęcania kobiet na księży. Największą przeszkodą dla ich rewolucyjnych planów jest opór i trwanie w wierze ortodoksyjnych katolików, dla których podstawowym punktem odniesienia jest wierność Magisterium, uosabiana w Niemczech przez Josepha Ratzingera. Zniszczenie jego autorytetu ułatwiłoby im przeprowadzenie zmian w Kościele. Wilki po raz kolejny osaczają więc Benedykta XVI.

Najbardziej bolały Benedykta XVI nie ataki z zewnątrz, lecz z wnętrza samego Kościoła. Wielu duchownych, zamiast stać w takich momentach przy papieżu, dystansowało się od niego, a nawet otwarcie go krytykowało

Luty nuży szarugami?
Ty masz **SIECI**
z e-bookami!

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl



E-PRENUMERATA

SIECI

+ 3 e-booki

w prezencie

K

ULTURY

*Błyszczą przed kamerą,
ale widzów ekscytuje
też chemia, która jest
między nimi.*

*Uciekając od fleszy,
próbują budować
rodzinne i przyjacielskie
związki. Czasem im się
to udaje – jak Penélope
Cruz i Javierowi
Bardemowi. Innym
razem spektakularnie
przegrywają – jak
„Brangelina”*

Do pary nie tylko na ekranie



Penélope Cruz
i Javier Bardem w filmie
„Wszyscy wiedzą”



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Co łączy Penélope Cruz i Javiera Bardema z Angeliną Jolie i Bradem Pittem, Emmą Stone i Ryanem Goslingiem, Jennifer Lawrence i Bradleyem Cooperem, a także z Nicole Kidman i Tomem Cruise'em? W świecie zaawansowanych technologii to „coś” wciąż może się pojawić tylko między ludźmi. Nieuchwytnie i poruszające, elektryzuje i przenika przez ekran. Jedni nazywają to chemią. Inni mówią o iskrzeniu, które czasami przynosi efekt również w postaci niezwykle pożądanej złotej statuetki.

MATKI SUKCESU

Cruz i Bardem to para dojrzała i świadoma – zarówno realiów show-biznesu, jak i życia. Aktorski duet, który czerpiąc z gorącego temperamentu, potrafi też podnieść ciśnienie widzom.

Na tegoroczną galę oscarową (94. rozdanie nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej odbędzie się 27 marca w Dolby Theatre w Los Angeles) wybiorą się nie tylko jako małżeństwo. Mają szanse na indywidualne aktorskie nagrody.

Cruz została nominowana za główną rolę w filmie, który wchodzi właśnie do polskich kin. To obraz Pedro Almodóvara „Matki równoległe” – hołd złożony sile kobiecości i meandrom macierzyństwa. Zrealizowany blisko ćwierć wieku od pierwszego spotkania reżysera z jego przyszłą żoną (Penélope wystąpiła w sumie w dziewięciu produkcjach Almodóvara, począwszy od „Drżącego ciała” z 1997 r.; dwa lata później powstał film, który stał się dla niej zawodową trampoliną).

W obrazie „Wszystko o mojej matce”, grana przez nią dziewczyna dzięki otaczającym ją kobietom przygotowuje się do nieplanowanego macierzyństwa.

W „Matkach równoległych” dojrzała życiowo bohaterka staje się przewodniczką dla ciężarnej nastolatki. Wciela ją się w obie postaci aktorka przeszła długą drogę, by znaleźć się w obecnym miejscu, powalczyć o czwartą nominację i, być może, drugą w karierze statuetkę Złotego Rycerza.

Jej rywalkami do Oscara są: Jessica Chastain („Oczy Tammy Faye”), Olivia Colman („Córka”), Kristen Stewart („Spencer”) oraz Nicole Kidman („Being the Ricardos”). W ostatniej z wymienionych produkcji – opowiadającej o kulisach powstawania kultowego amerykańskiego serialu z lat 50. ubiegłego wieku „I Love Lucy” – zagrał też Javier Bardem. Jego konkurentami do Oscara w kategorii „pierwszoplanowa rola męska” będą: Benedict Cumberbatch („Psie pazury”), Andrew Garfield („Tick, tick... Boom!”), Will Smith („King Richard. Zwycięska rodzina”) oraz Denzel Washington („Tragedia Makbeta”).

OSOBNO I RAZEM

Poznali się w 1992 r., grając w filmie „Szynka, szynka”. Debiutująca Penélope miała lat 19, Javier – 23. Potem spotkali się jeszcze przed kamerami dwukrotnie, by dopiero pod okiem Woody’ego Allena, w „Vicky, Cristina, Barcelona” (2008), na dobre między nimi zaiskrzyło. Po latach aktor żartował, że patrząc, jak Cruz rzuca talerzami na pla-

nie, miał wątpliwości, czy formalizować związek. Ostatecznie podjął wyzwanie. Pobrali się w 2010 r. Rok później urodził się ich syn Leonard, w 2013 r. córka Luna.

Nim jednak stworzyli rodzinę, kolorowe media równie chętnie jak o rolach rozpiswały się o kolejnych romansach pięknej Hiszpanki. Najgłośniejszy rozpoczął się w 2001 r., gdy pojawiła się



Emma Stone i Ryan Gosling
– kadr z filmu „La, La Land”



Brad Pitt i Angelina Jolie
– „Pan i pani Smith”

u boku Toma Cruise'a w produkcji „Vanilla Sky”.

Zdjęcia do tego filmu powstawały po niezwykle trudnym doświadczeniu – zarówno aktorskim, jak i małżeńskim – któremu przed kamerami „Oczu szeroko zamkniętych” zdecydowali się poddać Nicole Kidman i Tom Cruise, od filmu „Szybki jak błyskawica” (1991) ulubiona przez widzów świetnie zgrana para. Niestety nie udało im się udźwignąć wielomiesięcznej, ekshibicjonistycznej psychodramy zafundowanej przez Stanleya Kubricka. Romans z Cruz przypieczętował rozstanie.

ODZYSKIWANIE SIEBIE

Gdy Penélope i Javier trafili na plan filmu „Vicky, Cristina, Barcelona”, oboje byli już gwiazdami. Jako pierwsi Hiszpanie zdobyli też Oscary (Bardem w 2008 r. za rolę w „To nie jest kraj dla starych ludzi” braci Coenów; Cruz w 2009 r. za „Vicky, Cristina, Barcelona”).

Podczas zdjęć do musicalu „Nine” (2009) doszło do spotkania Penélope i Nicole Kidman. Ponoć między aktorkami nawiązała się autentyczna więź, poprzedzona przeprosinami Cruz. Panie miały dojść do wniosku, że ucięcie toksycznego związku z Tomem – w pełni oddanym jedynie własnej karierze i scjentologii – dla obu było najlepszym rozwiązaniem. Rozwięły się potem zawodowo. Założyły też rodziny. Mimo różnych zawirowań Penélope Cruz i Javier Bardem są razem. Na różnych etapach kariery dziewięciokrotnie spotkali się na planie. W filmach „Kochając Pabla, nienawidząc Escobara” (2017) oraz „Wszyscy wiedzą” (2018) przypomnieli, co znaczy chemia między ekranowymi postaciami.

Dziś, mieszkając głównie w Hiszpanii i chroniąc rodzinę przed medialnym szumem, tworzą jedno z najbardziej udanych aktorskich małżeństw.

SIŁA PRZEKAZU

Nie udało się przetrwać najbardziej gorącemu duetowi – za sprawą intensywności relacji od zbitki imion zwanemu Bran-

geliną – który narodził się wśród eksplozji filmu „Pan i pani Smith” (2005). Przez kilkanaście lat Angelina Jolie i Brad Pitt tworzyli niezwykle związek i rodzinę. Doczekali się szóstki dzieci (trójki biologicznych i trójki adoptowanych) i choć nie są już razem, pozostają niedoścignionym przykładem siły relacji oraz medialnej wyjątkowości.

Chemii, która łączyła bohaterów filmów „Kocha, lubi, szanuje” (2011), „Gangster Squad” (2013), a także oscarowego „La, La Land”, nie sposób nie zauważyć. W duecie Stone–Gosling była moc, która dla Emmy przełożyła się na Oscara 2017. Może to przypadek, ale bez ekranowego wsparcia Ryana Goslinga, choć ze znakomitą tytułową rolą, Stone nie powalczy w tym roku o statuetkę Amerykańskiej Akademii Filmowej („Cruella” dostała jedynie nominacje za kostiumy i charakteryzację). Aktorce pozostaje kibicowanie m.in. Andrew Garfieldowi, z którym byli parą w czasie realizacji filmów „Niesamowity Spider-Man” 1 i 2 (2013, 2014).

NA FORUM I PRYWATNIE

Goslinga i Stone – jak zapewniają oboje – prywatnie łączy jedynie świetne porozumienie. O przyjaźni, która trwa od czasu „Titanica”, mówią zgodnie Kate Winslet i Leonardo DiCaprio. Ten ostatni stworzył znakomity, choć nieromansowy duet na planie walczącego o Oscara filmu „Nie patrz w górę”.

Partnerowała mu w nim Jennifer Lawrence, którą od roli w „Poradniku pozytywnego myślenia” (2012, Oscar dla



aktorki), media kojarzyły z Bradleyem Cooperem. Ekranową chemię wykorzystali też producenci filmów: „American Hustle” (2013), „Serena” (2014) i „Joy” (2015). Jednocześnie oboje aktorzy zapewniali, że poza ekranem czują do siebie tylko sympatię.

Gdy w 2018 r. powstały „Narodziny gwiazdy”, portale zaczęły szukać potwierdzenia nowego romansu – Bradleya z Lady Gagą. Tymczasem poza fleszami i promocyjnymi strategiami Cooper (główna gwiazda nominowanego do Oscara 2022 „Zaułka koszmarów”) trwał przy... córeczce, która urodziła się ze związku z Iriną Shayk. Aktor i modelka, choć nie są już razem, utrzymują dobre relacje.

Również Ryan Gosling – unikając wścibskich mediów – ułożył sobie życie rodzinne. Z aktorką Evą Mendes mają dwie córeczki: siedmioletnią Esmeraldę i pięcioletnią Amadę. Podobno dziewczynki nie wiedzą, czym zajmują się rodzice. Jak stwierdziła Mendes: „Dla nich jesteśmy tylko mamą i tatą. Chcemy, żeby zostało tak jak najdłużej.”



Netflix: Pochwała kunktatora

Na Netflixie film historyczny „Monachium: w obliczu wojny”. Sprawdzian, jak sobie tu radzą z takim kinem. W końcu reżyser Christian Schwochow nakręcił wcześniej kilka odcinków serialu „The Crown” – a on na ogół mnie przekonywał troską o detale i rozmachem wizji.

Tu mamy obraz kilku dni z września 1938 r., kiedy Anglicy i Francuzi ugięli się przed dyktatem Adolfa Hitlera i zgodzili się, bez udziału przedstawicieli Czechosłowacji, na przekazanie Sudezów Niemcom. Konferencja w Monachium została potem uznana za haniebną, zwłaszcza że kilka miesięcy później Hitler złamał obietnicę i zaatakował Czechy. No, a na końcu była wojna, której brytyjski premier Neville Chamberlain chciał rozpaczliwie uniknąć.

Autorzy filmu spletlili obraz konferencji z fikcją, na poły sensacyjną opowieścią z książki Roberta Harrisa. Niemiecka opozycja chce przekazać Chamberlainowi dokument świadczący o tym, że Hitler będzie szukał przestrzeni życiowej w całej Europie. Tekst jest wzorowany na autentycznym tzw. protokole Hossbacha, on jednak wypłynął dopiero podczas wojny. Pośrednikami w przekazywaniu są dwaj dawni przyjaciele z Oksfordu: Niemiec Paul von Hartmann, rozczarowany Hitlerem, oraz Brytyjczyk Hugh Legat, sekretarz Chamberlaina. Trzeba przyznać, że ich relacje są zarysowane ładnie. I ładnie zagrane przez Jannisa Niewöhnera oraz George’a McKaya (ten ostatni znany z wielkiego „1917”).

Także tło odwzorowane jest raczej starannie, nawet jeśli z językowymi wpadkami (prezentyzny!). Za to Hitler, grany przez Ulricha Matthesa (pamiętny Goebbels z niemieckiego filmu „Upadek”), jest niestety i mało podobny, i zbyt mało magnetyczny, jak na to wszystko, co wiemy o wpływie tej postaci na własne społeczeństwo.

Ktoś, ktoś się oburzy, że idealizuje się młodego Niemca, gotowego nawet zabić Hitlera, powinien pamiętać, że jest w tym trochę prawdy. Owszem niemiecka konserwatywna opozycja była wątpliwa i niepewna, ale wtedy szykowało się do odebrania Hitlerowi władzy jako wojennemu awanturnikowi. Ugoda w Monachium to zatrzymała.

Także początkowych argumentów Chamberlaina, przedstawionego świetnie przez Jeremy’ego Ironsa, bym nie lekceważył. Anglicy i Francuzi naprawdę byli wciąż paraliżowani poczuciem gigantycznych strat z czasów pierwszej wojny. Oczywiście kontrargumentem jest hipoteza, że powstrzymanie Hitlera w porę uratowałoby miliony. Ale warto przynajmniej znać te nastroje demokratycznego Zachodu.

Niestety potem jest gorzej. Uwaga spojleruję, ale to się już przebiło. Na koniec Chamberlain, początkowo zachowujący się z małostkową asekuracyjnością, okazuje się wizjonerem. Ugoda w Monachium to i czas dany Brytyjczykom, aby się lepiej przygotowali do wojny, i pułapka zastawiona na Hitlera. Fakty tego nie potwierdzają. Chamberlain, inaczej niż premier Francji Daladier, długo wierzył, że ratuje pokój. Jednak scenarzyści jakby porzucają początkowo hipotezę, że trzeba było twardo, bo wtedy niemiecka opozycja rozprawiłaby się z Hitlerem. To są rzeczy nie do udowodnienia. Ale czy trzeba nieprawdliwie idealizować pompatycznego Chamberlaina?



Co jest zdradliwe dzisiaj, kiedy Zachód staje przed pytaniem, jak powstrzymać Putina. Oby niemiecki kanclerz Scholz czy prezydent Macron nie znaleźli w filmowym Chamberlainie dodatkowych usprawiedliwień. Kunktatorstwo rzadko skrywa przemyślaną strategię. Otwarte pozostaje pytanie, na ile Brytyjczycy Anno Domini 1938 mieli obowiązek powstrzymać Hitlera. Oferował im trwale miejsce w swoim świecie.

Dlatego ja nie demonizuję Londynu przyznającego, po zagarnięciu przez Hitlera Czech, gwarancje bezpieczeństwa Polsce. Ale to temat na inny tekst.

Piotr Zaremba



Zbigniew Namysłowski

- mag jazzowych klimatów

Odchodzą wielkie postaci naszego jazzu.

W ub.r. straciliśmy m.in. Wojciecha Karolaka i Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza, teraz żegnamy Zbigniewa Namysłowskiego, zmarłego 7 lutego br. w wieku 82 lat.

Był jednym z najoryginalniejszych, nie tylko w polskiej skali, saksofonistów, kompozytorów, liderów muzyki synkopowanej

Urodził się pod bombami 9 września 1939 r. Kazimierz i Maria Namysłowscy wyruszyli z Warszawy do Wilna. W pociągu ostrzelanym przez Niemców koło Mińska Mazowieckiego Maria poczuła bóle porodowe, przyszły artysta pojawił się na świecie w opuszczonej wiejskiej chacie. W powiększonym już składzie dotarli do Wilna, gdzie jednak losy rodziny potoczyły się tragicznie. W 1944 r. ojciec trafił na gestapo i stamtąd nie wrócił, matka zmarła w obozie w Stutthofie. Osieroconym Zbyszek zajął się babcia Julia Żeromska. Z nią właśnie repatriował się w 1945 r. do Warszawy, by wkrótce na kilka lat osiąść w Krakowie. Za sugestią słynnego pianisty Stanisława Szpinalskiego, który odkrył idealny słuch Zbyszka, wyładował w szkole muzycznej. Tej samej, do której uczęszczali nieco starsi Andrzej Dąbrowski, Roman Dyląg czy Wojciech Karolak. Wszyscy pasjonowali się jazzem, poznawaniem ze słynnych audycji Willisza Conovera w Głosie Ameryki.

Do średniej szkoły muzycznej chodził już w Warszawie. Uczył się w klasie fortepianu, potem wiolonczeli, grał na puzonie. Właśnie jako puzonista i wiolonczelista zaistniał w kręgach jazzowych. Zaczynał od dixielandu, ale odkrył też uroki jazzu nowoczesnego: Coltrane’a, Peppera, Desmonda. Tu już potrzeba było nowego instrumentu. Podróżując z Melomanami, pożyczył od Krzysztofa Komedy saksofon altowy i ćwiczył na nim zapamiętane. Alt właśnie stanie się jego koronnym instrumentem, choć wirtuozowsko grał także na sopranie. Brzmienie Zbyszka jest natychmiast rozpoznawalne.

Błyskawicznie wsiąkł w krwioobieg polskiego jazzu na przełomie lat 50. i 60. Wziął udział w wyprawie Polish All Stars do Danii, z The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego w 1962 r. odbył trasę po Stanach Zjednoczonych, koncertując, spotykając i słuchając na żywo legendarnych muzyków. Był rozchwytywany, występował i nagrywał z najlepszymi.

Słuchać go na najsłynniejszej polskiej płycie jazzowej „Astigmatic” Komedy. Ale do historii przeszedł swymi własnymi kompozycjami, zespołami, płytami.

Zasłynął zwłaszcza z twórczego sięgania w jazzie po inspiracje rodzimym folklorem. Zaświadczały to takie znakomite płyty jak „Winobranie”, „Kujaviak Goes Funky” czy „Zbigniew Namysłowski & Zakopane Highlanders Band”. Jako pierwszy z polskich jazzmanów wydał na Zachodzie płytę. Album jego kwartetu „Lola” wypuściła w 1964 r. londyńska Decca, firma wydająca Rolling Stonesów. W jego zespołach zabłysnęła plejada młodych polskich muzyków z Adamem Makowiczem, Michałem Urbaniakiem, Sławomirem Kulpowiczem, Tomaszem Szukalskim, Leszkiem Możdżerem, Sławomirem Jaskulkem na czele.

Potencjał Namysłowskiego ujawnił się we współdziałaniu z grupami Novi Singers czy Maanam. Piosenkę „Sprzedaj mnie wiatrowi” z jego muzyką lansował zespół Bemibek, a także m.in. Czesław Niemen. Z tym ostatnim współpracował Zbyszek także przy płycie „Bema pamięci żałobny rapsod”. Jego piosenka „Tak mało chcę” (ze słowami Marii Czubaszek) na festiwalu opolskim w 1980 r. zdobyła nagrodę główną. Wykonawczynią była Ewa Bem.

– Wielokrotnie współpracowałam ze Zbyszekiem i mogę powiedzieć, że był to artysta wielkiego talentu, stawiający wysokie wymagania partnerom, ale też umiejący ich docenić – zwierzyła się nam teraz Ewa Bem. – Budził podziw, respekt i zaufanie. Zostawił nam swoją muzykę – dodaje wokalistka.

„Nie ma Zbyszka Namysłowskiego. To spadło jak grom z jasnego nieba. A dopiero co planowano, byśmy zagrali obok siebie na Zadymce” – napisał w mediach społecznościowych Jan Ptaszyn Wróblewski.

Jeszcze brzmi jego saksofon.

Adam Ciesielski

Ultima Thule

Każdy mężczyzna wie, że jeśli zrozumie sposób myślenia kobiety, to otworzy się przed nim droga do jej życia, łóżka i najlepiej chronionych fantazji. Poznasz technikę, która pozwoli Ci ominąć system obronny każdej kobiety. Będziemy kontynuować niwelowanie jej oporu względem Ciebie” – zaleca się do swych potencjalnych klientów jeden z polskich okultystów. Jego „neurolingwistyczne uwodzenie kobiet” reklamował namiętnie Onet.

I właściciele tego największego polskiego portalu, i autor kursu „NLS”, zrobili wspólnie krzywdę wielu gimnazjalistom i pryszczatym onanistom po czterdzieście. Sorry, to opis, nie pejoratyw.

Manipulacja, której uczył pan B., była po części kalecząca, po części naiwna. Czasami jednak naiwność jest skuteczniejsza.

Dziś wiara w bzdury i namaszczone celebrowanie głupoty część ludzi nudzi. Większość te głupoty łyka bezwolnie. Wszędzie w mediach pełno celebrytów opierających najważniejsze życiowe wybory na wierze w gwiazdy i horoskopy, polityków chodzących do wróżek czy profesorów na kursach „neurolingwistycznego uwodzenia kobiet”.

Mniejszość się śmieje, czytając o księciu Karolu wierzącym, że leczyć mogą nieistniejące czy biologicznie nieaktywne substancje, o japońskich dyplomatach zastanawiających się, „co tkwi w grupie krwi”, czy o celebrytach wierzących, że na ich los i bezpieczeństwo ma wpływ noszony na przegubie czerwony sznurek. Mowa tu o osobach tak znanych, jak Angelina Jolie, Ariana Grande, Miley Cyrus, Leonardo DiCaprio czy David i Victoria Beckhamowie, których wartość marketingowa mierzona jest w dziesiątkach milionów dolarów, co oznacza zdolność globalnego wpływania na światopogląd mas.

Bioenergoterapia, radiestezja, amulety, biorezonans, uwodzenie jakiej



ROBERT TEKIELI

chcesz kobiety, reinkarnacja, karma, hipnoza, hokus-pokus, wiara w UFO, w moc feng shui – wszystko to warte jest setki miliardów dolarów. Od kilku lat wartość rynku medycyny alternatywnej w USA jest większa od rynku medycyny naukowej. Menedżerowie największych korporacji na świecie płacą tysiące euro wioskowym oszustom. Dla kariery składają w krwawej ofercie dzieci ulicy w Kongu czy Beninie. Szczęśliwi jedynacy. Będą mieli sukces w miłości i w pracy.

I intelektualści, i celebryci, i szarzy ludzie pozbawieni podstawowej formacji duchowej powrócili do intelektualnych błędów odrzuconych bądź w pierwszych wiekach chrześcijaństwa (gnostycyzm), bądź we wczesnym średniowieczu (nekromancja, spirytyzm, hermetyzm, okultyzm, witchcraft), rozkwit ezoteryki zachodniej rozpoczyna się bowiem z renesansem pogaństwa zwanym dumnie odrodzeniem.

Wtedy nastąpiło ponowne odkrycie tego wszystkiego, co w antyku było śmieciem. W ciągu pięciu wieków po Chrystusie przyswoiliśmy ze starożytnego depozytu wszystko, co było z prawdy,

dobra i piękna. Żydowski monoteizm etyczny, greckie bezinteresowne poszukiwanie prawdy i katarktyczne piękno wielkiego antycznego teatru oraz to, co dał cywilizowanemu światu Rzym.

Arystoteles, Sokrates i Platon. Święty Augustyn, święty Tomasz i święta Wielka Teresa, Wielka Brygida i Mała Tereska. Z przypisów do dzieł piszącego katastrofalnie drewnianym stylem Ignacego Loyoli można wyczytać więcej wlanej prawdy o naturze człowieka niż z wszystkich dostępnych na całym świecie książek psychologicznych. Psychiatria i psychologia przy Ignacym wydają się dominacyjnym żartem starego i nieuporządkowanego wewnętrznie aż do śmierci Sigmunda F. z czeskiego prowincjonalnego Priboru. Nie wspominając o biednym zdemonizowanym Carlu Gustawie J.

Dziś widać jak na dłoni, że europejska elita zawiodła, że dziś europejski liberalno-lewicowy establishment, intelektualści i politycy, nie mają już nic sensownego do powiedzenia, że zostali zwiedzeni, odstawieni do kąta. Przesady lewicowych i liberalnych elit niszczą wiarygodność władających duszą Europy od pięciu wieków z okładem. Wiara w bzdurne przesady wyzbytych wiary rządców zachodniego świata ośmiesza ich i delegitymizuje.

Bez wymiany elit nasza cywilizacja staje się własną karykaturą. Po klęskach wieku ideologii czas przypomnieć sobie, że wiara nie klóci się z rozumem. Człowiek Zachodu nie może nie być dziś do bólu racjonalny.

„Elita” adoruje paranaukowe bzdury i irracjonalne ideologie. Wierzy w mitologię postępu, w męczyznę z macicą, w zawinione przez człowieka globalne ocieplenie.

A ja z uwagą nacinam trupa, zaciągając delikatnie zęby na wysuniętym koniuszku języka, chcę bowiem wy-preparować z martwego ciała Europy kręgosłup antykultury.

Warte

Dwa tygodnie temu swoją polską premierę miała książka Roberta Silverberga „*Umierając, żyjemy*”. Jej ukazanie się w 1972 r. było wydarzeniem na rynku amerykańskim, a autor opuścił dzięki niej getto science fiction i fantasy.

Bohater powieści David Selig dysponuje od dzieciństwa zdolnościami telepatycznymi. I to właściwie tyle, jeśli chodzi o utarte tropy twórczości science fiction. Pozbawioną branzowego sztafetu opowieść czyta się świetnie. Doskonale nakreślony jest wewnętrzny kosmos ludzi mentalnie penetrowanych przez Seliga. Aż po fascynację, ekscytację, jakiej czasami doświadcza bohater. Co więcej, nic nie jest tu do końca oczywiste, no i bohater z wiekiem powoli traci swe nadzwyczajne zdolności. Ot, kryzys wieku średniego do kwadratu. Seligowi w ogóle daleko do bycia superbohaterem. Silverberg proponuje nam wręcz studium normalności nadnaturalnego. Odrobinę jak u Kinga, choć oczywiście zupełnie inaczej. Ciekawie poprowadzone są również motywy władzy i nienawiści. Czy można przestać nienawidzić, gdy rodzony brat rozszyfrowuje w czasie rzeczywistym twoje tajemnice, te najtajniejsze z tajnych? Jak można trwać w intymnym związku z kimś, kto chce znać i zna więcej, niż chciałbyś pokazać? Intymność zakłada przecież istnienie granic, nie jest ona przecież uległą powolnością.

86-letni dziś Silverberg to klasyk amerykańskiej s.f. Zadziwia niezwykłą płodnością – używał przynajmniej 28 pseudonimów. Wielokrotnie honorowano go najważniejszymi dla twórców s.f. i fantasy nagrodami Hugo i Nebula. „*Umierając, żyjemy*” jest oczywiście tylko literaturą rozrywkową, choć może i odrobinę czymś więcej.



Rzecz toczy się w skrajnie zestandaryzowanym świecie popkultury. Jest on pełen, a jakże, skorumpowanych policjantów, podejrzanych biznesmenów oraz wyrachowanych polityków. Mamy też oczywiście postać zwykłego człowieka, siwowłosego czarnoskórego fryzjera, który jak chór w greckiej tragedii wypowiada życiowe prawdy nie do zakwestionowania.

Wszystko to, co w serialu z childowego pierwowzoru służy opowieści. Co prawda nie pamiętam, by oryginalny Reacher był kierującym się prostymi instynktami matolem, który ryzykuje, iż nie pomści zamordowanego brata, bo musi po raz 15. wymierzyć sprawiedliwość w kompletnie nieistotnej sprawie. Ale może się myłę.

Plusy serialu? Świetna choreografia walk, niezła muzyka, nawet przeniesienie akcji w czasy współczesne nie jest dla mnie bolesne. Widzimy też zupełnie przyzwoite aktorstwo. A przedstawiony świat jest normalny: policjantka chce



Może być

Podobnie jak Clarkson lubię Lee Childa. Polubiłem też Reachera, bohatera jego książek. Z ciekawością więc zajrzałem na Amazon Prime Video, gdzie 4 lutego miała miejsce premiera pierwszego sezonu serialu „*Reacher*”, opartego na bestsellerowej powieści Childa „*Pozioły śmierci*”. Główną rolę zagrał Alan Ritchson, znany z serialu o superbohaterach „*Titans*”.

„*Reacher*” okazał się jednym z pięciu najpopularniejszych seriali na APV, więc bardzo zadowoleni właściciele platformy już trzy dni po premierze ogłosili, że powstanie drugi sezon serialu. Jest jeszcze 26 książek z tym bohaterem, więc przed nami być może długa podróż. Tyle że nie wiem, czy się w nią wybiorę. Oczywiście rzucę okiem na pierwszy odcinek drugiego sezonu, ale boję się, że na tym się zakończy. Choć niby wszystko jest tu OK: przeinteligentna góra mięśni, były major amerykańskiej żandarmerii wojskowej trafia do liczącej 1,7 tys. mieszkańców amerykańskiej miściny i w mgnieniu oka zostaje aresztowany za morderstwo, którego oczywiście nie popełnił. Potem doświadcza osobistej tragedii i, by się zemścić, rozpracowuje międzynarodowy spisek, co oznacza, że z kwadransa na kwadrans góra trupów rośnie, jak u ojca Mateusza w Sandomierzu.

uchodzić za niezależną silną kobietę, bohater ratuje dręczzonego psiaka, a przed oczy nie wypycha się nam jakichś ideologicznych nudziarstw. Czy serial świetnie różni się jednak od przyzwoitych? Choćby tym, że główny bohater nigdy nas nie nudzi. Na przykład dzięki temu, że niesie ze sobą jakąś nieokreśloną tajemnicę, jak Cillian Murphy z „*Peaky Blinders*”, czy choćby jej iskrę, jak Charlie Hunnam z „*Synów anarchii*”.

Tak jak karzełkowaty Tom Cruise nie był dobrym wyborem w dwóch filmowych ekranizacjach przygód Reachera, tak samo nie jest nim niestety 188-centymetrowy Alan Ritchson, już tylko 7 cm niższy od powieściowego oryginału.

Więc jedynie: może być. A szkoda, bo po pierwszym odcinku miałem nadzieję, że będę mógł na zakończenie tej notki napisać: siedzę sobie, oglądam fajny serial i już wiecie, dlaczego lubię tę robotę.

Ale z drugiej strony nie ma co wybrzydzać, gdzieś źli ludzie muszą dostać to, na co zasłużyli.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Raport z obumierania, raport z odrodzenia

*Ta książka otwiera nas
na poważniejszą niż dotąd rozmowę
o drogach Kościoła w XXI w.*

Wydawałoby się, że żadna z poniższych prawd nie jest kwestionowana: ani ta o skokowym spadku powołań i liczby wiernych (im młodsze roczniki, tym mniej *dominantes*). Ani ta o dramatycznych skandalach – seksualnych, przemocowych, finansowych – związanych z nadużywaniem władzy, a co gorsza – o nieumiejętności radzenia sobie z tymi skandalami przez hierarchię. Ani ta – bliższa już refleksji intelektualnej niż reporterskiej – o zmianie sposobu postrzegania i rozumienia świata. Teologia łacińska, budowana przez św. Tomasza na Arystotelesie, wymaga przemyslenia (co nie znaczy, że kwestionowania!) w świetle wielu odkryć nauki – od neurologii do fizyki.

Szerokie, jeśli nawet jeszcze nie powszechne, jest doświadczenie, któremu dał zakorzenioną już w polszczyźnie nazwę Marcin Kędzierski, pisząc o „końcu katolickiego imaginarium”; nie przesłania go kolejne pomniczki wznoszone na przykościelnych dziedzińcach. Ale też szerokie, przynajmniej wśród osób bliższych Kościołowi, jest doświadczenie radykalnej niechęci, więcej, nienawiści wobec Kościoła. Może ona wyrastać na różnym podglebiu: niezakorzenienia w Kościele, świętego (lub nieświętego) oburzenia na skandale, banalnej ojkofobii, motywacji czysto politycznych – jest jednak faktem doświadczanym w Polsce na co dzień. Wiedząc o tragicznych doświadczeniach chrześcijan w innych krajach, nie uchodzi nazywać tej sytuacji „prześladowaniami” – ale na pewno jest ona dla wiernych w Polsce doznaniem

szokującym, odzierającym z poczucia pewności.

Takie doświadczenie odarcia i wyśmiewania służy przyjmowaniu postaw obronnych – i umacnia jeszcze jeden wymiar kryzysu Kościoła: głębokie podziały w jego obrębie. Nie chodzi już o odmienność opinii czy temperamentów, kierowanie sympatii ku różnym teologom czy hierarchom. Te podziały noszą charakter nieledwie rozłamu, a na pewno rozszczępienia. Wiadomo, jaka powinna paść odpowiedź na pytanie, co (a ściślej – Kto) – łączy środowiska czytelników, powiedzmy, „Polonii Christiany” oraz „Magazynu Kontakt”, deklarującego się jako „pismo lewicy katolickiej”. Czy jednak rzeczywiście udałoby się znaleźć jakikolwiek wspólny obszar wierności tak radykalnie odmiennych środowisk?

Taka sytuacja podziałów może utrudnić odbiór najnowszej książki Tomasza Terlikowskiego – jednego z najlepiej rozpoznawalnych polskich „public intellectuals” kojarzonych z Kościołem i deklarujących mu wierność, a zarazem wybierającego często osobną drogę. Dla lewicowo-liberalnego skrzydła polskiej opinii publicznej przez lata Terlikowski był synonimem zaściankowego tradycjonalizmu, wyzywanie go od talibów było chlebem powszednim największych dzienników. Gotów był się narażać, podejmując jako jeden z pierwszych kwestie współpracy duchownych z SB czy funkcjonowania „lawendowej mafii”. Jego zaangażowanie ostatnich dwóch lat (by wymienić tylko powołanie go przez prowincjała dominikanów na przewodniczącego komisji badającej przestępstwa



Tomasz P. Terlikowski, „Koniec Kościoła, jaki znacie”, Nowa Konfederacja, 2022

jednego z duchownych, czy – o zgrozo! – prowadzenie audycji w rozgłośni RMF FM) ściągnęło nań z kolei niechęć sporej części prawicowej opinii publicznej.

Jest to odmiana starego jak świat sporu o to, czy zagrożonemu atakami podmiotowi potrzebną jest reforma i naprawa, czy – w sytuacji ataku – konieczne jest „zwarcie szeregów”. Sytuacji może nie ułatwiać temperament Tomasza Terlikowskiego, nieraz zapalczywego, chętnego do wypowiedzi (jak przystało na „public intellectual”) w wielu kwestiach. „Istąd to, że przechodził partyi tak wiele,

Nazywany był dawniej Kurkiem na kościele” – mogliby cedzić jego krytycy.

Odpowiedziałbym im cytatem z tej samej księgi: „Może bystry polityk ducha czasu zbadywał, / I tam szedł, gdzie Ojczyzny dobro upatrywał? / Kto wie! To pewna, że go nigdy nie uwiodły / Ani chęć osobistej chwały, ni zysk podły”, podstawiając co najwyżej „publicystę” za „polityka”, a „Kościół” za „Ojczyznę”.

A jego najnowsza książka umacnia mnie w tym zaufaniu: ten wielowymiarowy „raport otwarcia”, próba diagnozy sytuacji, gdy, jak pisze Terlikowski, „Po wiekach złotych, po wielkich reformach, wkraczamy w wieki ciemne nowego barbarzyństwa; przejść przez nie będzie musiało także chrześcijaństwo, które nie

tylko stanie się mniejszą wspólnotą, ale także wspólnotą pozbawioną niemałej części intelektualnego i duchowego (o politycznym nie wspominając) splendoru” zbudowany jest na wierności. Bez podobnego raportu, bez próby bilansu – jeszcze trudniej będzie ludziom Kościoła szukać dalszej drogi. 

Trzy damy i młodzian

Jeśli ktoś naprawdę zasługuje w dzisiejszych czasach na wyjście z cienia, to tłumacze – i z radością patrzę na to, jak rośnie świadomość ich zasług, jak kolejne wydawnictwa decydują się na umieszczanie nazwiska autora przekładu na stronie tytułowej, jak działa Stowarzyszenie Tłumaczy Literatury. Sztuka przekładu zasługuje na podziw, jej mistrzowie zbyt długo pozostawali niewidzialni. Jest to szczególnie krzywdzące, kiedy mamy do czynienia nie z tłumaczeniem pojedynczej książki, lecz z otwieraniem kultury polskiej na całe nowe obszary twórczości, na wpuszczenie pokoleń czytelników do światów Camusa, Chateaubrianda, Jane Austen czy Tolkiena; a tego właśnie dokonały Joanna Guze, Anna Przedpelska-Trzeciakowska, Maria Skibniewska. Te nazwiska wielu znajome są na podobnej zasadzie co dawna legitymacja BUW czy obwoluta popularnej serii: ot, luźne skojarzenie, jakieś drobne litery w tle. Te życiorysy musiały być opowiedziane.

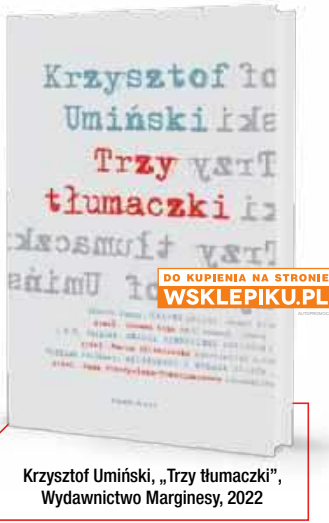
Tym bardziej że udziałem tych trzech dam były zmagania nie tylko z materią słowa: żyły i pracowały w PRL, wyszły, wszystkie trzy, z koszmaru wojny. Znaleźć w sobie, po doświadczeniu powstańczych szpitali, Zagłady lub wywózki za Ural, ład pozwalający pasować sylaby (a może właśnie w tych sylabach go szukać) to przecież dopiero początek historii tego pokolenia, wchodzącego w dorosłość w czasach Sokorskiego i Różańskiego. Szukanie nisz w czasach stalinowskich, fascynacja odwilżą, dręczące gry z cenzurą (czasem zaś granie jej na nosie), dworskie intrygi w redakcjach Czytelnika i PIW – to wszystko światy, które znamy, w oświeczeniach tak różnych jak książki Szczęsnej i Siedleckiej, teraz jednak mamy możliwość obejrzeć je od jeszcze innej strony. Tym bardziej że nie jest to tylko wiązka (dość nieprzystryżona) biografów i anegdot z Czerwcem i Marcem w tle. W życiu tłumacza, jak każdego pisarza, bezustannie daje o sobie znać napięcie między życiem wokół – „realnym”, kipiącym, trudnym – a jego prywatnym wysiłkiem, namysłem i dążeniem. „Wojna – i, wyobraźcie sobie, greckie wiersze!”. To czyni opowieść o pani Joannie, pani Annie i pani Marii fascynującą.

Byłaby ona, być może, jeszcze bliższa doskonałości, gdyby nie ego jej autora. Krzysztof Umiński najwyraźniej nie dał się okiełznać redaktorom,

mimo że „Trzy tłumaczki” to jego debiut książkowy. Mniejsza już o żar godny stażystki w Agorze, z jakim – przy okazji pisania o mistrzyniach przekładu sprzed pół wieku – potrafi zgromić „antymigrancką politykę polskiej prawicy”. Znacznie bardziej bawi, z czasem zaś nuży entuzjazm, z jakim streszcza on „Upadek” Camusa lub informuje nas o tym, że Borejsza założył Czytelnika, a Fadiejew podczas Kongresu Intelktualistów w 1948 zwyzywał Eliota – najwyraźniej w przekonaniu, że oto dzieli się z wdzięczną publicznością fascynującymi odkryciami.

Liczba faktów elementarnych, a przez to banalnych (przynajmniej dla każdego, kto trochę ciekaw jest dziejów literatury polskiej w XX w.), z których można by w „Trzech tłumaczkach” zrezygnować, dorównuje jedynie liczbie szczegółów z własnego życia, którymi zechciał się podzielić z nami autor. Dowiadujemy się nie tylko tego, że trenuje on tajski boks (być może chodzi o to, by wzbudzić respekt recenzentów?) i że chwalono go za przekład francuskich komiksów. Od pięćdziesiątej bodaj strony wspomnienia Krzysztofa z podstawówki, informacje o jego ulubionych przekąskach, notatkach i zachwytach z rosnącą natarciwością wypychają się między listy Joanny Guze, opowieść o latach studiów Anny Przedpelskiej, wspomnienia siostrzeńców o Marii Skibniewskiej.

Doznanie dysonansu podobne jest temu, jakiego doświadcza zapewne meloman słyszący w tle „Wariacji Goldbergowskich” radiowe reklamy, dobiegające zza niedomkniętych drzwi filharmonijnego schowka na szczołki. Biorąc pod uwagę, że omawiana książka traktuje o literaturze i przekładzie, można by ten wdzierający się w opowieść o dawnych czasach egotyczny monolog przyrównać do narracji Kinbote’a, przesłaniającej i pochłaniającej poemat Johna Shade’a w „Bładym ogniu”, najdoskonalszej powieści Nabokova; nie jestem jednak pewien, czy polskiemu autorowi marzyła się tego rodzaju „konstrukcyjna aluzja”. Patrząc, nawet podbitym okiem, na (świetną zresztą) okładkę, można raczej odnieść wrażenie, że miał on ochotę napisać zupełnie inną książkę, zatytułowaną „Krzysztof Umiński i trzy tłumaczki”. O ile jednak milej czytałoby się jedynie jej drugą część, napisaną przez kogoś, kto postanowił nie wysunąć się na plan pierwszy! 



Krzysztof Umiński, „Trzy tłumaczki”, Wydawnictwo Marginesy, 2022



Transformację energetyczną mamy rozpisaną na nuty

O umowie z Czechami kończącej wielomiesięczny spór o Turów, o radykalnych projektach zielonych urzędników Komisji Europejskiej, a także o polskim pomysśle na transformację energetyczną mówi **Anna Moskwa**, minister klimatu i środowiska, w rozmowie z Maciejem Woską („Gazeta Bankowa”)

Pani minister, spór o Kopalnię Węgla Brunatnego „Turów” spędzał sen z powiek całemu rządowi od kilku miesięcy. Czesi otrzymali już potwierdzenie przesłania przelewu – to wynik zakończenia negocjacji i podpisania umowy w Pradze. Co pani zdaniem spowodowało, że te rozmowy trwały tak długo? Wybory u naszych sąsiadów? – przez co staliśmy się niejako zakładnikami ich kampanii wyborczej?

Anna Moskwa: Moje rozmowy z Czechami trwały od końca października, zatem już po wyborach w Republice Czeskiej. Nowy rząd powstawał bardzo powoli. Jednak, jak

wiem, rozmowy z rządem premiera Babiša ws. Turowa były już dawno niemal na ukończeniu. Pozostało kilka linijek tekstu do doprecyzowania. Nie było więc żadnego kłopotu, żeby spotkać się w listopadzie z ministrem Brabcem, który kończył misję w ustępującym rządzie, i podpisać tę umowę. W trakcie tamtego spotkania rozumiałam jednak, że ten dialog jest pozorowany i nie ma woli porozumienia. Najpewniej temat Turowa miał być wykorzystywany wyborczo, choć został tak rozgrzany, że ani czeskie, ani polskie społeczeństwo nie akceptowało już eskalacji problemu. I dopiero rozmowy z nowym rządem pre-

miera Petra Fiali wszystko zmieniły. Okazało się, że dialog prowadzony jest na podstawie faktów, że jest wola porozumienia, jest decyzyjność i mandat do rozmów. Nowy zespół szybko wszedł w temat. Premierzy rozwiązali ostatnie wątpliwości i umowa została podpisana. Udało się.

Chodziło o zamknięcie tego sporu przed prezydenturą Czech w Radzie UE?

Jak najbardziej. Prezydencja jest dla strony czeskiej dużym wyzwaniem. Sytuacja geopolityczna wymaga jedności i zajęcia się poważnymi sprawami, choćby pakietem Fit for 55. I szkoda byłoby nie mieć Polski – po-

ważnego partnera – po swojej stronie. Trudno byłoby rozmawiać o czymkolwiek innym, jeśli wciąż wracałaby sprawa czeskiej skargi do TSUE. Dlatego trzeba było, jak powiedział premier Fiala, „usunąć ogromną przeszkodę, pewien głaz, który obciążał relacje między Polską i Czechami”. To wymagało odwagi, by w pierwszych tygodniach urzędowania podjąć takie decyzje, iż z pewnością jest to sukces tej władzy, który zapowiada bardzo racjonalne relacje z naszym sąsiadą.

To sukces premiera Fiali. A sukces Polski?

Oczywiście. Tyle że w niektórych mediach czeskich czytamy o porażce Pragi, że Babiš i Brabec byli twardymi negocjatorami, a ekolodzy mówią o zawiedzionej nadziei, o niekorzystnej dla Czechów umowie. Cóż... W niektórych polskich mediach słyszymy, że to my przegraliśmy. Mam jednak wrażenie, że wreszcie rozmawialiśmy o konkretnych, o dobrych rozwiązaniach, które pozwalają obu stronom zakończyć przedłużające się negocjacje i spór.

Umowa ma 17 stron. To dość obszerny dokument, ale zakładam, że można wymienić najważniejsze punkty...

Bardzo ważnym i najobszerniejszym elementem tej umowy jest szczegółowy opis monitorowania i przekazywania informacji – parametrów dotyczących wody, powietrza i hałasu. I to zarówno przez stronę czeską dla polskiej, jak i przez nas – Czechom. W relacjach medialnych przebiega się oczywiście kwota odszkodowania, ale ważniejsze jest to, że umowa daje szansę, by taki spór się więcej nie powtórzył. Mamy obiektywne, pełne dane – po obu stronach, także o stanie i ujęciach wody. To pozwala prowadzić uczciwą analizę. Drugim elementem jest stworzenie całej procedury rozwiązywania sporu, etapów postępowania, zasad powoływania ekspertów na kilku poziomach, komisji transformacji transgranicznej. Trybunał UE występuje w sprawie dopiero, gdy zawiodą wszystkie elementy i będą konkretne ustalenia umowy i ich wykonanie, co ogranicza możliwości nakładania takich kar, z jakimi mieliśmy teraz do czynienia.

I najważniejszym punktem umowy jest wycofanie skargi z TSUE.

Dokładnie. Czesi już to zrobili, gdy tylko mieli pewność, że środki trafiły na ich konta. Polska też potwierdziła, że spór został zamknięty.

Reakcja TSUE zaskoczyła wszystkich skalą. Samo postanowienie było niewspółmierne do problemu zgłaszanego przez Czechów. Jak pani zareagowała, gdy we wrześniu ubiegłego roku została ogłoszona decyzja? Gdy pani sędzia z TSUE uznała, że trzeba zamknąć kopalnię z dnia na dzień, nie licząc się z kosztami społecznymi.

Wciąż zadaję sobie to samo pytanie – jak to możliwe, że tak skomplikowaną sprawę powierzono sędzi odchodzącej na emeryturę. Kiedy się patrzy na ten wyrok, odnosi się wrażenie, że zabrakło chyba czasu na rozważenie wszystkich elementów, przeanalizowanie, zrobienie porządnego postępowania. I na koniec – decyzja życia. Proporcjonalność, adekwatność, efekt, zabezpieczenie interesu strony – zasady obowiązujące przy różnych karach nie zostały dochowane. Gdyby polska NIK skontrolowała taką decyzję, miałaby pewnie słuszne zastrzeżenia co do spełnienia tych podstawowych zasad. A my tymczasem się przekonaaliśmy, że instytucje unijne mogą wszystko. Choć traktaty nie mówią, że jako środek zabezpieczający można nakładać karę finansową, to – jak usłyszeliśmy – nie mówią też, że nie można. ITSUE skorzystał z takiej interpretacji. Trudno powiedzieć, z jakiego systemu prawnego pochodzi taka interpretacja, ale bezprecedensowo zastosowano taką karę. Ponadto – Czesi skarżyli się na potencjalne naruszenie prawa przy wydawaniu decyzji. To spór prawny. Tymczasem decyzja nakazująca zamknięcie kopalni zaskoczyła wszystkich. Turów to do 7 proc. naszego systemu energetycznego, ogrzewanie, dostęp do wody pitnej dla okolicznych miast – to wszystko pozostało poza zainteresowaniem sądu. Nie było dotychczas podobnego orzeczenia ani tak wysokich kar.

Czesi też byli zaskoczeni skalą awantury, jaką rozpętała.

Tak. I nie zmierzali nigdy do zamknięcia kopalni. Takie natychmiastowe zamknięcie, którego domagał się TSUE, nie ma bowiem nic wspólnego z ochroną środowiska. Oni też wiedzą, że to procesy rozpisywane na lata. To, co zatrważające, to fakt, że ta decyzja mocno wpłynęła na nastroje społeczne w rejonie Turowa, na pracowników. Wiele osób odeszło na emerytury, nabór nowych pracowników był bardzo utrudniony – ludzie bali się, że rano znajdą na bramie kartkę, że kopalnia została zamknięta. Do tego codziennie politycy opozycji mówili w mediach: „Zamknąć!”. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski mówił: „Zamknąć!”.

Zaufanie do wypracowanego przez lata konsensu społecznego wokół dekarbonizacji, wokół Zielonego Ładu, zwłaszcza na Śląsku, zostało mocno podważone. Zaufanie do sprawiedliwej transformacji spadło. Mam wrażenie, że opozycja z jakąś dziką satysfakcją liczyła, ile to będziemy musieli zapłacić, jeśli nie zamknijemy Turowa.

Jest takie zdanie wciąż powtarzane w Brukseli, w instytucjach unijnych: „We must be ambitious”, musimy być ambitni. Gdy mówimy, że ciepłownictwo musi mieć czas na dostosowanie się do Zielonego Ładu, bo nie da się zastąpić elektrociepłowni z dnia na dzień, że nie ma wciąż technologii, która zastąpiłaby np. Siekierki dla Warszawy, słyszymy: „We must be ambitious”. To nie jest racjonalne. Gdy Rafał Trzaskowski powiedział, że trzeba zamknąć Turów, chciałam zaprosić go do Turowa, żeby stanął przed tymi górnikami, powiedział im, że nie będą mieli pracy, prądu, ogrzewania, ciepłej wody, szkoły trzeba będzie zamknąć, ale będzie zielono, bo „we must be ambitious”. Są przecież posłowie i europosłowie z tamtego regionu – ciekawe, czy wybory zweryfikują też ich reakcje na decyzję TSUE, na kolejne propozycje instytucji unijnych dalekie od sprawiedliwej transformacji. Te rozmowy ze społecznością lokalną uczą pokory i rozsądku.

Zielony Ład i Fit for 55 mogą być wprowadzane właśnie w taki nakazowy sposób? Wyrokami TSUE, decyzjami

o natychmiastowym terminie wykonalności, a jak nie, to kary finansowe. Może to być pierwsze ćwiczenie pod hasłem „Musimy być ambitni”.

Projekt Fit for 55 tak został wprowadzony do obiegu prawnego. Komisarz Timmermans usiadł ze swoim zespołem ekspertów, napisali i zaproponowali pakiet potężnej reformy. Historycznie nie było tak dużej reformy wprowadzanej w taki sposób. Proszę zwrócić uwagę, że nad Fit for 55 nie pracowali przedstawiciele unijnych rządów, którzy by w dialogu wypracowali jakieś rozwiązania tej reformy. Dziś dyskutujemy o gotowym, opracowanym projekcie Timmermansa. I to nie jest jeden pakiet, tylko propozycje legislacyjne w kilkunastu, kilkudziesięciu dokumentach, szczegółowo rozpisane. W sprawie Turowa byliśmy sami, ale na szczęście w sprawie Fit for 55 jesteśmy wspólnie z wieloma krajami Unii, które sceptycznie traktują zapisy tego projektu i z którymi budujemy koalicję.

Możemy mówić jeszcze o sprawiedliwej transformacji energetycznej?

W tym kształcie Fit for 55 nie jest dla Polski sprawiedliwą transformacją. To my wprowadziliśmy to pojęcie do debaty w Europie i pojawia się ono też w wystąpieniach Timmermansa, a zaraz potem: „We must be ambitious”, bo trzeba reagować na „katastrofę klimatyczną”, to kolejne pojęcie zakłęcie. Na pewno Fit for 55 jest katastrofą, gdyby został wprowadzony w tym kształcie. Próba wypracowania jednego modelu transformacji dla wszystkich państw jest bardzo trudna. Dlatego negocjowaliśmy takuważnie i długo Europejski Zielony Ład, szukając derogatyw i odstępstw. Nie ma powodu, by sądzić, że skoro nie zgodziliśmy się wtedy, to dziś, raptem po kilku latach, zgodzimy się na tak gwałtowne przyspieszenie. Mamy plan transformacji, mamy plan dekarbonizacji, mamy plan rozbudowy odnawialnych źródeł energii. Nie negujemy konieczności transformacji, ale musi się ona odbywać sprawiedliwie.

Równocześnie mamy blokadę środków z funduszu odbudowy, więc widzimy też, czego można się spodziewać, gdy nie podporządkujemy się unijnym planom.

Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy korzystać z Funduszu Społecznego, reagując na drastyczny skok cen energii po wprowadzeniu założeń Fit for 55, rekompensując straty, a nie wprowadzać zmian nieco wolniej i wykorzystać tych środków na zaplanowaną transformację. Podążamy ścieżką transformacji, a nie wprowadzamy systemu socjalnego. Konsekwentnie. Mieliśmy na 2020 r. zaplanowany cel w OZE na poziomie 15 proc. Komisja nie wierzyła, że uda nam się go osiągnąć. Osiągnęliśmy 16 proc. Dojdziemy do zakładanych ce-

Mamy plan transformacji,
mamy plan dekarbonizacji,
mamy plan rozbudowy
odnawialnych źródeł energii.
Nie negujemy konieczności
transformacji, ale musi się ona
odbywać sprawiedliwie

łów, tylko nie można zmieniać prędkości w trakcie realizacji strategii. A Fit for 55 zmienia wszystko we wszystkich niemal dziedzinach życia i opiera się na nieistniejących jeszcze technologiach. Ocieplenie budynków, normy emisji i efektywności energetycznej w budynkach, zakaz rejestracji samochodów spalinowych, wreszcie ograniczenia związane z produkcją i spożyciem mięsa – nie mamy możliwości, by sprostac takim pomysłom.

Nie ma pani wrażenia, że takie założenia Fit for 55, a do tego kryzys energetyczny i gazowy, które przekładają się wprost na kwoty na rachunkach, powodują, że odwracamy się od transformacji, od zielonej energii... i wydaje się, że powrót do kopciuchów jest uzasadniony.

Nasz pomysł na transformację był pomysłem dialogu. To się udawało. Proszę zwrócić uwagę na liczby – 4 tys. prosumentów w 2015 r., dziś ponad

800 tys. Cel do osiągnięcia w fotowoltaice w 2030 r. to milion. Osiągniemy go lada moment. Wystarczyło rozmawiać, pokazać efekt ekonomiczny, dobrze dopasować dofinansowanie i wszyscy zrozumieliśmy, że to ma sens. Zbudowaliśmy pozytywny stosunek do transformacji. Podobnie jest z energetyką jądrową. Mamy dziś ponad 70 proc. poparcia społecznego w Polsce dla budowy elektrowni jądrowych. Jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyslenia. Rozmawiamy. Górnicy też rozumieją już, że transformacja jest konieczna. Psują to gwałtowne pomysły narzucane odgórnie.

Mamy na tyle siły, żeby przestrzegać Europę i Niemców przed takimi gwałtownymi pomysłami? Nord Stream 2 i działania Gazpromu, gazowy szantaż Rosji pokazują, że mieliśmy rację.

Patrząc na te ćwiczenia, które Gazprom wdraża od kilku tygodni wobec Europy, ograniczając dostawy gazociągami jamalskim, wyobraźmy sobie Nord Stream 2 i skutki takich działań związane z cenami

gazu, dostawami, bezpieczeństwem energetycznym Europy Zachodniej. Nie chcecie dać nam kolejnego kawałka Ukrainy – to przekreślamy, podbijamy cenę. Putin tylko czeka, żeby posłać wodór Nord Streamem i uzależnić Niemców od zielonej technologii, co przy założonych za naszą zachodnią granicą wskaźnikach nie będzie trudne. I będzie zielonym wybacwą europejskiej transformacji energetycznej. Na szczęście w niemieckim rządzie to niebezpieczeństwo jest już dostrzegane i publicznie artykułowane, choćby przez wicekanclerza Roberta Habecka. To dość przerażające, bo gdy schodzimy w dialogu z Komisją Europejską na poziom szczegółów procesów transformacyjnych, dostrzegamy, że nie ma tam analiz, wnikliwych opracowań. Jest „we must be...”. A my jesteśmy do tego dialogu przygotowani. Pomysły europejski czy niemiecki zakładają po prostu „konieczność”. A my mamy transformację rozpisaną na nuty. 

OCHRONA PRZED PODWYŻKAMI CEN GAZU

CO WARTO WIEDZIEĆ?



Niższe ceny gazu między innymi dla:

- ✓ Spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych
- ✓ Szkół, przedszkoli i żłobków
- ✓ Domów Pomocy Społecznej
- ✓ Szpitali
- ✓ Instytucji kultury
- ✓ Organizacji pozarządowych

i wielu innych podmiotów!



45 dni na złożenie oświadczenia przez podmioty uprawnione do ochrony taryfowej od daty wejścia w życie ustawy (29 stycznia 2022 r.)



Wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe zostają automatycznie objęte ochroną taryfową od 1 stycznia 2022 r. do 31 grudnia 2023 r.

Zarządzający wspólnotami i spółdzielniami powinni złożyć oświadczenia, w których zadeklarują, jaka część kupowanego gazu trafia na cele gospodarstw domowych, a jaka na inne cele*

*Dotyczy to również podmiotów, w których całość kupowanego gazu będzie przeznaczona wyłącznie na potrzeby gospodarstw domowych

Złóż oświadczenie on-line na:
ebok.pgnig.pl/ochrona-taryfowa

MAGDALENA NAROŻNA

Z ZESPOŁU PIĘKNI I MŁODZI

Spokój nie równa się ciszy

Uwielbiam podróże. Najchętniej spędzałabym je za kierownicą. Dobry kierowca nie powinien się bać żadnej drogi, ale nie potrafię wybrać najciekawszej. Tyle ich było.

Prawie cały czas jesteśmy w trasie. Występujemy w kraju i poza nim. Wszędzie, gdzie czeka na nas publiczność, czujemy się dobrze. Chociaż, oczywiście, nasza ojczyzna jest dla nas najważniejsza. Tu najchętniej koncertujemy. Polskę zwiedziłam wzdłuż i wszerz. Trudno mi powiedzieć, gdzie w kraju nie graliśmy. Urokami niektórych regionów i miast cieszyłam się wielokrotnie.

Gdy wyruszamy za granicę, lecimy np. do Stanów Zjednoczonych, czujemy radość i wdzięczność ludzi, którzy, często od lat, nie byli w kraju. Kiedy śpiewamy utwory po polsku, widać, że dosłownie je chłoną. I są szczęśliwi, że chociaż w taki sposób tego języka, polskości mogą doświadczyć.

W USA zawsze odwiedzamy Chicago – można tam poczuć prawdziwie góralski klimat, bo dużo jest górali. Za każdym pobycem w Stanach jedziemy też do Nowego Jorku, ale koncertujemy również w wielu innych miejscach. Zaczynamy choćby o Florydę. Zza oceanu zawsze wracamy z uśmiechem na twarzy. Mamy z tamtych wyjazdów zawsze dużo świetnych wspomnień.

Z moim partnerem co roku obiecujemy sobie, że weźmiemy kampera i pojedziemy na objazdówkę wokół Polski, żeby na spokojnie poznać, nacieszyć się krajobrazami, architekturą.... Moglibyśmy zacząć np. od Litwy i jechać w dół. Oczywiście, jeśli sytuacja wzdłuż granic by na to pozwalała.

Mogłabym też wyruszyć w podróż po Francji albo Hiszpanii, którą kocham. Kamper umożliwiłby nam objechanie wybrzeżem przepięknych miejsc.

Gorąco wspominamy wyprawę do Włoch. Fantastyczne Wieczne Miasto – Rzym. I Watykan, który zrobił na mnie ogromne wrażenie. Była to też zasługa fantastycznego przewodnika.



Przekonał nas, ile niezwykłych historii mogą skrywać budynki, ulice, place... Słuchaliśmy go z zapartym tchem. Uwielbiam zwiedzanie. Chodzenie, nawet 20–30 km dziennie, nie jest dla mnie problemem.

W Tajlandii najbardziej żałowałam, że mieszkaliśmy w... hotelu all inclusive. Mieliśmy niewielki kontakt z tym, co lokalne. Następnym razem, jak tylko warunki będą sprzyjać i czasu znajdziemy trochę więcej, spróbujemy

wędrówki po Tajlandii z plecakiem. Będziemy nocować, gdzie się da i podziwiać z bliska ten fantastyczny kraj.

Gdybym mogła wybierać region do zamieszkania na dłużej, postawiłabym na Hiszpanię. Jedzenie odpowiada mi tu w stu procentach. Podobnie jak klimat, kultura, język. I ludzie są tu fantastyczni. Był czas, gdy przez rok mieszkalam w Hiszpanii. Chętnie bym tam wróciła.



Dzisiaj moim miejscem na Ziemi są Kurpie, końcówka Podlasia. Mam tu dookoła naturę, las, niedaleko płynie rzeka – jedna, druga. Mam spokój, co wcale nie równa się ciszy. Bo w naszym domu jest gwar. Zawsze coś dzieje. Także dlatego, że jestem osobą, która stale musi coś robić.

Nasz dom jest również otwarty na zwierzęta. Najnowszym pupilkiem jest konik. Bardzo dużo czasu z nim spędzam. Podobnie jak z moją córką. Przekonałyśmy się, że zwierzę niesamowicie uspokaja, wycisza. Idziesz znużony, niewyspany, godzina w stajni i czujesz się rewelacyjnie. Polecam wszystkim. //

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Gryczany pasztet

ANNA MONICKA

Kilkudniowe przymusowe zamknięcie sprawiło, że zaczęliśmy czyścić zamrażarki, lodówkę oraz spiżarnię z zapasów. W sumie takie sprzątanie przed wiosną jest bardzo dobrym rozwiązaniem. Nie lubię wyrzucać jedzenia i niespecjalnie się przejmuję terminami przydatności do spożycia, bo kasza, fasola czy makaron nic nie tracą, jeśli zostaną ugotowane kilka dni, a nawet tygodni po terminie, jeśli oczywiście nie zaległy się w nich jakieś małe pasożyty. Staram się jednak od kilku lat (kiedy to przywlokłam mole ze sklepu spożywczego, elegancko zapakowane wraz z ciasteczkami pewnej znanej polskiej firmy w dobrze zgrzaną folię) zamykać wszystko szczelnie w strunowe worki i porządne słoje oraz pudełka.

Szukając pięknego jasia, który dosłownie zapadł się gdzieś pod ziemię, znalazłam niespodziewanie kaszę gryczaną. U mnie w domu jem ją tylko ja oraz jeden z kotów (psa nie liczę, bo ten zje wszystko). Sypka odpada, nawet z najlepszym kefirem, ale gdy przerobiłam ją na placki z kapustą kwaszoną, została zjedzona. Niestety w lodówce nie mieliśmy już kapusty, za to były dwa naturalne skandynawskie skyry, jajka i cebula. Powinno wystarczyć na zapiekankę.

Z woreczka suchej kaszy wychodzi garnek gotowanej. Trzeba ją podstudzić i wymieszać z podsmażoną na oliwie cebulką, ewentualnie podsmażonymi pieczarkami. Skyry – miałam akurat takie jogurty pod ręką, ale mogą być dwa inne naturalne białe serki – trzeba roztrzepać z czterema-pięcioma jajkami oraz kopsną łyżką mąki ziemniaczanej i łyżeczką proszku do pieczenia. Na koniec wszystko razem trzeba połączyć w gęstą masę, doprawić majerankiem, solą i pieprzem. Z takiej ilości wyjdą dwie klasyczne keksówki albo jedna blaszka. Pieczemy ciasto ok. 45 min do godziny w piekarniku nagrzanym do 180 stopni C. Musi trochę stężeć po wyjęciu z piekarnika, bo inaczej będzie się kruszyć w czasie krojenia. Ten ni to chlebek, ni to pasztet najlepiej smakuje z gęstym, doprawionym czosnkiem jogurtem. Można go podawać na ciepło i zimno, na śniadanie, obiad i kolację. Smaczno.

Fot. Archiwum autorów, Radosław Drożdżewski (Zwiadowca21/Wikipedia)

WILCZYM OKIEM

Zielononózki



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Spośród zwierząt domowych do zwierząt idealnych można z pewnością zaliczyć kurę. Interesująca zoologicznie, o wielu zaletach.

Kura domowa pochodzi od dzikiego kura bankiwa *Gallus gallus*, do dziś żyjącego w gęstych lasach Indii. Do udomowienia doszło właśnie w Indiach ok. III tysiąclecia przed naszą erą. Kilkaset lat przed naszą erą w Egipcie i w Chinach stosowano już sztuczne wyłęganie tych ptaków. Jak wykazały badania archeologiczne m.in. w Biskupinie, w Polsce trzymano powszechnie kury już ok. 500 r. p.n.e. Ówczesne kury przypominały te dzisiejsze wiejskie, miały jednak dłuższe skrzydła i zapewne lepiej latały.

Pisząc o niewielkich wymaganiach kur, mam na myśli łatwość trzymania tych ptaków w tradycyjnym wiejskim obejściu, gdzie kury spędzają dzień, nie wymagając większej uwagi gospodarzy. Jeżeli chce się osiągać większe efekty, należy włożyć więcej trudu, jednak jest on opłacalny. Odmianą wartą szczególnej uwagi jest wyhodowana ponad sto lat temu w Polsce zielononózka kuropatwana. Z wyglądu przypomina pierwotnego dzikiego przodka. Niewielka, dorasta do nieco ponad 2 kg masy ciała. Jaja znosi niewielkie, sto kilkadziesiąt rocznie, bardzo zdrowe i smaczne.

Trzymanie zielononózek daje satysfakcję i jest polem do popisu dla prawdziwych fascynatów. Znam hodowlę idealną (pozdrawienia). Kurki żyją w niej w niewielkich stadach, nie lubią bowiem przebywać w zbyt dużych grupach, sto sztuk to maksymalna ilość. Każde ze stad ma swój kurnik i swój bardzo obszerny naturalny wybieg, na którym spędzają większość dnia – zielononózki są mistrzyniami grzebania, są odporne i lubią spędzać czas na powietrzu. Oprócz tego co wygrzebią, dostają jedzenie. Ich dieta mogłaby być marzeniem każdego fana zdrowego żywienia – pszenica, gotowane ziemniaki, buraki i marchew, kukurydza, trawa, ziola, sałata, muszle mątwy, witaminy – i jest dowodem na to, że zwierzęta w hodowlach mogą być żywione zgodnie z naturą.

W hodowli tej jest również kurnik emerycki. Starsze kury, korzystając z uroku okolicznych krajobrazów, nie są wcale bezczynne. Jako doświadczone ptaki z zaangażowaniem pomagają młodszemu w wychowywaniu piskląt, szczęśliwie dożywają swoich dni.



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Film „Gierek”? Polecam...

Zoporami wybrałam się do kina na film „Gierek”. Na warszawskim Bemowie seans był na 17.30, sala zapelniona w jednej trzeciej. To wcale nie tak źle, jak na covidowy czas i także nastroje – pomyślałam. Zwłaszcza że nic nie zapowiadało emocji i wrażeń, które objawiły się podczas projekcji.

Po seansie byłam w stanie dawno nieodczuwanego milego poruszenia. Polskie filmy przez długi czas odstraszały od kina. Miejsca, które przecież kiedyś bardzo często odwiedzałam. I tu pierwsze zaskoczenie. Na „Gierku” wszystko brzmiało inaczej, niż dotąd można było wyczytać w różnych, pisanych na kolanie recenzjach. Filmu obśmiewanego niemal przez wszystkich. Od lewa do prawa.

Ci z prawa często podkreślali, że obraz powstał według scenariusza z Agory. A więc według prawd wyznaczanych przez tzw. ludzi honoru. Czołobitnych najbardziej wobec tych na szczycie – Jaruzelskiego i Kiszcza. A tu było, jak się okazało, przeciwnie. „Człowieki honoru” zostały wyśmiane

i przedstawione koślawo, jako prymitywy wysługujące się Moskwie. Nie przypominam sobie filmu fabularnego w III RP, w którym ludzie bezpieki byliby przedstawieni tak groteskowo. Nikt dotąd z reżyserskiego mainstreamu nie miał odwagi na takie potraktowanie tych postaci.

A MOŻE FILM „MICHNIK”?

Ciekawe, ale to właśnie na łamach wydawnictw Agory film jest najbardziej atakowany. Wieloletni pracownik „Gazety Wyborczej” (30 lat pracy) Krzysztof Varga, obecnie autor „Newsweeka”, pisze o „Gierku”, że to najgłupszy polski film nakręcony w XXI w. Szydzi i z filmu, i z jego autorów. Proponuje scenarzyście i reżyserowi stworzenie wręcz całego cyklu portretującego największych współczesnych przywódców. Dlaczego tak się ogranicza? Może warto stworzyć także cykl o jej autorytetach. Jeden z takich filmów mógłby mieć tytuł: „Michnik”. Myślę, że gdyby pomysł na scenariusz był pisany według klu-

cza, w jakim powstał „Gierek”, pod prąd stereotypom, widownia byłaby gwarantowana.

Tylko niektórzy recenzenci, według mnie słusznie, podkreślali walory filmu jako dobrego przyczynku do poważnej dyskusji o czasach Edwarda Gierka i tzw. gierkowszczyzny. Polecam recenzję Jakuba Augustyna Maciejewskiego „Lukrowany Gierek” z piątego w tym roku numeru tygodnika „Sieci”. Choć Maciejewski uważa, że film „Gierek” w dyskusji nad PRL to krok do przodu, ale zarazem krok w tył. Co oznacza, jego zdaniem, ogólne dreptanie w miejscu. Nie zgadzam się z tym.

Film, według mnie, stanowi ciekawą autorską próbę opisu dekady PRL. Robioną z lekkim przymrużeniem oka, ale pełną nowych tez, łamiącą politycznie poprawne stereotypy. Krytycy zarzucają, że tytułowa postać jest wyidealizowana, zwłaszcza gdy oglądamy Gierka jako polityka, męża czy zatroskanego o kraj patriotę. Zapewne. Chodzi jednak o to, że od dawna w polskim kinie słowa

„patriotyzm” czy „polskość” znalazły się na banicji. Przywrócenie ich sensu, choćby z pewnego dystansu, ma wielką wartość. Zwłaszcza że autorzy filmu naruszają także kilka tabu. Choćby sprawa kulis współpracy rządu Gierka z zagranicznymi bankami czy bezpieczniackim spiskiem, który wokół pierwszego sekretarza mógł jednak rzeczywiście zaistnieć. Bezpieka w połowie lat 70. ubiegłego wieku urwała się ze smyczy i działała wyłącznie pod nadzorem towarzyszy radzieckich, ze szczególnym okrucieństwem wobec aktywnych kapłanów Kościoła katolickiego. Już wtedy było wiadomo, że Gierek musi odejść. Pod koniec jego rządów możliwe były przecież także narodziny Solidarności.

Czego mi w tym filmie bardzo zabrakło? Przedstawienia, choćby jednym pociągnięciem pędzla, świata dziennikarzy i ówczesnych mediów. Myślę, że to doskonały temat na kino, a scenariusze mogłyby okazać się zaskakująco interesujące.

NIECO PRZYPOMNIENIA

Przypomnijmy, że w czasach Edwarda Gierka, mimo rekordowych wskaźników czytelnictwa, wydawnictwa prasowe schodzą stopniowo na drugi plan, a rolę najważniejszej tuby propagandowej przejmuje telewizja. Od VI Zjazdu PZPR (XII 1971) TVP rozpoczęła emisję programów w kolorze, zwiększając liczbę godzin codziennego nadawania. „DTV stanowi jedno z najbardziej istotnych ogniw oddziaływania propagandowego realizujących cele polityczne partii, stanowiąc w istotnym stopniu o dynamice przeobrażeń świadomości społecznej w naszym kraju” – pisali propagandyści PZPR. 2 października 1970 r. zostaje uruchomiony drugi program TVP. Telewizja transmitowała festyny, imprezy plenerowe, koncerty w rodzaju „Ludziom dobrej roboty”. Teleturnieje kameralne w rodzaju „Wielkiej gry”, ale też olbrzymie przedsięwzięcia teletransmisyjne, prowadzone na żywo, w tym „Bank

miast”, który był gierkowskim pomysłem na socjalistyczne, szlachetne współzawodnictwo. Do produkcji włączane były coraz bardziej atrakcyjne programy kulturalne, w tym poniedziałkowy Teatr Telewizji czy czwartkowe Teatry Sensacji, zwane „Kobłą”. Oficjalną informację serwowano o godz. 19.30 w „Dzienniku Telewizyjnym”.

Telewizja wypełniała funkcje dworskie, dzienniki radiowo-telewizyjne otwierały czołówki pokazujące pierwszego sekretarza i innych partyjnych

„Człowieki honoru”
zostały wyśmiane
i przedstawione
koślawo, jako prymitywy
wysługujące się Moskwie.
Nie przypominam sobie
fabularnego filmu w III RP,
w którym generałowie
służb byliby przedstawieni
tak groteskowo

prominentów. Trwały kampanie buraczane, zniwne, wykopkowe, honorowano „ludzi dobrej roboty”, wydobywających węgiel kamienny, czyli rzeczywiste „polskie złoto”. Telewizyjne programy publicystyczne realizowano według klucza „pozytywnej pointy”. Krytyka najczęściej dotyczyła spraw marginalnych, nienaruszających mechanizmów systemu. Widzowie coraz bardziej utwierdzani byli w wizji kraju, jako dziewiątej potęgi gospodarczej świata.

DZIENNIKARZE JAK PĄCZKI W MAŚLE

Zadbano też o poprawę ogólnej sytuacji zawodowej dziennikarzy prasowych. Podniesiono im pensje, zapew-

niono opiekę lekarską, odpowiedni system emerytur, domy wypoczynkowe itp. Telewizyjni dziennikarze w epoce Gierka mieli status uwielbianych gwiazd, a redakcje i etatowi dziennikarze zapewniony byt na niezłym poziomie. W mediach w dawne miejsce propagandy strachu z czasem wkroczyła propaganda radości i jasnego spojrzenia w przyszłość. Gdy trudności występujące w gospodarce stawały się odczuwalne, znaczenie propagandy sukcesu w oficjalnych przekazach wcale nie malało. Propaganda i cenzura, decyzją Biura Politycznego, realizowały dyktando, by „nie publikować w referacie (na XV Plenum PZPR) liczbowych danych, a zwłaszcza porównawczych o wysokości zbiorów zbóż”, by „na tle występujących zjawisk w sytuacji żywnościowej na świecie szerzej pokazać ogromny wysiłek kierownictwa partii i rządu w zakresie pełnego zaopatrzenia rynku w artykuły żywnościowe”.

Po raz pierwszy w grudniu 1974 r. podczas IX Zjazdu Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ówczesny sekretarz KC PZPR i kierownik Wydziału Propagandy, Prasy i Wydawnictw w jednej osobie ogłosił koncepcję propagandy sukcesu. Zachęcano dziennikarzy do tworzenia atmosfery „smaku sukcesu”, ale jednocześnie ostrzegano przed wpadaniem w stan samozadowolenia, prowadzący do demobilizacji.

Jeden z pisarzy niemieckich, tworzący w Niemieckiej Republice Demokratycznej, zauważył, że efektywna cenzura jest życzliwa. Gdy skutek nieustępliwości pisarza ponosi klęskę, to wkracza służba bezpieczeństwa i wtedy dopiero żarty i miła atmosfera się kończą. Podobnie było w redakcjach epoki Edwarda Gierka. Pierwszego sekretarza, nad którym niewątpliwie dzień i noc, poprzez zaufanych Maślaków, sowieckie służby czuwały.

*Autorka jest religiologiem,
medioznawcą, profesorem
Akademii Kultury Społecznej
i Medialnej w Toruniu*

My, Polacy, to wiemy

Zbliża się Dzień Żołnierzy Wyklętych, za wschodnią granicą wysoki funkcjonariusz KGB, przywódca Rosji, Władimir Putin, stawia warunki i próbuje zastraszyć cały świat. My znamy historię i dlatego obecny rząd PiS, prezydent, premier, ministrowie robią wszystko, by nie dopuścić do uległości i układania się z Rosją w imię prywatnych interesów zagrażających wolności innych narodów.

Powróćmy do naszej niedawnej historii, skąd wzięli się Żołnierze Wyklęci, najmłodsi z nich jeszcze żyją. Dlaczego walczyli, dlaczego byli wyłapywani i tak strasznie skrytobójczo mordowani w rzekomo już wolnej ludowej Polsce. I dlaczego ciągle szukamy ich grobów, a w polskim Sejmie posłowie tzw. totalnej opozycji, lewica i liberałowie wychodzą na znak sprzeciwu, gdy marszałek Elżbieta Witek proponuje uczcić minutą ciszy tych najdzielniejszych. „Życie w komunizmie jest piekłem, ale nie dla wszystkich – pisał Leopold Tyrmand – jest piekłem dla ludzi dobrej woli, dla uczciwych, dla rozsądnych, dla chcących pracować z pożytkiem dla siebie i dla innych. Natomiast dobrze prosperują w komunizmie głupcy niedostrzegający własnej marności i śmieszności. Doskonale powodzi się służalcem, oportunistom i konformistom”.

Dzisiaj wiedza na temat komunistów, ubeków, zdrajców jest bardzo ogólna, powierzchowna i nieprawdziwa. Często nawet historycy hołdują tezie, że opór powojenny był bezsensowny (tak samo jak powstanie warszawskie), skazany na klęskę, często podejmowany przez ludzi nieświadomych sytuacji w Polsce i na świecie. Podczas gdy prawda jest inna – generalnie walczyli i ginęli bohaterowie, czyli Polacy, którzy nie nawykli do zdrady ojczyzny, wielcy patrioci. Ich całe życie jest spójne, od pokoleń wychowani byli zgodnie z hasłem niesionym na sztandarach – „Bóg Honor Ojczyzna”. Dlatego, gdy nastały „rządy zbirów spod znaku Kremla”, dla nich była tylko jedna droga – walka! „Będziemy trwać na stanowiskach tak długo, aż nad Polską rozgorzeje słońce prawdziwej wolności!” – pisał kpt Stanisław Sojczyński „Warszyc”, twórca i dowódca Konspiracyjnego Wojska Polskiego, największej organizacji wojskowej, walczącej ze zniewoleniem sowieckim. Takim zawołaniom byli wierni wszyscy tzw. Żołnierze Wyklęci: „Zapora”, „Ogień”, „Żelazny”, „Łupaszka”, „Młot”, „Kryś”, „Kotwicz” i inni. Czy wiemy, jakie nazwiska kryją się pod tymi pseudonimami, jakie są ich życiorysy, kim byli, z jakich rodzin wyrosli? Ta wiedza pozwoliłaby nam zrozumieć, dlaczego obcy był im wszelki kompromis, układanie się ze zdrajcami ojczyzny, którzy podobnie jak dzisiaj posługiwali się hasłami niepodległościowymi, dobra „ludu pracującego”. Gdy poznamy życia tamtych ludzi, gdy będziemy wiedzieć, kogo straciłmy, łatwiej będzie nam dzisiaj zrozumieć obecną sytuację i podejmować właściwe decyzje.

W Polsce nie było lustracji, nie wiemy, kto donosił na bohaterów, niszczył życie całych ich rodzin, wszystko się spletało i stało nieważne. A przecież ci wszelkiego rodzaju tajni współpracow-



**Alina
Czerniakowska**

nicy, agenci, donosiciele, kapusie, wychowali kolejne pokolenia ludzi cynicznych, pewnych swoich racji, zabezpieczonych finansowo, często z wielkimi fortunami niewiadomego pochodzenia. Ci, których dzisiaj nazywamy Żołnierzami Wyklętymi, nie dawali się zwieść pustym słowom, walczyli i ginęli, należeli do mniejszości polskiego społeczeństwa, które w swojej większości poddało się sowietyzacji. Najbardziej zawiedli ludzie, od których najwięcej należałoby oczekiwać. Pisarze, ludzie kultury i nauki szli na współpracę, byle tylko dostać ochłap w postaci lepszej posady, mieszkania w przedwojennej cudzej kamienicy, awansu, wyjazdu zagranicznego... Skąd my to znamy? Tamta walka nigdy się nie zakończyła, ma swój dalszy ciąg.

Wracam myślami do młodziutkiej dziewczyny, niespełna 18-letniej Danusi Siedzikówny, zamordowanej w 1946 r. w więzieniu ubeckim w Gdańsku przy ul. Kurkowej. Padła komenda: „Po wrogach ludu – pal!”. Sanitariuszka „Inka” i „Zagończyk” Feliks Selmanowicz, żołnierze mjr. Szendzielarza „Łupaszki” poranieni osunęli się na więzienną posadzkę, ale nadal żyli. Wówczas dowódca plutonu egzekucyjnego ppor. Franciszek Sawicki podszedł i z odległości pół metra strzelił w głowę dziewczyny i żołnierza, dobił bohaterów. Zdażyli zawołać: „Jeszcze Polska nie zginęła!”, „Niech żyje major Łupaszka!”.

Śledztwo „Inki” prowadził szef WUBP w Gdańsku Jan Wołkow i kierownik Józef Bik, który potem wielokrotnie zmieniał nazwisko, a w 1968 r. wyjechał do Izraela i poprosił o zaświadczenie, że pracował w UB, aby tam dostać wyższą emeryturę! Musimy znać i wymieniać nazwiska oprawców. „Inka” była sanitariuszką w V Brygadzie Wileńskiej dowodzonej przez mjr. Szendzielarza, wspaniałego dowódcę i żołnierza wielu zwycięskich bitew. Po wojnie aresztowany, torturowany i zamordowany. Dzisiaj musimy odszukiwać prawdę o tamtych bohaterach, znać ich życiorysy, aby nie ulegać opiniom ferowanym przez wrogów narodu polskiego. Rodzice Danusi Siedzikówny zginęli z rąk dwóch oprawców, którzy podali sobie ręce w pakcie Ribbentrop-Mołotow. Danusia i jej dwie młodsze siostry zostały pod opieką babci, dlatego w grypsie z więzienia aresztowana „Inka” napisała: „Powiedźcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba”.

Punkt 6 uchwał jałtańskich przesądził los Polski. Polska, najwierniejszy sojusznik Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w wojnie z Niemcami, Polska walcząca dzielnie na wszystkich frontach świata – została haniebnie zdradzona i opuszczona, oddana w ręce największego kata Józefa Stalina, wujaszka Joe – jak z uśmiechem mówili wielcy koalicjanci. I pomyśleć, że było to po odkryciu grobów katyńskich i dramacie powstania warszawskiego!

Była to i jest największa zdrada, która powinna pozostać w pamięci narodów świata.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Zamożność a demografia

To, że jesteśmy, zawdzięczamy płodności naszych przodków. Gdyby w tłumie naszych praojców i pramatek zabrakło jednej tylko osoby – nie byłoby nas na tym świecie!

W przeszłości wojny i zarazy dziesiątkowały Rzeczpospolitą, ale dzięki nadzwyczajnej vitalności odradzaliśmy się z każdej zapaści. W czasach potopu szwedzkiego – w wyniku działań wojennych, chorób i głodu – ubyło nam aż 40 proc. populacji! A jednak wciąż się odradzaliśmy jak Feniks z popiołów. Kanclerz Bismarck rwał sobie włosy z głowy, widząc eksplozję demograficzną Polaków w germanizowanej Wielkopolsce. W okresie międzywojennym ojcem chrzestnym każdego siódmego syna w rodzinie zostawał „z klucza” prezydent Ignacy Mościcki. A było tych prezydenckich chrześniaków (sprawdzanych do czwartego pokolenia) około tysiąca. Hekatombe II wojny światowej też „odreagowaliśmy” powojennym wyżem demograficznym. I to w biedzie, bez wsparcia programu 500+. Cóż, skłonność do posiadania



**Lech
Makowiecki**

dzieci nie wiąże się z zamożnością społeczeństwa, wręcz przeciwnie.

Ta odwieczna misja człowieka – gotowość do podjęcia ogromnego trudu prokreacyjnego – rodzi się w naszych głowach i w sercach. Liczne i po bożemu wychowane potomstwo było niegdyś gwarancją bezpiecznej starości dla rodziców, dla dziadków. Gdy ciężar utrzymania seniorów przejął ZUS (czyli państwo), nie rodzenie dzieci, lecz aborcja na życzenie stała się podstawowym prawem kobiet. Ale ta „kalkulacja” działa w obie strony. Kto zechce dziś bronić przed eutanazją samotnych, schorowanych i nikomu niepotrzebnych staruszków?

Wiem, że i tak nie przekonam współczesnych młodych „Europejczyków” do „bezsensownego mnożenia się jak króliki”. Egoizm nakazuje im „realizować się” i żyć „tu i teraz”. Po nas – choćby potop! Każdy, kto zrozumiał sens posiadania dzieci, wie, że jest to uczucie nieporównywalne do żadnego innego. Macierzyństwo/ojcostwo nie jest udręką. Jest naszą największą radością. I to tylko po nas zostanie. 

REKLAMA



PATRONAT

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Sztuce Odkrywania Niepodległości
1918-2018



ORGANIZATOR

WSPÓŁORGANIZATOR

wolne  dźwięki.pl

MECENAS PLATYNOWY



MECENAS ZŁOTY



PARTNER EDUKACYJNY



PARTNER



PARTNER MEDIALNY



PARTNER MEDIALNY



RZECZY POSPOLITE

Rymkiewicz – jest!

Odejście Jarosława Marka Rymkiewicza to odejście silnej i ważnej części wrażliwości polskiej. Przez tę niezwykłą wrażliwość patrzeć można na niego – nie tylko jako na poetę, lecz jako na wielkiego eseistę historycznego. Ponieważ na domenie pierwszej z muz się nie znam, pozwolę sobie dwa słówka napisać o działalności Rymkiewicza na polu, któremu patronuje Klio.

Autor „Wieszania”, „Kinderszenen” czy „Samuela Zborowskiego” to przecież wnikliwy obserwator tych ścieżek splatających się w dzieje polskie, których – z natury rzeczy – nie eksplorują zawodowi historycy. Historia, jako nauka, odziera bowiem wydarzenia z domeny Ducha, skupia się na faktach historycznych, a nie na przestrzeni metafizycznej. A Rymkiewicza ta właśnie przestrzeń fascynowała, o niej opowiadał – o odwiecznym konflikcie duszy polskiej z duszą moskiewską (czyli tym rymkiewiczowskim „wewnętrznym Moskałem”, o którym dosłownie kilka tygodni temu miałem przyjemność pisać dla czytelników „Sieci”).

Poetę interesowała tajemnica czasu, wieczności i nicości. Był więc w tym wymiarze strażnikiem pamięci – tego, co ludzkie,



**Tomasz
Łysiak**

co polskie, co żywotnie nasze, a pogrążające się niestety coraz bardziej w otchłani upływającego czasu. Ów czas można by wyobrazić sobie jak wielkie ruchome piaski, które z każdym dniem, miesiącem, rokiem wysysają wszystko, co nam przeszłość pozostawiła: postaci, wydarzenia, ludzi pełnych uczuć, myśli i namiętności... Widzimy ich, ale jakby coraz słabiej i słabiej. Każda czynność, którą podejmujemy, by ich przypomnieć, opisać na nowo, wyjaśnić, sportretować – to podanie ręki owej przeszłości narodowej, pociągnięcie za nią i szarpnięcie w górę. Od nicości do bytu. Bytu, który my jedynie możemy zabezpieczyć i zagwarantować, który od nas, całkiem już bezradny i bezwolny, zależy. Pamięć przechowujemy bowiem – my! Może tę pamięć budować prof. Szwagrzyk na Łączce, może poeta i pisarz, może drużyna harcerska, mozesz ty, który czytasz te słowa w tramwaju czy gdzieś w górskim schronisku. Nicość – tam chciano wtrącić Polskę. Byt, Zmartwychwstanie, Życie – to punkt, w którym spotykamy się z pokoleniami już przeszłymi. Oni są w nas i przez nas. Dlatego nie mówmy: „Nie ma Rymkiewicza”. Bo on jest!

Głosy spod stołu

My to jesteśmy otwarci, tolerancyjni, pobłażliwi, można rzec, permissywni jak żaden inny naród. I to pomimo wielowiekowej indoktrynacji przez nacjonalistów, jak ten, no, Rej, z jego wezwaniem do „wždy postronnych”, czy ta Kopnicka Maria, z jej rotą, że „nie damy, by nas zniewczył wróg, tak nam dopomóż Bóg...”, i że „nie będzie Niemiec pluć nam w twarz, ni dzieci nam germanił”, jak też obecnemu „lex Czarnek” wbrew.

W „Bydgoszczu”, jest takie miasto, mówił o nim sam eksminister od „piniendzy” Jan Antony Vincent-Rostowski, wyremontowano właśnie kamienicę z przełomu XIX i XX w., co wiem dzięki „Gazecie Wyborczej”. Wydarzenie ważne, bo co można dziś zobaczyć na jej elewacji? Wyeksponowane „historyczne napisy”, cytuję: „Bier=Verlubb Adelheid Niekel”. Ponoć „w wielu miastach to naturalna praktyka”, pochwalił się lokalny „menedżer” na użytek „GW” i dodał, że „niedawno podobny los spotkał napis »Tapetenhaus« na Kwiatowej i krawca na Lipowej”.

Iniech ktoś powie, że nie jesteśmy światowcami! Tuż po upadku komuny pewien bytowanin uruchomił „kompleks hotelowy z dyskoteką” pod nazwą „Bismarck”. Tenże mawiał o tych nieświatowych spośród nas: „Bijcie Polaków tak długo, dopóki nie



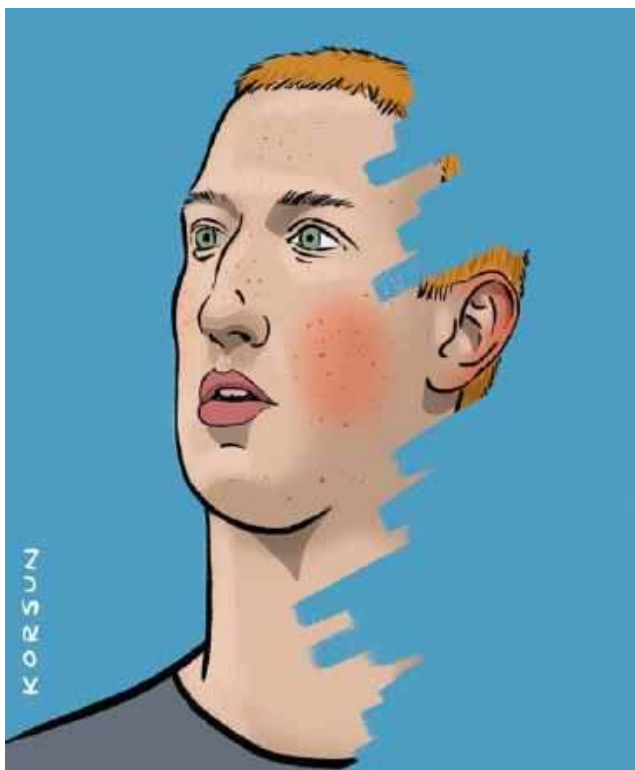
**Piotr
Cywiński**

utracą wiary w sens życia. Współczuję sytuacji, w jakiej się znajdują. Jeżeli wszakże chcemy przetrwać, mamy tylko jedno wyjście – wytepić ich”. Ponoć hotel splajntował i miał być przerobiony na szpital psychiatryczny albo dom starców.

Światowców ci u nas dostatek! Weźmy permissywną prezydent Gdańska Aleksandrę Dulębą, która rocznicę ostrzelania Westerplatte z pancernika „Schleswig-Holstein” i napaści III Rzeszy na Polskę zamierzała obchodzić „koncertem, tańcem i wspólnym świętowaniem” z niemiecką delegacją, albo europosłankę lewicy Lidę z domu Ulatowską, po byłym mężu Geringer de Oedenberg, która proponowała dla lepszej promocji Wrocławia zmienić jego nazwę na Breslau. Niestety omszali nieświatowcy nie dopuścili do realizacji jej idei. Nic więc dziwnego, że była europosłanka PO, od niedawna Polski 2050, Róża z domu Woźniakowska, po mężu von Thun und Hohenstein, „chowając się pod stół, jak słyszy wystąpienia po polsku”, co wyznała na listopadowym spotkaniu Komitetu Obrony Demokracji w Tarnowie. „Zdarza mi się, że koledzy przychodzą do mnie, klepią mnie po ramieniu i mówią: »Nie martw się, my wiemy, że w Polsce nie wszyscy są tacy«, dorzuciła na koniec.

I ja się będę tego trzymał, znaczy, „że w Polsce nie wszyscy są tacy” i „tak nam dopomóż Bóg”.

Michał Korsun prezentuje:
Facebook i Instagram znikną z Europy?



Wycinki z przeszłości

Ten żart rysunkowy opublikował polski tygodnik „Wiarus” w lutym 1939 r. Z czego jeszcze śmiano się tuż przed wojną?

W restauracji

– U nas, proszę pana, to już wszystko jest naj... Jaja są najświeższe, mięso najsmaczniejsze, piwo najlepsze.

– O tak, to prawda. I befsztyki najmniejsze w całym mieście.

Służąca

– Kasiu – mówi pani do służącej. – Proszę dzisiaj porządnie posprzątać w saloniku i niech Kasia nie wrzuca śmieci pod kanapę, bo dzisiaj przyjdą do nas goście.

– Ładne goście – mruczy pod nosem Kasia – co będą pod kanapę zaglądać!

Delikatny sygnał

Gubernator jednego ze stanów w Ameryce Południowej radzi się przyjaciela w pewnej sprawie.

– Słuchaj, mój kochany – mówi do niego. – Jak by to dać do zrozumienia naszemu senatorowi, że go tym razem nie wybierzymy, ale delikatnie.

– Hm... czy ja wiem? Może mu dziś w nocy wybić wszystkie szyby i otruć psa?

(mk)



Dokąd żyją poeci...

...dopóki przemawia pozostawione przez nich piękno i celność (przydatność) wypowiedzi. Jestem absolutnie przekonany, że bez fizycznej już między nami obecności spuścizna po Jarosławie Marku będzie z podziwem i wdzięcznością przyswojona i włączona do powszechniejszego „użycia”. Przez czytelników już po Nim dołączających do polszczyzny.



Leszek Długosz

Jarosław Marek Rymkiewicz (1935–2022)

„Księżyc nad Wigrami”

Biały księżyc od Wilna nad Wigrami świeci
A pod nim czarny obłok krwawa szmata leci

Nocny wiatr od księżyca od sosen i buków
Tak samo będziesz kiedyś kochał to mój wnuku

Nocny wiatr poprzez puszcę księżyc nad Wigrami
Tak samo będziesz kiedyś spał zatruty snami

Biały księżyc od Wilna od białych cmentarzy
Jest taka Polska która zmarłym wciąż się marzy

Taka Polska co dla nas jest jak sen cmentarny
Biały księżyc od Wilna pod nim obłok czarny

Wiatr i księżyc nad puszcą od Wilna i Grodna
Polska jak gorzki napój i wypij to do dna

Polska jak gorzki napój W ustach smak trucizny
Bo otruto nas wnuku nadzieją ojczyzny

Bo otruto nas wnuku po czwartym rozbiorze
Ja nie wiem gdzie te kości poczerniały złożyć

Bóg nam obiecał wnuku lecz Bóg nie ma siły
Toczy się biały księżyc przez nasze mogiły

Bo mieliśmy ojczyznę ale jest zabrana
Od Wilna błądy księżyc jak krwawiąca ściana

Wiatr od białych cmentarzy od białych kościołów
Sny nasze jak kopalnie w których świeci ołów

sierpień 1980

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiety SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZ

Aborcja z kotem

„W Stanach Zjednoczonych czarne kobiety dokonują aborcji trzy razy częściej od białych, co jest de facto eksterminacją czarnych dzieci”

NIEZDROWE SAMOSTANOWIENIE

Na feministycznym portalu Ofeminin.pl niejaka Anna Lalka stara się za wszelką cenę pokazać, że aborcja jest dojrzałą formą samostanowienia o własnym ciele. Mamy tego samostanowienia parę przykładów.

Aborcja farmakologiczna dokonywana w dniu urodzin kobiety: „Chłopak przyniósł mi nachosy, oglądałam serial i oczekiwałam na przebieg aborcji. W pewnym momencie zaczęłam się trząść i dostałam gorączki. Czułam duży ból w podbrzuszu [...] Wtedy przyszedł do mnie kot, który położył się w okolicy mojego pępka i wygrzewał moje ciało. To było piękne”. Jednocześnie ta sama bohaterka wyjawia: „Był taki moment przed aborcją, że zaczęłam rozmawiać ze swoim brzuchem, traktować je jak dziecko, nadawać mu pleć i imię. To był Kajtek, chłopiec, wiem to”.

Wspomnienie innej dziewczyny dotyczy braku wielkich rozterek poza jedną, dotyczącą metody: „Boże, jak mam się tego pozbyć”.

Jeszcze inny przykład: „Cały proces spędziłam u boku przyjaciółki pod kocem. Piłyśmy herbatę, oglądałyśmy coś na Netfliksie. Gadałyśmy z sobą bezstresowo. [...] W końcu zaczął boleć mnie brzuch i rozpoczęło się krwawienie. Zaczęłam być wniebowzięta”.

Czyż wspomnienie aborcji jako „pięknej”, odczuwanie „szczęścia” podczas sztucznie wywołanego poronienia czy wreszcie „ukojenie” brzucha (właśnie pozbywającego się dziecka) ciepłem kota – nie zgrzyta ostro z wizją świata cywilizowanego?

Mimo wyroku TK, który ograniczył legalne wykonywanie aborcji w Polsce, życie dzieci nienarodzonych wcale nie jest bezpieczniejsze. Aborcja odbywa

się albo nielegalnie, albo za granicą. Ale najbardziej niepokoi banalizacja zła.

EKSTERMINACJA OK?

Dzięki tekstowi jezuity Marka Krzysztofiaka, opublikowanego na stronach Vatican News, zerknęłam na portal Worldometers. To witryna, która udostępnia aktualizowane dane z różnych dziedzin. Według stanu na 7 lutego w roku bieżącym wykonano już prawie 4,5 mln zarejestrowanych aborcji. Duchowny podaje także, że w latach 2015–2019 przeprowadzano na świecie średnio 73,3 mln aborcji rocznie. Jezuita zwraca uwagę na pewien paradoks. Chociaż obecnie media są tak bardzo wyczulone na kwestię rasizmu, to „ich uwadze uchodzi fakt, że w Stanach Zjednoczonych czarne kobiety dokonują aborcji trzy razy częściej od białych, co jest de facto eksterminacją czarnych dzieci”.

BEZ LOGIKI

Co na to walcząca z dyskryminacją lewica? A ekolodzy – piewcy równowagi naturalnej? Czy aborcja nie jest formą przemocy wobec słabszej części natury? Przecież unicestwienia naturalny proces kształtowania się życia. Gdzie tu zasada równości i troski o słabszych?

Demokracja liberalna coraz bardziej pogrąża się w braku logiki. Skoro zachodnie uniwersytety coraz częściej porzucają zasadę wolności słowa na rzecz poprawności (czytaj: mody) politycznej, to czy podział na światły Zachód i zafany Ciemnogród zachowuje swój sens? Szczerze? Aborcja w towarzystwie kota i podczas oglądania Netflixa to właśnie nowoczesny Ciemnogród.

Katarzyna Zybortowicz

Niedawno na jakimś murze w centrum Warszawy mignął mi napis „Aborcja jest OK”. Niektórym z was może kojarzy się okładka „Wysokich Obcasów” sprzed paru lat. To tam wydrukowano ten „kontrowersyjny” – jak ówczesnie oceniano nawet po stronie liberalnej – komunikat. Ochocho przypomniwały go tektury na protestach przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego jesienią roku 2020.

Aborcja jest rozmaicie regulowana przez prawo w różnych krajach, a wiele współczesnych kobiet uważa, że im prawo bardziej liberalne, tym wyższy poziom cywilizacyjny. W Unii Europejskiej aborcja na życzenie, do 12. tygodnia, jest dopuszczalna w większości krajów.

W Polsce bodaj większość opozycji ostro krytykuje zaostrzenie prawa aborcyjnego przez Trybunał Konstytucyjny. Straszni jesteśmy powrotem do „Ciemnogrodu” – tak w roku 1820 określił konserwatyzm Stanisław Kostka Potocki. W międzyczasie środowiska lewicowo-liberalne aborcję zaliczyły do tzw. podstawowych praw człowieka. Aborcję w świecie „cywilizowanym” prezentuje się jako zabieg usuwający „problem” z ciała kobiety.

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

START RAZEM #TEAMPOLSKA PEKIN 2022

OSKAR KWIATKOWSKI - SNOWBOARD

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ



Sponsor Strategiczny



Sponsor Główny



Sponsor Butelki
Strategiczny



Oficjalny Partner
Medyczny



Oficjalny
Przewoźnik



Oficjalny Partner
Medialny



Oficjalny Partner
Medialny



Partnerstwo medialne -
Polska



Partnerstwo
PŁC



Partnerstwo
Reprezentacji